



KASIA  
BULICZ-KASPRZAK

# *Inna bajka*

W powieści Kasi Bulicz-Kasprzak jest dużo ciepła, humoru i kobiecej mądrości. To sprawia, że czyta się ją z ogromną przyjemnością. Polecam!

Magdalena Witkiewicz, autorka *Opowieści niewiernej*

Świat Książki

KASIA  
BULICZ-KASPRZAK

*Inna bajka*

  
Świat Książki  
wydawnictwo

\*

No to się porobiło, pomyślałam. Siedziałam wciśnięta w kąt między wanną a sedesem i przelykałam łzy. Jeszcze nigdy tak nie płakałam. Już mnie wszystko w środku bolało, ale nie mogłam przestać. Opłakiwałam swoje zmarnowane życie. Ryczałam z żalu i nienawiści do siebie, bo to wszystko moja wina. Głupia, głupia, głupia! Ludzie, jaka ja jestem głupia!

A przecież nie oczekiwałam od życia zbyt wiele. Przynajmniej tak mi się wydawało. Skończyć studia, wyjść za mąż i mieć mieszkanie – to chyba niedużo? Ale nie, ja akurat nie mogłam tego dostać.

Tępo gapiłam się na kawałek plastiku z dziurką w środku. Trudno go sensownie opisać, ale myślę, że nazwa „płytkowy test ciężowy” idealnie pasuje. W małym okienku znajdowały się dwie niebieskie, dobrze widoczne kreski. Przeczytałam instrukcję obsługi bardzo dokładnie. Pięć razy. Jeśli nie byłam całkiem umysłowo ograniczona, te kreski oznaczały ciążę. Mogły też oznaczać, że mając niewyobrażalnie wielkiego pecha, trafiłam na wadliwy test. Czy można trafić na wadliwy test trzy razy z rzędu? Raczej nie. Sześć niebieskich kresiek oznaczało dziecko w moim brzuchu. Miałam nadzieję, że jedno.

W pierwszej chwili ogarnęła mnie straszna panika. Nie bałam się tak od czasu, kiedy w trzeciej klasie podstawówki coś mnie podkusiło, by dopisać sobie kilka ocen w dzienniku. Sprawa się wydała i dyrektorka rozważała zawieszenie mnie w prawach ucznia. Pamiętam strach, z którym budziłam się w nocy, bo widmo wyrzucenia ze szkoły naprawdę przerażało. Teraz przynajmniej nie musiałam się martwić, że mnie wywalą ze studiów. Sama zrezygnuję, bo nie dam rady. Nie wyobrażałam sobie, że uda mi się wysiedzieć na wykładzie Śniadeckiego po nieprzespanej nocy. A pracownia? Nie można przecież wносить niemowlaków do laboratorium chemicznego.

Rodzice zawsze powtarzali, że cokolwiek zrobię, będą po mojej

stronie. Ale to było przedtem, zanim zostałam panną z dzieckiem. Ekstremalne sytuacje zmieniają ludzi. Nie wiem, jak mam im o tym powiedzieć, jeśli w ogóle się odważę. Może lepiej od razu uciec z domu? Tak, tylko dokąd? Mnóstwo pytań, ani jednej odpowiedzi. Byłam przerażona i bezradna.

Jeśli mogłam mieć nadzieję, że moi rodzice zaaprobują taką sytuację, to postawa babci nie pozostawiała wątpliwości. Wyklnie i nawet na mnie nie spojrzy. Moja babcia była płatkim (trochę już zwiędłym) w róży różańcowej i chórzystką w kościele. Przez ostatnie pięć lat tylko raz opuściła mszę, i to dlatego, że miała trzydzieści osiem stopni gorączki. Oczywiście wysłuchała mszy w radiu. Kiedy zaś wyzdrowiała, przesiedziała w kościele cały dzień, żeby nadrobić zaległości. Wnuczka z nieślubnym dzieckiem będzie nie do zaakceptowania. Szansa, żebym w ciągu najbliższego miesiąca szczęśliwie wyszła za mąż, była zerowa. No, a za miesiąc już może być widać. (Może? Kiedy zaczyna rosnąć brzuch? Nic nie wiem o byciu w ciąży!).

Najgorszym problemem była kwestia ojca dziecka. Bo moje dziecko, jak każde inne, miało ojca. Fajnego i przystojnego, którego bardzo polubiłam, przez chwilę wydawało mi się, że nawet coś więcej. Tylko że on spotyka się z kobietą, która go kocha i pragnie jak nikogo na świecie. Wiem, bo mi powiedziała. Najlepszej przyjaciółce mówi się takie rzeczy.

Pomyśleć, że tyle ludzi będzie cierpieć przez niefortunny splot wydarzeń. I, nie oszukujmy się, przez moją głupotę.

## Rozpoczęcie

Wszystko zaczęło się w sesji zimowej od tego, że poszliśmy z Anką do biblioteki. Intuicja podpowiadała mi, żeby tam nie iść, bo po co, skoro w domu ma się wujka Google'a i ciocię Wikipedię? Jednak przyjaciółka zignorowała moje złe przeczucie. To był właśnie ten moment, w którym rzeczywistość podzieliła się na dwie alternatywne: tę dobrą i tę, w której wylądowałam ja.

Przez wiele, wiele lat różnych studiów Anka nigdy nie zhańbiła się korzystaniem z czytelni w bibliotece uniwersyteckiej. Lecz nadszedł dzień, kiedy musiała to zrobić. Facet od filozofii kazał jej na zaliczenie napisać jakiś bzdurny referat. Po prostu wziął się na nią, bo nie chodziła na wykłady. To bardzo niesprawiedliwe, przecież wiadomo, że wykłady są nieobowiązkowe, zwłaszcza na studiach zaocznych. Poza tym po co ekonomistce bliska znajomość z Kartezjuszem? No i cóż było robić? A ponieważ najlepsze na świecie kumpele zawsze wszędzie chodzą parami, musiałam jej towarzyszyć w tej wyprawie na niezeksplorowane tereny.

Biblioteka mieściła się w starym neogotyckim budynku z czerwonych cegieł. Strzeliste wieżyczki, cudowne sklepienia i okna jak w bajce o zaklętej księżniczce. Schody, po których chciałoby się zbiegać w ramiona ukochanego. Regały z książkami sięgały nieba. Byłoby cudnie! Byłoby, gdyby nie zieloni od zakuwania, albo z przepicia, studenci, paskudne szafki katalogowe i psujący nastrój współczesny automat do kawy.

Trochę się pokręciłyśmy, zanim znalazłyśmy drzwi do czytelni.

Siadłyśmy w kącie cicho jak myszki. Cicho, bo najpierw narobiłyśmy niezłego zamieszania. Po pierwsze, nie wiedziałyśmy, że nie wolno wchodzić z torbami. A po drugie, że nie można tu pić kawy. To po co ustawili automat na korytarzu? Wreszcie zirytowana bibliotekarka dała nam numerki do stolików. Nieźle się nałaziłyśmy, zanim wreszcie znalazłyśmy swoje miejsca, bo dla utrudnienia wcale nie były po kolei. I kiedy w końcu usiadłyśmy, okazało się, że dwa stoliki od

nas siedzi najpiękniejszy facet, jakiego kiedykolwiek widziałam. Wysoki, lekko przypakowany. Nie były to jednak mięśnie wyrzeźbione w siłowni, widać było, że chłopak w wolnym czasie lubi uprawiać sport. Miał gładką, delikatnie opaloną skórę i ciemne, trochę za długie włosy, które łagodnymi falami spływały na kark. Kilkudniowy zarost rzucał cień na jego pociągłą twarz. Rysy miał bardzo regularne, nos prosty, a usta wprost stworzone do całowania. Tylko dolna szczeka była zbyt kanciasta. Mimo to, zamiast szpecić, dodawała uroku. Migdałowe oczy patrzyły na świat lekko zamglonym wzrokiem. Jednym słowem, był jak karmelek: brązowy i słodki.

Byłam przekonana, że to ja pierwsza zobaczyłam Pana Karmelka. W końcu jestem specjalistką od zauważania ładnych facetów. Chciałam szturchnąć Ankę, zorientowałam się jednak, że ona też go widzi – ślina z wywalonego jęzora kapiała jej na notatki.

– Słodziak! – wyszeptałam, a bibliotekarka posłała mi mordercze spojrzenie. Co, rozmawiać też nie wolno?!

– Oddałabym mu nerkę – rozmarzyła się Anka.

– Ej! To mnie obiecałaś nerkę, pamiętasz?

– Jemu oddałabym drugą. Mogłabym dla niego umrzeć.

Popatrzyłam na stolik przed Karmelowym. Tablet i dwa smartfony. Koszulka polo, blezer, świetnie dopasowane džinsy, czyste buty. Oczywiście mógł pochodzić z rodziny o wysokim statusie majątkowym i od dziecka mu wpajano, że wygląd świadczy o człowieku.

– Gej – zawyrokowałam.

Anka przyglądała mu się wnikliwie. Argumenty były silne, nie chciała się jednak poddać i zaproponowała:

– Może zrobię test biustowy?

Spojrzałam na dekolt przyjaciółki. Nie można było powiedzieć, żeby natura jej poskapiła. Nie można było przejść obojętnie obok zawartości jej stanika. Poza tym Ania miała przeciętną urodę. Czasem jej skóra nabierała ziemistego koloru i przez to, a także z powodu blizn po ospie na czole, wyglądała brzydko. Nie wychodziła z domu bez wsparcia przemysłu kosmetycznego.

– Normalni faceci gapią się na mój biust.

– Piotrek się nie gapi.

– On jest poza klasyfikacją.

Przez chwilę rozważałam, czy aż tak bardzo chcę poznać preferencje seksualne chłopaka, żeby wykorzystać Ankę. Postanowiłam sobie darować.

– Opuśćmy. Mnie się podoba, tobie się podoba, to nie jest najlepsza sytuacja.

Anka przyznała mi rację.

Kiedy chłopak wychodził z czytelni, żegnały go nasze tęskne spojrzenia.

\*

Anka ostatecznie nie zaliczyła filozofii. Mogłam się tego spodziewać. Moja przyjaciółka nie nadawała się do studiowania, choć nie chciała się do tego przyznać ani przed sobą, ani przed rodzicami, którzy wiele od niej oczekiwali, właściwie nie mając podstaw. Zaczęła źle – nie dostała się na medycynę, więc żeby nie tracić roku, zahaczyła się ze mną na chemii. Dzięki niej pierwszy rok studiów był jednym z najlepszych w moim życiu. Za drugim podejściem dostała się na medycynę. Na krótko – nie wytrzymała nawet do połowy semestru. Uznała, że znalazła swój kierunek i jest nim kulturoznawstwo. Przez dwa lata wyglądała jak skrzyżowanie indiańskiego wigwamu z odpustowym kramem. I kiedy wszystkim się wydawało, że jest na najlepszej drodze do zdobycia jakiegoś wykształcenia, ogarnęła się, wbiła w garsonkę i poszła studiować ekonomię. Zaocznie, ponieważ rodzicom znudziło się finansowanie jej fanaberii.

Ja, w odróżnieniu od Anki, wiedziałam, czego chcę, od chwili gdy po raz pierwszy zobaczyłam rtęć – metal w płynie. Było w tym coś niezwykłego i magicznego, bo to przecież jednocześnie termometr i trucizna. Coś i romantycznego, i praktycznego. Potem okazało się, że wszystko w chemii jest takie, z jednej strony fajerwerki, z drugiej aspiryna. Bez zastanowienia wkroczyłam na ścieżkę alchemików. I świetnie mi szło. Jeszcze tylko rok nauki, a potem studia doktoranckie i kariera w koncernie farmaceutycznym. Tak to widziałam.

Tego dnia, kiedy wywalili Ankę z zaocznej ekonomii, jako przyjaciółka całkiem nawaliłam. Zadzwoiła i poprosiła, żebym ją

wsparła.

– Mam lody czekoladowe – kusila.

W innej sytuacji natychmiast bym się zgodziła. Wtedy stałam przed gabinetem dyrektora do spraw personalnych w firmie kosmetycznej. W spoconych dłoniach trzymałam podanie o bezpłatny staż.

– Sorki, nie mam teraz czasu. Wpadnę wieczorem – ucięłam rozmowę i wyłączyłam telefon, żeby przypadkiem Anka nie zadzwoniła, w czasie kiedy będę się stawiać w dobrym świetle i przekonywać, że to właśnie ja jestem spełnieniem marzeń firmy o odpowiednim kandydacie.

Anka zawała studia już tyle razy, że zdążyłam się do tego przyzwyczaić. Ona też. Ale tym razem było inaczej. Załamała się. Gdybym pojechała do niej, tak jak obiecałam, pewnie skończyłoby się na butelce wina i morzu łez. Pojechałam jednak dopiero na drugi dzień, bo chciałam się cieszyć swoim zwycięstwem, a nie przeżywać jej porażkę.

Była sama w tym swoim studenckim mieszkaniu, wynajmowanym do spółki z jakimiś dziwnymi ludźmi, których nie lubiłam. Sama, samotna i nieprzytomna. Wokół wały się puste butelki. Odruchowo zaczęłam sprzątać i wtedy natknęłam się na puste opakowanie po leku uspokajającym. Ile Anka wzięła tych tabletek? Przeraziłam się i zadzwoniłam na pogotowie.

Kilka godzin później siedziałam przy jej łóżku. Była strasznie blada, wyglądała jak stara, zmęczona życiem kobieta.

– Ojciec ma rację – szepnęła, patrząc na ścianę. – Jestem do niczego.

– To nie tak! – zaproponowałam.

Nawet na mnie nie popatrzyła. Ze wzrokiem wbitym w zieloną lamperię, przygnębionym głosem mówiła:

– Niczego nie potrafię dobrze zrobić. Raz w życiu chciałam się upić i nawet to wyszło nie tak, jak powinno...

Maglowana przez szpitalnego psychologa, wyjaśniła, że nie chciała się zabić. Po prostu jest bałaganiarą i nie wyrzuciła starego opakowania. Nie wiem, czy psycholog jej uwierzył. Ja, mimo że bardzo chciałam, miałam wątpliwości.

– Ania, jesteś superfajna – zapewniałam ją z przekonaniem. –



Jesteś bystra, mądra...

– Jasne – rzuciła z przekąsem. – Wylali mnie ze studiów dla idiotów.

Było w tym trochę racji. Podrzędna placówka oświatowa niechętnie pozbywa się studentów, którzy płacą czesne, i nawet nie trzeba być inteligentnym, żeby ją ukończyć. Wystarczyła odrobina determinacji. Nie mogłam jednak powiedzieć tego na głos, bo to by ją jeszcze bardziej przybiło.

– Nie cierpiałas tego kierunku – zauważyłam.

– I co z tego? Wszyscy kończą jakieś studia, tylko nie ja.

– Ale dlaczego ty musisz tak jak wszyscy? Przecież... – Chciałam powiedzieć, że jest tyle rzeczy, w których jest dobra i które z powodzeniem mogłaby w życiu robić, ale Anka mi przerwała.

Oderwała wzrok od ściany, popatrzyła na mnie i stanowczo powiedziała:

– Muszę mieć wykształcenie, po prostu muszę. Bez wykształcenia jestem nikim. Rozumiesz? N i k i m!

Rozpląkała się. Usiadłam na brzegu szpitalnego łóżka, mocno ją przytuliłam i pozwoliłam płakać. Szeptalam, że wszystko będzie dobrze, że się ułoży. Cały czas czułam, jakbym miała w sobie kolec, a jego bolesne ukłucia wywoływały u mnie wyrzuty sumienia. Powinnam była pojechać do niej od razu.

Od tego czasu minęło pół roku. Skończył się rok akademicki i mój staż. Za bycie popychadłem w firmie dostałam śliczną laurkę – sumienna, punktualna, rzetelna – którą zamierzałam dołączyć do CV. Nadeszły wakacje. Miałam je spędzić w domu. Koncentrowałam się na udawaniu, że piszę pracę magisterską, i na unikaniu babci dewotki. Byłam znudzona. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, a moje najlepsze kumpele siedziały we Wrocławiu. Pracowały. Anka, bo musiała, a Kinga, bo lubiła.

I kiedy myślałam, że będą to najnudniejsze wakacje w moim życiu, zadzwonił Tomek. Chłopak Kingi. Postanowił urządzać swojej dziewczynie urodzinowe przyjęcie niespodziankę. W górskiej chatce jego rodziców. Pytał, czy przyjadę. Oczywiście. Nie przepadam za górami, ale za Kingą bardzo. Wybaczyłam jej nawet to, że ma tego wspaniałego faceta, który urządza jej przyjęcia niespodzianki.

Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Kinga dostała od losu więcej niż Anka i ja razem wzięte. Jest zjawiskowo piękna. Taka delikatna, eteryczna blondyneczka z wielkimi niebieskimi oczyma. Studiuje polonistykę, pracuje w gazecie. W indeksie piątki, w pracy pochwały i jeszcze taki facet! Kiedy nam go przedstawiła, obie z Anką zrobiłyśmy się zielone z zazdrości. Na dodatek historia ich miłości jest niezwykle romantyczna i z gatunku tych, które zawsze spotykają kogoś innego.

To było tak: moja druga najlepsza przyjaciółka Kinga stoi w kolejce do kasy w supermarkecie. Bardzo się denerwuje, bo musi i zrobić zakupy, i zdążyć na rozmowę w sprawie pracy. Niespodziewanie okazuje się, że facet przed nią zapomniał portfela. On obmacuje kieszenie, kasjerka robi miny, bo będzie musiała wszystko wycofywać, a Kinga mało nie eksploduje. I w końcu słyszy samą siebie: „Zapłacę za zakupy tego pana”. Mężczyzna protestuje, ale Kinga się upiera, a kasjerka ją zachęca, bo widzi twarze ludzi, którzy stoją w kolejce, i wie, że miło nie będzie. Kinga płaci, nie ma czasu dać mu numeru telefonu, przecież nie zna go na pamięć, a w torebce i tak nie znajdzie, ale informuje, gdzie będzie pracować, jeśli nie spóźni się na rozmowę kwalifikacyjną.

No i kilka dni później na jej biurku pojawił się ogromny bukiet kwiatów. Pod budynkiem, w którym pracowała, czekał na nią ten chłopak. Oddał Kinge pieniądze i zaprosił na kolację. Potem na kolejną. Dobra, w zasadzie nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że on jest szalenie bogaty z domu. Rodzice mają kancelarię prawną Bartosik & Bartosik, są posiadaczami własnego domu w górach, pieśczeniście zwanego chatką, a ich syn jeździ sportowym autem. Jak teraz o tym pomyślę, wydaje mi się, że to Tomek jest winien wszystkiemu, co mnie spotkało.

Umówiliśmy się, że wyjedziemy w piątek przed południem. Tomek zaproponował, żebyśmy pojechali pociągiem, bo to bardzo oldskulowe. Jakoś do niego nie dotarło, że my podróżujemy tak na co dzień. Ja – bo nie mam prawa jazdy, Anka – bo nie ma pieniędzy na samochód, a Kinga – bo dba o ekologię.

Przyszłam na dworzec. Był to ładnie odnowiony przedwojenny

budynek z dużymi oknami i wielkimi przeszklonymi drzwiami. Pchnęłam je i znalazłam się w obszernym holu. Po prawej znajdowała się kasa biletowa, po lewej sklepik – mydło, powidło i gazety, pośrodku dwa rzędy plastikowych krzesełek.

W poczekalni nikogo nie było. Kupiłam bilet i wyszłam na peron. Pusto. Nikt na mnie nie czekał. Trochę zdenerwowana zadzwoniłam do Kingi. Jeśli Pani Punktualność jest nieobecna, to znaczy, że coś musiało się stać.

– W pracy jeszcze jestem. Tyle mam do zrobienia. Nie wyjdę stąd przed dwudziestą. Tomek do ciebie nie dzwonił?

Zadzwoniłam do Tomka.

– Rany, Karolina, strasznie cię przepraszam. Kinga nie może się urwać z roboty. Przyjedziemy dziś wieczorem. Myślałem, że Anka ci powiedziała.

Zadzwoniłam do Anki.

– Rozmawiałam z Tomkiem. Mówił, że oni będą jechać z Wrocławia samochodem. To po co mam tracić kasę na bilet, no nie?

Poczułam się kompletnie olana. Straciłam ochotę na wyjazd i wtedy zadzwonił telefon. Tomek.

– Karolinko, bądź aniołem. Właśnie dzwonił do mnie kumpel, który też jedzie, będzie czekał na dworcu w Jeleniej. Zaprosiłem go, żeby Anka kogoś miała, bo jakoś głupio... Zgarniesz go po drodze? Ma na imię Rafał.

Bardzo śmieszne, pomyślałam i zaklęłam w duchu, a na głos powiedziałam, że będę aniołem. Mądre to nie było. A mogłam się unieść dumą i powiedzieć Tomkowi, żeby spadał. Zwłaszcza że ten cały pomysł z podróżowaniem parami w ogóle mi się nie podobał. Według Tomka tak było bardziej romantycznie. Kurczę, superromantycznie, skoro musiałam prosić o pomoc Piotrka. Oczywiście bardzo go lubię. Jest nieoceniony, jeśli chodzi o niezobowiązujące wyjścia, bo przystojny i wysoki, choć strasznie chudy, na dodatek potrafi opowiadać zwykłe rzeczy tak, że robią się zabawne. Więc kiedy siedzi się w barze z tym podobnym do elfa facetem, chichocząc bez przerwy, wzbudza się zazdrość innych kobiet. I to tyle, ponieważ on w ogóle nie wykazuje zainteresowania dziewczynami. Mam pewne podejrzenia, ale Anka

twierdzi, że przemawia przeze mnie zawiść – Piotrek to jeden z tych nielicznych facetów, którzy nie próbowali mnie poderwać. A ja twierdzę, że Anka się myli.

Piotrek jest od nas o trzy lata starszy i podobno chodziliśmy do tego samego liceum, ale zupełnie go nie kojarzyłam. Anka natknęła się na niego w czasie swojej przygody z medycyną. Kolega na czwartym roku wydał jej się bardzo przydatny, dlatego postanowiła się z nim zaprzyjaźnić. Myślę, że liczyła na coś więcej, jednak on nie był zainteresowany. Nic dziwnego, niewielu facetów poważnie się nią interesuje. I to nie tylko dlatego, że nie ma ładnej buzi, bo natura zrekompensowała jej to innym walorem – mam tu na myśli nieziemski biust. Chłopakom nie wydaje się pociągająca. Może dlatego, że bywa irytująco egzaltowana? Mnie to nie przeszkadza, moim zdaniem to najfajniejsza dziewczyna na świecie, kocham ją jak siostrę i wszystko bym dla niej zrobiła.

No i Piotrek miał być moją zapchajdziurą na ten weekend. W przeciwieństwie do Kingi nie miałam tyle szczęścia, żeby tak po prostu spotkać w supermarkecie faceta idealnego, który nie dostaje wysypki na dźwięk słowa „przyszłość”. Mój bardzo były Robert tak reagował. Mama miała rację, gdy mi mówiła, że to nic dobrego. Ja zaś byłam młoda, zakochana i nie chciałam słuchać. Byliśmy ze sobą prawie dwa lata. Aż tu nagle koniec! Mała sprzeczka o nic. Zwlekał z przeprosinami. Kiedy w końcu to zrobił, już mnie wcale nie obchodził. Ja jego też nie. Pół roku po naszym rozstaniu ożenił się z nauczycielką z Kaszub, którą poznał na czacie.

Jeślibym wiedziała, że można poprosić o pomoc w organizowaniu partnera na wyjazd, tak bym zrobiła, zamiast ciągnąć ze sobą Piotrka. Może powinnam to wszystko olać i nie jechać?

Wyjazd pociągu przerwał moje rozmyślenia. Wsiadłam, przecież miałam już bilet. Gdyby pociąg spóźnił się choć trochę, to pewnie bym się rozmyśliła. Tak, to prawda, że los daje człowiekowi wiele okazji, żeby pokierował swoim życiem. Szkoda, że nie dołącza instrukcji obsługi.

\*

Chłopak, z którym była umówiona Anka, miał czekać na mnie na peronie w Jeleniej Górze, ale go nie było. Poziom mojej irytacji podniósł się do maksimum. Nie dość, że Anka będzie z rozwianymi włosami pędzić kabrioletem, nie dość, że Tomek umówił ją z jakimś swoim kolegą prawnikiem, nie dość, że ja mam jej tego chłopaka niańczyć, to jeszcze go nie ma. I kiedy się tak na nich wszystkich wściekałam, zjawił się ON. Facet z biblioteki. Pan Karmelek. Sama słodycz owinięta w koszykarski podkoszulek, który wyglądał jak zdarty z Szaqa O'Neila. Bałam się, że jeśli opuści ramiona, to ciuszek mu spadnie, a ja nie wiem, jak zareaguję, kiedy zobaczę najładniejszy męski tors na świecie. Poczułam, że się ślinię. Odwróciłam wzrok, ale ku mojemu zaskoczeniu chłopak podszedł do mnie z szerokim, przyjaznym uśmiechem na twarzy.

– Przepraszam, czy to ty jesteś znajomą Tomka Bartosika? – zapytał.

Skinęłam głową.

– Karolina Jabłońska – przedstawiłam się. Uścisnął mi rękę i powiedział, że nazywa się Rafał Witkowski. To z nim jest umówiona Anka? Krew mnie zalała. Zdradliwa jędra! Umówiła się z nim za moimi plecami, jeszcze Tomka wciągnęła w sieć intryg, tarantula jedna! Postanowiłam, że nie będę tego chłopaka lubić. W końcu moje negatywne emocje muszą mieć jakieś ujście, no nie?

– Długo na mnie czekasz? – zapytał grzecznie.

– Czekam na ciebie całe życie – odpowiedziałam spontanicznie.

Roześmiał się, a ja trochę za późno przypomniałam sobie, że mam go nie lubić.

– Wiesz, o której mamy autobus do Karpacza? – spytałam prozaicznie, żeby rozwiać tę romantyczną atmosferę.

– Nie ryzykowałem opuszczenia dworca, mógłbym zabłądzić.

– Jasne. – Uznałam, że to naprawdę głupia gadka, i ruszyłam przodem.

Na bus do Karpacza czekaliśmy pół godziny. Usiedliśmy na murku naprzeciwko dworca i zaczęliśmy rozmawiać. On studiował prawo, jak ojciec, matka, dziadek i jeszcze kilka osób w jego rodzinie. Kiedyś marzył, żeby być prokuratorem. Oczywiście nie takim jak Hamilton

Burger, raczej takim jak Doug Selby. Nieoczekiwanie rozmowa zeszła na temat książek. Nie spodziewałam się, że trafię na takiego samego pasjonata kryminałów jak ja. Znał wszystko od Chandlera po Rankina.

– O, to nasz! – ucieszyłam się, gdy biały bus zatrzymał się na przystanku.

– Gdzie? – Rozejrzał się wokół zdeorientowany.

– Żartujesz? – Spojrzałam na niego z niedowierzaniem. Za wygląd dziesięć punktów, za inteligencję trzy. I to tylko dlatego, że opanował czytanie ze zrozumieniem.

– Mam słabą orientację w terenie. Zwykle ratuje mnie mapa, a dzisiaj ty. – Uśmiechnął się ujmująco. Wybaczyłam i dodałam jeden punkt za ten piękny uśmiech.

– Chodź! – Niespodziewanie dla mnie samej wzięłam go za rękę i pociągnęłam w stronę przystanku. Ścisnął moją dłoń, tak jakby rzeczywiście miał obawy, że się zgubi. Poczułam, jak od jego palców do moich przepływa ciepło i rozplywa się po całym ciele. Zrobiło mi się żal. To ja pierwsza zobaczyłam go w bibliotece. I jeszcze się umówiliśmy... Anka nie miała prawa. W końcu w przyjaźni obowiązują pewne zasady. Pierwsza z nich jest taka, że odpuszczamy sobie faceta, który podoba się obu, bo potem są tylko kłopoty. A skoro ona grała nieczysto...

Skarciłam się za takie myśli. Jakkolwiek bym to naciągała, sama też nie miałam do niego prawa. To, że Ania była nielojalna, nie pozwalało mi zachowywać się podobnie. W końcu facetów na świecie jest wielu, a prawdziwych przyjaciółek trochę mniej.

Nawet się nie zorientowałam, że już jesteśmy na miejscu.

– Może pan nas tu gdzieś wysadzić? – zapytałam kierowcę. – Stąd będziemy mieli bliżej – wyjaśniłam Rafałowi.

Wysiedliśmy, wyciągnęliśmy plecaki i podziękowaliśmy kierowcy. Rozejrzałam się zafascynowana. Zapomniałam już, jak tu jest pięknie. Zwłaszcza pod koniec lata.

Szczyt Śnieżki otulały szarobłękitne mgły. Rozwieszane na gałęziach szmaragdowej kosodrzewiny wyglądały, jakby królowa włożyła zielony płaszcz z futrzanym kołnierzem. Jego fałdy spłynęły z boczem góry, aż do miejsca, w którym staliśmy. Brzozy, jarzębiny, buki cieszyły oczy zielonymi liśćmi, mimo zbliżającej się jesieni.

Odetchnęłam głęboko. Powietrze było takie rześkie, czyste. Ruszyliśmy pod górę. Nie wiem, dlaczego odnoszę wrażenie, że w Karpaczu wszystko jest pod górę.

– Ładnie tu – powiedział Rafał.

– Pierwszy raz? – zdziwiłam się.

Kiwnął głową.

– Mieszczuch ze mnie. – Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zadzwonił jego telefon. – Sorki.

Kiwnęłam głową i udawałam, że nie słucham, o czym rozmawia. Szybko zorientowałam się, że dzwoni Tomek. Rafał odsunął telefon od twarzy.

– Tomek. Pytał, czy dojechaliśmy. Sąsiad spod piątki da nam klucze, bo oni przyjadą jutro rano.

Poczułam się jak łakomczuch zamknięty na noc w cukierni. Żeby on chociaż był niefajny!

Trochę trwało, zanim dotarliśmy na miejsce. Rafał zaproponował wprawdzie, że poniesie mój plecak, ale ja przecież jestem twardzielką. W połowie drogi byłam gotowa złamać swoje zasady, ale już nie proponował pomocy. Z ulgą rzuciłam plecak pod furtkę Bartosików i rozejrzałam się za numerem piątym. Domy z nieparzystymi numerami stały po przeciwnej stronie ulicy.

– To pewnie tamten – wskazałam na przedwojenną willę, którą ledwo było widać spomiędzy drzew.

Podeszliśmy. Zadzwoniłam do furtki. Z leżaka, który stał na tarasie, podniosła się wysoka blondynka i pomachała do nas przyjaźnie. Chwilę później na ścieżce pojawił się starszy pan z wielki brzuchem. Kobieta przesłała mu całusa.

Sąsiad był sympatyczny; wręczając nam klucze, życzył dobrej zabawy. Sądząc z długości nóg jego towarzyszki, on sam bawił się nieźle.

Górski domek rodziców Tomka był okazałą, nowoczesną willą. Płaską i kwadratową, która nawet nie próbowała udawać, że stoi tu od wielu lat. Wnętrze miało w sobie tyle przytulności co hangar lotniczy. Dekorator się tu nie napracował. Nawet ułożonemu w kącie kominkowi bliżej było do szarej, nagiej jamy niż do domowego ogniska.

Poczułam się bardzo obco i bardzo nie na miejscu. Po raz kolejny pożałowałam, że tu jestem.

Widać było po mnie, o czym myślę, bo...

– Dziwnie tu jakoś, prawda? – Rafał bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Chodź, powłóczymy się po mieście – zaproponowałam. – Przy okazji coś zjemy, bo lodówka pusta, a ja jestem głodna.

– Jasne – przytaknął. – Tylko zmienię koszulkę. – I zupeł nie się mnie nie krępując, ściągnął za duży podkoszulek, obnażając swój śliczny tors i sześciopak na brzuszku. – W porządku? – zapytał, widząc, jak się na niego gapię. Oczy zamieniły mi się w serca, a nad głową pojawiła się gromadka śpiewających ptaszków.

Oczywiście, że nie. Nigdy w życiu nie widziałam równie apetycznego torsu, pomyślałam, a na głos, szeleszcząc jak kartka papieru, powiedziałam:

– Jasne. Zastanawiam się tylko, skąd ta opalenizna.

– Mój dziadek ma duży ogród, czasem mu pomagam – wyjaśnił.

Kurczę, a ja miałam nadzieję, że jest metroseksualny, siedzi w solarium i będę go mogła skreślić za niezgodność charakterów.

– To gdzie idziemy? – spytał. Poszperał chwilę w plecaku i wyciągnął takie coś z elastycznego włókna, co po włożeniu nie zakrywało niczego pod spodem.

– Znałam tu jeden niezły pub. Może jeszcze jest. Poczekasz chwilę? Też chciałam się przebrać. – Wzięłam swój bagaż i poszłam do łazienki.

Mogłam zabrać tyle fajnych ciuchów. Na przykład czarny top z koralikami albo zieloną bluzeczkę z dekoltem. Zamiast tego wzięłam sprane podkoszulki, w większości z napisami zachęcającymi do picia, palenia i uprawiania seksu. Dziesięć kilo ciuchów, a ja nie mam co na siebie włożyć! Na szczęście na samym dnie plecaka znalazłam bordową bluzeczkę na ramiączka. Z falbanką tam, gdzie trzeba, żeby optycznie powiększyć biust. W pięć minut zrobiłam sobie dziewczęcy makijaż.

– Myślałem, że idziemy na piwo, a nie do Hiltona – zażartował, kiedy wyszłam. Widać było, że zrobiłam na nim wrażenie. O to chodziło!



Zeszliśmy na główny deptak. Wydawało się, że niskie kamieniczki wyrastają bezpośrednio z wyłożonego drobną kostką chodnika. Dlatego miałam poczucie, że jest tłok, choć ludzi nie było wcale dużo. Co krok cukiernia albo restauracja, zapachy wypełniały ulicę. Minęliśmy wycieczkę małolatów, która dosłownie oblepiła kram z pamiątkami. W końcu wybraliśmy pizzerię. Usiedliśmy w ogródku przy masywnym drewnianym stole i zamówiliśmy margaritę. Przy stole obok siedziała rodzina z trójką dzieci. Najmłodsze było bardzo małe i cały czas się śliniło. Odwróciłam się. Patrzyłam na dom po drugiej stronie ulicy – miał śliczne drewniane ornamenty.

Potem szukaliśmy pubu. Związane z nim dobre wspomnienia pochodziły z czasów klasy maturalnej. Świetnie się tam bawiłam na szkolnej wycieczce.

Ucieszyłam się, odnajdując pub takim, jakim go zapamiętałam – niezobowiązujące miejsce z dobrą muzyką i piwem, coś w sam raz dla młodych ludzi, którzy chcą przyjemnie spędzić czas. Usiedliśmy w kącie sali, patrzyłam na tańczących, żeby nie gapić się na Rafała.

– Zatańczysz? – zapytał.

Zaprzeczyłam ruchem głowy. Nie wychodzi mi to zbyt dobrze. Nigdy nie miałam poczucia rytmu. Nie przyjęli mnie przez to do kółka baletowego, do którego chodziły wszystkie moje kumpele, z Anką włącznie. Minęło trochę czasu, zanim to przebolełam.

– Daj spokój, chodź. – Pociągnął mnie na mały kawałek parkietu. Oprócz nas kołysały się jeszcze dwie pary. Przy czym jedna właściwie kończyła grę wstępną. Mimo początkowych oporów rozkręciłam się. Kiedy poczułam, że jestem zmęczona, wróciliśmy do stolika. Niechętnie dopijałam ciepłe już piwo.

– Powinniśmy wracać – powiedziałam, patrząc na zegarek.

– No to chodźmy.

Gdy wyszliśmy, Rafał od razu ruszył w złą stronę, co bardzo mnie rozbawiło, jego też. Wracaliśmy, śmiejąc się i żartując.

Letni wieczór powoli otulał miasto aksamitną szarością. Ciepłym, pomarańczowym światłem zajaśniały szklane kule na latarniach. Było zbyt późno na zwiedzanie, ale uznałam, że możemy się jeszcze trochę powłóczyć. Karpacz jest moim ulubionym górskim miasteczkiem.

Kocham jego kręte uliczki, kamieniczki z fikuśnymi wieżyczkami i drewniane domki. Teraz, kiedy turyści zniknęli z ulic, zrobiło się cicho i spokojnie. Miałam wrażenie, że słyszę szum górskiego strumienia. Gwiazdy zamigotały, ja szłam ramię w ramię z Rafałem i było tak... tak romantycznie.

– Naprawdę się gubisz czy tylko chcesz zrobić wrażenie na dziewczynie? – zapytałam.

– Zero orientacji w terenie. Bez GPS-u jestem bezbronny. – Bezradnie rozłożył ręce. Słodziak, pomyślałam.

– No to jesteś na mojej łasce. Mogę cię teraz wyprowadzić do lasu i... – Zawiesiłam głos. To jeszcze nic nie znaczyło. To mógł być zwykły żart.

– Nie miałbym nic przeciwko temu. – Czy jego głos był zmysłowy? Dałabym głowę, że tak.

– Przeciwko czemu? – zapytałam zalotnie.

– Przeciwko miłemu sam na sam z tobą w lesie. – I objął mnie ramieniem, co już nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Podrywał mnie.

Należało więc uznać, że pierwszy zaczął, zamiast robić sobie głupio wymówki.

To był początek uroczego flirtu. Wśród tysiąca innych słodkich słów powiedział mi, że jestem ładna, co akurat wiem, i że imponuje mu moje czytanie.

Dochodziła pierwsza w nocy, kiedy dotarliśmy do domu. Pograżony w ciemności wyglądał jeszcze bardziej obco i nieprzyjaźnie niż przedtem. Podzieliłam się z Rafałem swoim spostrzeżeniem.

– Może jak rozpalimy w kominku, zrobi się przytulniej? – zasugerował.

Nie bardzo podobał mi się ten pomysł. Nie chciałam się nadmiernie rządzić w czyimś domu. Jednak Rafał nie miał skrupułów i pół godziny później na kominku wesoło trzaskał ogień. Rozłożyłam na podłodze koc i kilka poduch ściągniętych z kanapy. Leżeliśmy blisko siebie, ale nie za blisko, tak przyzwoicie. Czułam aromatyczny zapach jego skóry. Starłam się nie myśleć o tym, jaki jest przystojny. Rozmawialiśmy o bzdurach, żeby zagłuszyć to, co oboje przeczuwaliśmy. Cichutko

zbliżało się do nas coś niesamowitego. Coś magicznego, co sprawia, że takie uczucie rodzi się raz na milion lat. Wiedzieliśmy, że potrzebuje ono czasu, żeby się oswoić – bardzo łatwo je spłoszyć.

– Dziękuję za wycieczkę krajoznawczą. Mając takiego przewodnika, chętniej bym opuszczał miasto.

– Jesteś z Wrocławia?

Przytaknął.

– Widzisz, ja jestem prawie tutejsza. Pochodzę z Rubinia.

– Znam to miasto. Mój dziadek tam mieszka, czasem go odwiedzam. Niezbyt często, wiesz, jak to jest, najpierw studia, teraz praca... – Przerwał. – Skąd znasz Tomka?

– Znam Kingę – wyjaśniłam. – To moja przyjaciółka.

– Tomka poznałem na studiach. Potem miałem praktyki w kancelarii jego rodziców.

No tak, przecież to prawnik. Nie dość, że zabójczo przystojny, to na dodatek ma idealny zawód. Pozwoliłam mu mówić o sobie. Dlatego właśnie faceci mnie lubią. Nie dość, że jestem ładna i mądra, to jeszcze umiem słuchać. Powiedział mi, że skończył prawo i teraz pracuje jako radca. A może doradca. W każdym razie nie lubi swojej szefowej, bo jest wredna i niekompetentna. Nie wiem, kiedy zasnęłam.

Obudziłam się przytulona do Rafała.

– Już nie śpisz, moja słodka?

Słodka? Nikt tak do mnie nie mówił, to było naprawdę miłe. Robert nie miał zbyt wiele fantazji, jego pieszczotliwe przyzwiska kojarzyły się ze stołówką – nazywał mnie Knedelkiem albo Kluseczką, co budziło moją wściekłość, bo przecież nie jestem gruba. Słodka mogłam być, bo to określenie pasowało do Karmelka.

Do południa było cudownie. Poszłam do sklepu po świeże pieczywo, a Rafał usmażył jajecznicę. Przyłapałam go, gdy pił mleko prosto z kartonu. Znaleźliśmy leżaki. Piłam colę z puszki i opowiadałam o swoich planach zawodowych. Potem zjawili się pozostali i zrujnowali mi miesiąc miodowy.

Pierwszy z samochodu wyskoczył Tomek. Pomógł wsiąść Kindze, jakby sama nie potrafiła tego zrobić. Potem wysiadł Piotrek. Dla niego znalazło się miejsce. Poczulałam się pominięta i coś mnie w środku

uknęło. Ostatnia wygramoliła się Anka. Kiedy zobaczyła Rafała, oczy jej zabłyśły. Moje pewnie też – gniewem na jaszczurkę oślizgłą i podstępną. Nie czułam w tej chwili do niej ani odrobiny sympatii.

Tomek dokonał niezbędnych prezentacji, a następnie poprosił posiadaczy chromosomu Y, żeby mu pomogli nosić torby z jedzeniem. Anka natychmiast zajęła zwolniony przez Rafała leżak. Kinga przysiadła na trawie.

– Wiesz, gdzie zaraz idziemy? – zapytała Anka. Nie miałam szansy odpowiedzieć. – Do SPA! – I zalała mnie morzem informacji.

Po ich wysłuchaniu nie czułam również sympatii do Tomka. Okazało się, że łażenie po górach wcale nie leży w planach grupy. Niby dobrze, bo nie jestem szaloną fanką wpeł zania na wzniesienia. Jak już jestem na łonie natury, to wolę ją podziwiać z poziomu kocyka. Można sobie przy tym poczytać, plecki opalić. W wylewaniu z siebie hektolitrów potu nie ma nic fajnego. Lepsze to niż robienie za straż przyboczną Kingi, która miała się na wieczór wySPAmować. Uroczystą kolację niespodziankę zaplanowano w eleganckiej restauracji. Świetnie, bo na przykład ja byłam przekonana, że to będzie coś w stylu: gasimy światło i krzyczymy „Sto lat”. Miałam nadzieję, że standardy lokalu pozwalają wpuszczać gości w dżinsach i japonkach.

Logicznie rzecz biorąc, po Tomku można się było czegoś takiego spodziewać. Należał bowiem do innego świata. Takiego, w którym ludzie posiadają mieszkanie i dwa domy, mężczyźni jeżdżą samochodami, jakich nie powstydziliby się Bond, a kobiety spędzają przedpołudnia z błotem na twarzy. Dzięki Tomkowi Kinga mogła stanąć w bramie do tego świata, a my z Anką mogłyśmy zerkać zza jej pleców.

Godzinę później leżałam goła z kamieniami na plecach i czułam się idiotycznie. Anka z Kingą rozważały, czy zrobić sobie pedicure.

Zapytana, odmówiłam, nie byłam gotowa, by ktoś obcy dotykał moich stóp. Zastanawiałam się, co robi Rafał. Pewnie gada z chłopakami.

Raczej tylko z Tomkiem. Piotrek na pewno czyta albo siedzi w necie.

Taksówka przyjechała o szóstej. Zawiozła nas do hotelu.

Wysiadłyśmy lekko skołowane, ale Tomek już na nas czekał.

Wyfraczony jak pingwin. Zaprowadził nas do stolika, przy którym siedzieli Piotrek i Rafał. Bez namysłu zajęłam miejsce obok Rafała, ale

Tomek poprosił mnie, żebym się przesiadła. No tak, bo przecież Rafał był parą Anki. Wcale mi się to nie podobało. Jemu też nie. Rzucił mi zdezorientowane spojrzenie. Pewnie w innych okolicznościach od razu powiedziałabym na głos, co o tym myślę, ale to był wieczór Kingi – nie chciałam go popsuć. Nie chciałam też, żeby zrobiła to Anka, strzelając focha. Dziś mogę się dobrze bawić z Piotrkim, a jutro...

Rozmowa się nie kleiła, jakieś bla, bla, bla, dziewczyny, jak ślicznie wyglądacie, najlepsze przyjaciółki na zawsze. Nie słuchałam. Patrzyłam Rafałowi w oczy i tonęłam – brakowało mi tchu, mózg jeszcze bohatercko walczył, ale wiedziałam, że lada moment się podda.

Kelner przyniósł kartę. Potem w milczeniu zjedliśmy trochę dziwnej sałatki. Nikt nie był głodny. Zamówiłam jakiegoś zakręconego drinka, który wyglądał jak karnawał w Rio, a smakował jak wata cukrowa. Reszta piła colę z rumem, a Rafał samą colę. Alkohol rozwiązał nam języki i wreszcie zrobiło się miło i przyjacielsko. Po kolacji nastąpiła niespodziewanie część oficjalna. Z przemówieniem.

Tomek wstał, chrząknął i zaczął opowiadać, jak poznał Kingę (jakbyśmy nie słyszeli tej historii tysiąc razy), jak ujęło go jej dobre serduszek i zakochał się bez pamięci. I teraz właśnie, w dniu jej urodzin (które są za dwa dni, ale kto by się tam czepiał szczegółów), w towarzystwie jej najlepszych przyjaciółek, bo wie, ile dla Kingi znamy, chce zadać to ważne pytanie. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął pudełeczko, a z niego pierścionek z kamieniem wielkim jak jedna z widocznych za oknem gór.

– Kochanie, czy zechcesz uczynić mnie najszczęśliwszym mężczyzną na ziemi? – zapytał.

Kinga skinęła głową, orkiestra zagrała ich piosenkę, Anka prawie się popłakała ze wzruszenia, Rafał rzucił mi ukradkowe spojrzenie, a Piotrek jakby oklapł. Potem narzeczeni poszli tańczyć.

Przyglądałam im się przez chwilę. Nie to, żeby ich miłość była moją sprawą, ale cała ta pseudozaręczynowa szopka wydała mi się lekką przesadą. Przecież tak naprawdę ledwo się znali. I co innego pojechać na weekend do Paryża. To akurat było super. Mogłam też zrozumieć, że Tomek wynajął billboard, żeby na nim wyznać Kini miłość. To było słodkie. Ale mówić o ślubie, kiedy jeszcze cała młodość przed nimi?

Rafał przysiadł się do mnie.

– Myślałem, że Tomek umówił mnie z tobą. Niezręcznie wyszło – szepnął.

Powinnam była wyjaśnić całą sytuację. Powinnam była podejść do Anki i z nią porozmawiać, ustalić, komu zależy, na ile, kto odpuszcza, a kto zostaje w grze. Nie zrobiłam tego.

– Nic się nie stało. Baw się dobrze – odpowiedziałam i posłałam mu jeden ze swoich najśłodszych uśmiechów. Rafał wrócił do Anki i zaczął ją zabawiać rozmową.

Piotrek podniósł się i złożył mi ukłon, jakbyśmy odgrywali scenę z czarno-białego filmu.

– Zatańczymy?

Nie miałam wyjścia, ociągając się, wstałam. Ku mojemu zaskoczeniu zamiast na parkiet poprowadził mnie do baru.

– Przepraszam, muszę się napić. Ciężki dzień.

Ostatnio życie Piotrka składało się z samych ciężkich dni. Studia medyczne to nie spacer po parku.

Wspięłam się na wysoki stółek i dla towarzystwa zamówiłam drinka. Nadspodziewanie szybko zobaczyłam dno i zamówiłam jeszcze jednego. To był mój pierwszy tego wieczoru błąd. Mieszanka alkoholi, które w siebie wlewałam, uderzyła mi do głowy.

Na parkiecie niedaleko od nas kołysało się kilka obcych par i Anka z Rafałem. Staralam się na nich nie patrzeć, tylko świetnie się bawić. Nawet mi się to udawało, bo raz po raz wybuchałam perlistym śmiechem. Potem zrobiło mi się niedobrze. Postanowiłam więcej nie pić. Czułam, że mało brakuje, bym przekroczyła cienką granicę, jaka dzieli bycie lekko wstawioną od kompletnie pijanej.

Przy barze koło mnie siedział jakiś Szary Gajer. Zaczęłam z nim rozmawiać. Był posiadaczem jednej z tych twarzy, które nie zapadają w pamięć. Gdyby kogoś zamordował na oczach dwustu osób, to i tak by go nie złapali, bo żaden ze świadków nie byłby w stanie pomóc w stworzeniu portretu pamięciowego. Może mu zaproponuję, żeby zamordował podstępna Ankę? Ta myśl wydała mi się tak zabawna, że wybuchłam szczerym śmiechem. Szary Gajer też. Może akurat opowiadał coś zabawnego?

– A wy z czego tak się śmiejecie? – zapytała ofiara moich morderczych myśli, pojawiając się nie wiadomo skąd. Popatrzyła na mnie badawczo. – Ile wypiałś?

– Dwa drinki – skłamałam. – Jednego przy stoliku, jednego teraz.

– Wódka po sałatce? Zabiję Piotrka, że pozwolił ci pić. – Było w niej tyle troski, że zaczęłam się bać o życie przyjaciela. W głębi sali ktoś holował do stolika grubą babę. Nie wiem, dlaczego tamtej Anka nie zabraniała pić? Dlaczego udaje taką superprzyjaciółkę, a tymczasem uderza do tego samego faceta, co ja? Przecież miałyśmy umowę! Siostrzana miłość i inne pierdoły. Niech to wszystko szlag trafi! Pieprzyć zasady! W końcu są tylko po to, żeby je łamać, no nie? Ance wolno, to mnie też!

Byłam jak dziwidło olbrzymie – roztaczałam wokół siebie cuchnącą woń złości i wszyscy dookoła ją wyczuli. Zanim jednak przy barze zdążyła zasiąść konsternacja, pojawiła się Kinga, prosząc Piotrka do tańca. Po jego twarzy przebiegł dziwny grymas. I gdyby mój mózg nie pływał w alkoholu jak żaba w formalinie, już w tym momencie dodałabym dwa do dwóch. Tymczasem nie przywiązywałam do tego wagi.

Anka zaprowadziła mnie do stolika.

– Jest pijana – zwróciła się konfidencjonalnie do Tomka.

Uznałam za słuszne zdementować. Język mi się trochę plątał.

Anka z Tomkiem zastanawiali się, co ze mną zrobić.

Niespodziewanie do rozmowy włączył się Rafał.

– Daj kluczyki – powiedział do Tomka. – Odwiozę ją.

Tomek chciał coś powiedzieć, ale Rafał był stanowczy. Kluczyki zabręczały jak dzwonek. Silne ramię objęło mnie w talii. Chyba jednak popsułam romantyczny wieczór. I to swoim łakomstwem.

Świeże powietrze mnie orzeźwiło, a wiatr wywiał z głowy opary alkoholu. Kabriolet, mrużąc łagodnie, wspinał się pod górę. Odrzuciłam głowę do tyłu, żeby pozwolić włosom tańczyć na wietrze. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, byłam już prawie trzeźwa. Przynajmniej tak mi się wydawało.

– Przepraszam, że popsułam ci wieczór – powiedziałam do Rafała, chociaż wcale nie było mi przykro. Znów byliśmy tylko we dwoje

i powrócił dobry nastrój z rana.

Roześmiał się bardzo przyjaźnie.

– Wieczór się dopiero zaczął.

Odprowadził mnie do drzwi pokoju gościnnego, który zajmowałam, nazywanego błękitną sypialnią, ponieważ wszystko było w nim niebieskie – łóżko, kapa, szafa.

– Chyba już pora iść spać – zaordynował Rafał, holując mnie w stronę łóżka.

Mogłabym iść sama, gdybym nie wolała cieszyć się jego troskliwością.

– Możesz już wracać.

– Nie wiem, czy mam ochotę wracać.

– Wolisz zostać ze mną?

– Jesteś zabawna i ładna. Dlaczego miałbym z tobą nie zostać?

Oto trafnie postawione pytanie.

Usiadłam na brzegu łóżka i pociągnęłam Rafała za rękę, by zrobił to samo. Chciałam w ten sposób przekazać zaproszenie do miłej rozmowy. Pozawerbalne komunikaty mają to do siebie, że bywają opacznie zrozumiane. Rafał wprawdzie usiadł obok, jednak nie konwersację miał w planach. Jego usta niespodziewanie spadły na moje. Ludzie, co to były za usta! Miały w sobie słodycz dojrzałych w słońcu czereśni i jednocześnie cierpkość wytrawnego wina. Tymi ustami są czył we mnie zniewalające zadowolenie. Nic więc dziwnego, że gdy się odsunął, zrozumiałam, co czuje człowiek, któremu na pustyni ktoś próbuje odebrać bukłak z wodą. Rzuciłam się na te jego cudowne usta. To tylko pocałunek. Jeden niewinny pocałunek nic nie znaczy. Ręka Rafała wędrowała wzdłuż moich pleców. Pomyślałam, że jeszcze przez chwilę pozwolę mu się całować w ten absolutnie idealny sposób. Nic innego robić nie będziemy. Nie możemy. Właściwie, dlaczego nie możemy? Żadne sensowne argumenty nie przychodziły mi do głowy. W końcu to tylko pieszczoty. Pomyślałam o Ance. To w zasadzie dla jej dobra. Po co ma się angażować w coś bez przyszłości? Nikt tu nikogo nie uwodzi. Po prostu tak wyszło. Chwilę potem w ogóle przestałam myśleć o czymkolwiek. Interesowało mnie tylko jego ciało i moje doznania. Miałam z tysiąc sposobności i powodów, żeby powiedzieć



„nie”. Nie zrobiłam tego. Pewnie w innej sytuacji trochę czasu by trwało, zanim od flirtów przesłabym do czynów. Tej nocy pozwoliłam decydować alkoholowi.

Kiedy było po wszystkim, czułam się szczęśliwa i upojona i nie było mi w głowie myślenie o konsekwencjach. Po prostu wtulona w Rafała, zasnęłam.

## Miesiąc I

Pomacałam pościel w miejscu, gdzie on powinien teraz spać. Była zimna. Z trudem zwlokłam się z łóżka i poczłapałam do łazienki. Pachniało tu wodą po goleniu. W koszu leżała jednorazowa golarka. Spojrzałam w lustro. Halloween w tym roku nadeszło wcześniej. Umyłam twarz. Wzięłam prysznic. Było mi niedobrze. Po co ja tyle piłam?

Dowlokłam swoją cielesność do salonu. Panował tu nastrój jak u Zimorowica. Tylko Piotrek się alienował. Siedział bokiem, żeby nie patrzeć na to całe spijanie sobie z dziobków.

– Patrzcie, kto się obudził – ucieszyła się Kinga. – Cześć, śpiochu!  
– Podeszła do mnie i czule mnie objęła.

– Nie krzycz – poprosiłam.

– Kac? – zapytała szczerze zmartwiona.

Piotrek uśmiechnął się do mnie blado.

– Potrzebujesz aspiryny i porządnego śniadania. Wiem, co mówię, w końcu jestem lekarzem.

– Też mi lekarz – zakpiłam. – Zwyczajny dentysta.

Byłam na niego zła. Czyż to nie on ponosi winę za to, że w mojej głowie słonie właśnie urządzają sobie potańcówkę?

Kinga podała mi procha i wodę. Wzięłam posłusznie, ale wiedziałam, że nie pomoże. W końcu jestem chemikiem. No prawie.

Przez cały czas łypałam na Rafała, ale pogrążony w rozmowie z Anką, wydawał się mnie nie widzieć. No cóż, nie takiego poranka się spodziewałam.

Piotrek trochę zbyt głośno odstawił kubek po kawie i oświadczył, że musi się zbierać. Kiedy wszyscy gwałtownie przekonywaliśmy go, żeby został, zaczął się kłamliwie tłumaczyć, że musi się przygotować do pracy, że obiecał być jutro wcześniej. Pierwszy z protestu wyłamał się Tomek.

– Odwiozę cię – oświadczył. A Piotrek bez słowa poszedł się pakować.

Nie wiem, dlaczego Kinga postanowiła pojechać z nimi. W ten sposób w domu pozostał jeden facet i dwie uderzające do niego dziewczyny. Mogło dojść do rękoczynów.

Anka siedziała na kanapie nieprzyzwoicie blisko Rafała i usta jej się nie zamykały. Rafał wydawał się zainteresowany tym, co mówiła. Ja zajęłam fotel naprzeciwko nich, nawadniałam się i próbowałam wyglądać olśniewająco, co akurat dziś było trochę trudne, bo kac mnie nieludsko męczył. Popatrzyłam na Rafała. Był taki przystojny i miły. Ewidentnie między nami zaiskrzyło. Niech się Anka popisuje, i tak nie ma szans. Tylko muszę nad sobą panować i pilnować, żeby to, co się wczoraj stało, za szybko się nie powtórzyło. Zeszłej nocy poszłam na żywioł. Muszę pomyśleć o zabezpieczeniu. Kiedy zerwałam z Robertem, przestałam brać pigułki. Po pierwsze dlatego, żeby zaoszczędzić trochę kasy, a po drugie, zupełnie nie spodziewałam się przypadkowego seksu. Właściwie nawet gdyby trafiła się okazja, to pewnie bym jej nie wykorzystwała. Nie jestem taka. Boję się AIDS i nieplanowanej ciąży. Wydarzenia wczorajszej nocy to... to był szczyt głupoty. Romantycznej, ale jednak głupoty. Nie powtórzę tego, dopóki nie wrócę do Wrocławia, nie pójde do ginekologa i nie dostanę recepty na pigułki. W Rubiniu nie mogę iść do lekarza, mama zaraz by coś zwietrzyła. Jeszcze gorzej, gdyby dowiedziała się babcia. Ona uważa, że jeśli kobieta, która ma mniej niż trzydzieści lat, idzie do ginekologa, to albo jest w ciąży, albo jest prostytutką. Według niej antykoncepcja to szatański wynalazek. Mając kogoś takiego w rodzinie, naprawdę chce się wyrwać na studia do innego miasta.

Miałam wielką ochotę się położyć, nie chciałam jednak zostawiać swojego prawie chłopaka z moją przyjaciółką, która ewidentnie miała na niego ochotę. Chciałam coś powiedzieć, ale nic błyskotliwego nie przychodziło mi do głowy. A kiedy wreszcie przyszło, zamiast mnie odezwał się telefon Rafała.

Widziałam zmianę na jego twarzy. Spowaźniał. Rozłączył się, ale jeszcze przez chwilę patrzył na telefon. W końcu powiedział:

- Mieli stłuczkę. Niedaleko jakiegoś Wilczego Jaru.
- Wilczej Poręby – poprawiłam automatycznie.

Spojrzał na mnie, jakby nie zrozumiał moich słów.

– Mieli wypadek – powtórzył. – Chłopakom nic się nie stało. Kingę zabrali do szpitala.

Dostałam cios w żołądek i nagle poczułam się bardzo źle – byłam smutna i wystraszona. I wzburzona. To na pewno wina Tomka. Nie jeździ ostrożnie. Zawsze się popisuje. Nie lubię wsiadać z nim do samochodu i dziwię się, że Kinga to robi. Ona widocznie inaczej definiuje poczucie bezpieczeństwa. Definiowała. Zacisnęłam pięści. Żeby tylko nic poważnego...

Zerwałam się z fotela i bez namysłu ruszyłam ku wyjściu.

– Ty dokąd? – To Anka.

– Do Kingi – wyjaśniłam.

Przez całą drogę do szpitala żadne z nas nie powiedziało ani słowa. Moja wyobraźnia podsuwała mi okropne obrazy trupio bladej, zakrwawionej twarzy Kingi. Nie mogłam się ich pozbyć.

Na szpitalnym korytarzu siedział biały jak kreda Piotrek. Wstał, kiedy nas zobaczył. Prawie podbiegłam do niego i z całej siły się przytuliłam.

– W porządku – uspokajał, gładząc mnie po włosach. – Wszystko z nią w porządku. Jest na badaniach. Czekam na wyniki. Ma złamaną rękę, podejrzewają wstrząs mózgu.

– Co się stało? Co się właściwie stało? – Anka koniecznie chciała wiedzieć.

Wypadek się stał. Ludzie są głupi, nieodpowiedzialni i jeszcze planują małżeństwo.

Odpowiedź Piotrka była lakoniczna. „Facet wyjechał z podporządkowanej”. Gdy próbowała wydobyć z niego więcej informacji, odpowiadał monosylabami albo nie odpowiadał w ogóle.

W końcu na korytarzu pojawił się lekarz, podszedł do Piotrka i coś mu tłumaczył półgłosem.

– To tylko lekkie wstrząśnienie mózgu – objaśnił nam przyjaciel. – Możemy ją zobaczyć, ale na krótko, potrzebuje odpoczynku.

Nie wiem, czy wstrząśnienie mózgu to „tylko”, ale pewnie Piotrek wie lepiej, w końcu jest lekarzem.

Weszliśmy na chwilę do sali. Kinga leżała na wąskim łóżku pod oknem. Jej twarz miała ten sam kolor co szpitalne ściany – biały, na

granicy jasnej szarości.

– Gdzie Tomek? – zapytała nas na przywitanie.

– Został przy samochodzie. Trzeba spisać protokół. To potrwa.

Przyjdzie do ciebie później – powiedział Piotrek i z czułością pogładził ją po ręku.

Dziwne. Wczoraj facet dał jej pierścionek i prosił, by spędziła z nim życie, a dzisiaj wybrał samochód? To tylko kupa metalu, nic nie stracimy, jeśli na zawsze zniknie z naszych oczu. To ludzkie życie ma wartość i gdyby Kinga zniknęła, ubyłyby cząstki nas samych.

Niezręczną ciszę, jaka zapadła, przerwał Rafał:

– Przyjdziemy po południu, teraz odpoczywaj. –

I bezceremonialnie wypchnął nas z sali, nie pozwalając nic powiedzieć.

Wróciliśmy do willi. Nikt się nie odzywał. Określenie „grobowa cisza” pasowało do tego miejsca, które wyglądało jak mauzoleum. Chciałam uciec. Wyszłam na taras.

Myślałam o Kindze. Była taka blada i przerażona. Przypomniała mi się Anka, jak leżała na szpitalnym łóżku, nieszczęśliwa i opuszczona. Wszystkie emocje wróciły. Zawiodłam ją. Nie przyszłam na czas. Obiecywałam, że wszystko będzie dobrze. Jednak już o tym zapomniałam i teraz podrywam chłopaka, który się jej podoba. Zołza ze mnie.

– Zobaczymy, co z Kingą – powiedziałam po powrocie do salonu.

– Jeśli dalej będzie się źle czuła, to chyba nie będziemy tu siedzieć i jutro wracamy do domu.

– Ale Rafał jest w Karpaczu pierwszy raz. Chciałam mu pokazać świątynię Wang – zaproponowała Ania.

– To zostańcie. Nic nie stoi na przeszkodzie – zajazgotałam jak rozwścieczony rottweiler. – Ja idę się pakować – dodałam łagodniej, bo to na siebie byłam zła, nie na nią. I podniosłam się z miejsca.

Rafał i Piotrek poszli w moje ślady. Anka z ociąganiem również wstała.

W pośpiechu ścieliłam łóżko i upychałam rzeczy do plecaka. Kiedy ktoś zapukał, miałam nadzieję, że to Rafał, ale w drzwiach stał Piotrek. Usiadł na łóżku. Patrzył, jak się pakuję.

– To moja wina – powiedział cicho.

– Co? – Nie rozumiałam.

– To przeze mnie. Nie chciałem tu siedzieć. Jeśli Kindze coś się stanie...

Porzuciłam chaotyczne upychanie ciuchów do plecaka. Usiadłam obok przyjaciela i położyłam rękę na jego ramieniu.

– Po pierwsze, nic jej się nie stanie – uspokajałam. – Po drugie, chyba nie zaplanowałeś tego wszystkiego. A po trzecie, Tomek jeździ jak wariat. Każdy, kto wsiada z nim do samochodu, ryzykuje.

Chciałam coś jeszcze dodać. Popatrzyłam na Piotrka, miał łzy w oczach.

– Wszystko będzie dobrze, obiecuję – zapewniłam żarliwie.

W odpowiedzi nieznacznie skinął głową. Łzy, które pojawiły się chwilę temu, teraz ciurkiem płynęły z jego oczu.

Byłam zdziwiona. Nigdy nie widziałam płaczącego faceta. Fakt, Piotrek zawsze był wrażliwy i delikatny, niemniej nawet po nim nie spodziewałabym się takiego zachowania.

– No już dobrze. – Objęłam go ramionami.

– Nie jest... kurwa... dobrze – chlipał mi w rękaw. – Ten debil ją... jeśli jej się coś stanie... co ja bez niej zrobię?

– Nic jej się nie stanie. Wszystko będzie dobrze – pocieszałam go. I myślałam o tym, co przed chwilą usłyszałam. „Co ja bez niej zrobię?”. Czy to znaczyło, że on coś do niej czuje? Jak to? Od kiedy? Nie mogłam o nic zapytać. Być może już żałował swojej szczerości.

– Wiesz, pójdę zrobię nam herbaty. Jesteśmy zdenerwowani i kiepsko reagujemy na bodźce.

Wyszłam z pokoju. Kiedy zamykałam drzwi, usłyszałam szloch Piotrka. Może lepiej go zostawić, niech się wypłaczę i pozbiera?

W kuchni dopadła mnie Anka.

– Co ci jest? – zapytała lekko napastliwie.

– Trochę mną wstrząsnął ten wypadek – starałam się mówić spokojnie. – Tobą nie?

– Też. Ale nie o to mi chodzi. Unikasz mnie – zauważyła.

Prawda. Od wczoraj praktycznie słowa z nią nie zamieniłam.

Sięgnęłam po czajnik i nalałam do niego wody, uciekając przed jej badawczym spojrzeniem.

– Wydaje ci się. Przesilenie jesienne dopadło mnie w tym roku wcześniej niż zwykle – niemrawo próbowałam żartować.

– Jasne – powiedziała tonem osoby, która wie, że jest okłamywana.  
– Powiedz prawdę, to przez Rafała?

Stado mrówek z tupotem przebiegło mi wzdłuż kręgosłupa. Wzdrygnęłam się. Szaleńczo próbowałam znaleźć słowa, które dobrze zabrzmiały w tej złej sytuacji. Na szczęście Anka zdążyła mnie uratować, zanim powiedziałam coś głupiego.

– Przepraszam. Masz prawo być zła.

Nie mogłam się z nią nie zgodzić. Wydałam więc z siebie dźwięk umiarkowanej dezaprobaty, takie „ghmyy” mniej więcej.

– Wiem, że się umówiliśmy. Tomek zadzwonił, powiedział, co szykuje dla Kingi i że bym z kimś przyszła. Wiesz, że nie miałam z kim?

– Wiedziałaś, że się oświadczy? – zdziwiłam się.

– No jasne, nawet pierścionek pomogłam mu wybrać.

Nie powiem, poczułam się totalnie pominięta.

– Och, nie gniewaj się, proszę. – Zrobiła wielkie, smutne oczy.

– Nie gniewam się. – Nie cierpię, kiedy się wybałusza. I wcale nie chodzi o to, że mięknę, chociaż Anka pewnie tak myśli. Wyobrażam sobie, jak te oczy eksplodują, i mdli mnie od tego.

– Masz prawo się gniewać. Jestem winna – powiedziała. Cóż, ja nie mniej. Choć do tego akurat nie chciałam się przyznawać. – Umówiliśmy się, że nie jesteśmy zainteresowane. Uwierz mi, to przypadek. Tomek nalegał, że bym kogoś zaprosiła, bo inaczej będzie to impreza z przewagą kobiet. Nie znam nikogo fajnego, komu mogłam zaproponować taki wypad. Wtedy Tomek rzucił: „Ja znam, zdaj się na mnie”. Kiedy zobaczyłam kto to, nogi się pode mną ugięły. Pomyślałam, że to przeznaczenie.

„Anka, to nie tak! To nie twoje przeznaczenie, tylko moje”, chciałam powiedzieć. Powinam. Nie powiedziałam.

– Wiesz, jaka jestem. Niczego nie potrafię doprowadzić do końca. Mam wrażenie, że tym razem będzie inaczej. Czuję, że Rafał jest skałą, na której mogłabym zbudować swoją przyszłość. To miejsce, góry, zaręczyny naszych przyjaciół. To znak.

Kiedy to mówiła, boleśnie ścisnęło mnie w środku. Chciałam coś

powiedzieć, ale cholernie ciężko jest mówić, jak się ma serce obwiązane drutem kolczastym.

– Niczego w życiu nie potrafiłam zrobić porządnie. Tyle rzeczy zepsułam swoją niecierpliwością. Teraz wszystko będzie inaczej – westchnęła. – No, nie gniewasz się już?

To był właściwy moment, żeby powiedzieć prawdę. Już otwierałam usta. W oczach zapiekły mnie łzy.

– Jesteś najlepszą przyjaciółką na świecie – ucieszyła się. Przekonana, że powodem mojego wzruszenia jest jej szczęście, też się popłakała.

Czułam się tak, jakby ktoś włożył moją jaźń do pudełka i mocno nim potrząsnął.

Złapałam kubek z herbatą i uciekłam z kuchni. Wpadłam do swojego pokoju, omal nie oblewając Piotrka wrzątkiem.

– Co się stało? – zapytał, widząc moją twarz.

– Najwyraźniej mamy dziś pieprzony dzień złamanych serc. – I rozplakałam się na dobre.

Trochę trwało, zanim się uspokoiliłam. Próbowałam sobie wszystko logicznie poukładać. To było trudne, bo nie czułam się najlepiej. Nie tylko psychicznie. Bycie zdradliwą żoną nie jest fajne. Myśl o tym, co zrobiłam przyjaciółce, zapukała do drzwi mojego sumienia. Ta moja fascynacja Rafałem. Czy chodziło o niego, czy raczej o mnie? Przyzwyczyłam się, że to ja spijam życiową śmietankę, natomiast Anka zawsze ma gorzej. Gorsze oceny w szkole, okropną pracę i beznadziejnych chłopaków. A przecież wcale na to nie zasługuje; jest bystra, całkiem zgrabna i bardzo miła. O! I jeszcze przyjaciółkę ma wredną, która myślała o niej złe rzeczy, a to był przypadek i wina Tomka. Powinna dostać swoją szansę. Jeśli dla Rafała coś znaczę, powie Ance „nie”. To będzie trochę jak w romantycznej opowieści sprzed wieków, w której zakochani, zanim się zesłi, byli wystawieni na szereg pokus i prób.

Cicho zapukałam do jego drzwi.

– Proszę – usłyszałam. Weszłam i stanęłam z ręką na klamce. To się nazywa zabezpieczyć sobie odwrót.

– Coś się stało? – zaniepokoił się, widząc moje opuchnięte oczy.



– Chciałam z tobą porozmawiać.

– To rozmawiaj. – Uśmiechnął się i wykonał taki gest, jakby chciał mnie objąć. Powstrzymałam go ruchem ręki. Wolałam zachować dystans.

– To, co się wczoraj stało... Nie do końca trzeźwo myślałam... Dziś ten wypadek. Czuję się skołowana i nie potrafię sobie tego poukładać. Potrzebuję odrobiny czasu, żeby wszystko przemyśleć.

– Ile tylko chcesz.

Nie byłam do końca przekonana, czy rozumie, że go od siebie odsuwam.

– I... nie mów nikomu o tym, co było między nami. Zadzwoń, dobrze? – dodałam jeszcze.

Przyglądał mi się badawczo.

– Tylko nie zwlekaj zbyt długo – rzucił, gdy wychodziłam z pokoju.

Po południu poszłam z Piotrkiem do Kingi. Obok łóżka na metalowym stołku siedziała mama naszej przyjaciółki. W jej wielkich, wyrazistych oczach malowała się troska o jedynaczkę, wciąż bladą, nie wiem, czy ciągle ze strachu, czy ze zmęczenia. Uściskałam je obie.

Wiedziałam, że Piotrek też się martwi, ale on miał o tyle gorzej, że nie mógł tego pokazać. Gdybym nie wiedziała, co czuje, w tym momencie bym się nie zorientowała.

– Po Tomka przyjechał ojciec – opowiadała mama Kingi. – Nie wiem, który z nich był bardziej zdenerwowany. Zabierze go na badania. Ty też powinieneś się przebadać – zwróciła się do Piotrka. Westchnęła. – Oj dzieci, dzieci. Masz szczęście, że ciebie tam nie było – powiedziała do mnie.

Może mi się wydawało, ale usłyszałam w jej głosie nutę żalu, że ja jestem cała i zdrowa, a jej córce robili prześwietlenie głowy. Może byłam przewrażliwiona. Moja mama mówi, że źle oceniam ludzi.

Chwilę posiedzieliśmy. Pożegnaliśmy się, gdy milczenie stało się nie do wytrzymania.

– Zadzwoń do taty, żeby po mnie przyjechał – poinformowałam Piotrka, kiedy byliśmy na zewnątrz. – Chciałbyś się z nami zabrać?

– Rozmawiałem z lekarzem. Zadzwoń do mnie, jeśli coś się

zacznie dziać...

Zrozumiałam.

– Okej. Właściwie też mogę zostać do jutra.

Tak bardzo pragnęłam znaleźć się już w domu. Najlepiej, żeby ten weekend w ogóle się nie wydarzył.

Było jeszcze szaro, kiedy obudziła mnie Anka.

– Wstawaj, musimy się zbierać. – Szarpnęła moje ramię.

– Nie za wcześnie? – zapytałam. Bardzo chciało mi się spać.

Miałam wrażenie, że dopiero zasnęłam. W nocy długo przewracałam się z boku na bok, bo po głowie tłukły mi się okropne myśli.

– W sam raz – odpowiedziała z uśmiechem. Kocham ten nasz stary tekst. Kiedyś poprosiłam ją, żeby mnie obudziła, ale nie za wcześnie, tylko tak w sam raz. Bardzo ją to wtedy rozśmieszyło i potem często posługiwałyśmy się tym tekstem. To jest właśnie przyjaźń, gdy słowa mają znaczenie i przywołują wspólne wspomnienia. Nie można tego zmarnować.

Podniosłam się z ociąganiem, spojrzałam w okno. Słońce wstawało równie chętnie jak ja.

– Jest jeszcze ciemno.

– Muszę zdążyć do roboty. Piotrek też. Wczoraj o tym rozmawialiśmy.

Widocznie wyłączyłam fonię.

– Jazda do łazienki. Zbiórka i wymarsz za dwadzieścia minut.

Zmełłam w ustach przekleństwo. Nie zdążę zjeść śniadania! Nie byłam wyznawczynią zdrowego odżywiania, na studiach to trudne do realizacji. Miałam jednak obsesję na punkcie śniadań. Dobry nawyk wyniesiony z domu z czasem ewoluował w obsesję. Dzień zaczynałam śniadaniem. Jeśli z jakiegoś powodu go nie zjadłam, źle się później czułam. Wczoraj męczył mnie kac, dziś dokuczać będzie brak porannej porcji węglowodanów. Trudno. Wszystko jakieś takie zwariowane.

Po drodze na przystanek milczeliśmy. W autobusie Anka usiadła obok Rafała. Bez przerwy gadała, czym działała mi na nerwy. Nie tylko dlatego, że ja chciałam z nim być, rozmawiać, poczuć zapach jego skóry. Miałam wrażenie, że Anka nie pamięta już, co się wczoraj stało – Kinga dotknęła linii dzielącej życie od śmierci. Było dobrze, ale mógł być

dramat.

Na dworcu w Jeleniej Górze dostałam tylko buziaka na pożegnanie. Kiedy Rafał zajmował miejsce w pociągu, podniósł rękę do twarzy w geście „zadzwoń do mnie”, uśmiechnął się i mi pomachał. Też mu pomachałam.

– Znajdziesz dla mnie czas? Może poszlibyśmy na piwo? – zapytał Piotrek, stojąc na stopniach wagonu.

– Kiedy tylko zechcesz – odpowiedziałam. Z jakiegoś powodu potrzebowałam jego towarzystwa. Był teraz moją największą bratnią duszą na świecie.

Patrzyłam za pociągiem odjeżdżającym w stronę Wrocławia. Na swój musiałam czekać jeszcze pół godziny. Rozejrzałam się za ławką. Po peronie kręciło się sporo ludzi, dojeżdżali do pracy. Było mi zimno. Zapięłam bluzę i naciągnęłam kaptur, ale nie pomogło.

Piotrek zadzwonił w następny piątek, trochę po czwartej.

– To jak, spotkamy się? – zapytał.

– Jacha.

– Za pół godziny pod budą? – szybko ustalił czas i miejsce.

– Za trzy kwadranse. – To był dla mnie optymalny czas.

Dwadzieścia minut na wyszykowanie się, dwadzieścia na dojście i pięć na wszelki wypadek.

– Będę czekał.

„Pod budą” znaczyło pod naszym liceum, które mieściło się w pięknym poniemieckim budynku. Po drugiej stronie ulicy był skwer, przez lata zaniedbywany, ale niedawno zyskał drugą młodość i stał się śliczny – wąskie alejki, przy których rosły kolorowe róże, strzeliste tuje i rozłożyste berberysy. Ławki okupowały dziewczyny z gimnazjum, które piskami próbowały zwrócić na siebie uwagę licealistów. Ci jednak unikali tego miejsca, znajdującego się tuż pod nosem nauczycieli, woleli chodzić dalej, na uliczki za liceum, których nie było widać z okien dyrektorskiego gabinetu.

Piotrek, Anka i ja zaczęliśmy się spotykać na tym skwerze po maturze – przez sentyment.

Rozbawiło mnie to „pod budą”. Piotrek używał zwrotów jak ze słownika nastolatka. Dziwny był. Czasem poważny, zadumany student,

a czasem niedojrzały dzieciuch.

Kiedy dotarłam do szkoły, Piotrek już na mnie czekał. Siedział na ławce, obok niego leżała brązowa skórzana torba na ramię. Otworzył ją i przesunął w moją stronę.

– Jest ciepło, pomyślałem, że zrobimy sobie piknik.

– Tu nie wolno pić. Dadzą ci mandat i jeszcze ze szkoły wywalą.

Piotrek się uśmiechnął. Przez grzeczność, bo rozbawiony nie był. Zapiął torbę i przewiesił przez ramię.

– Jakież propozycje?

– Moglibyśmy pójść na Kamienną? Chociaż... Chyba będzie sporo ludzi – rzuciłam po chwili zastanowienia.

– Poszukamy spokojnego miejsca.

Nasze miasteczko leżało w dolinie małej rzeki. Ludzie, którzy tu przyjeżdżali, nie rozumieli, dlaczego patrzymy na nią z niepokojem. Tymczasem niepozorna struga w okresie wiosennych roztopów potrafiła zaszaleć, zdarzało jej się zrywać mosty, przewracać drzewa i zalewać domy. Bezpiecznie było wtedy tylko na wzgórzach za miastem. Kamienna jest najwyższym wzgórzem. Ktoś mówił, że to dawno wygasły wulkan. Wśród porastających go starych drzew było wiele malowniczych miejsc, a włóczenie się po nich stanowiło ulubioną rozrywkę tutejszej młodzieży. Jeśli nie jedyną. Bo co można robić w mieście, gdzie nie ma kin, klubów ani pubów, a na sobotnią dyskotekę zjeżdżają oszołomy z okolicznych wiosek?

Dotarliśmy w końcu do najfajniejszego miejsca, romantycznego i malowniczego, jakby z obrazu Kitty Kielland, gdzie na niewielkiej polanie, otoczonej srebrnymi bukami, leżał ogromny, szary głaz. Słońce go nagrzało i był przyjemnie ciepły. Wodziłam przez chwilę dłonią po chropowatej strukturze, dopiero potem usiadłam.

Piotrek wyjął z torby puszkę i mi ją podał. Pomyślałam o gorzkawym smaku chłodnego napoju. Już miałam go otworzyć. Niespodziewanie zrobiło mi się niedobrze. Wstrząsnęło mną, dostałam gęsiej skórki.

– Nie mam ochoty. Dzięki. – Przejechałam ręką po skórze.

Pogrzebał w torbie.

– Mam colę. Tylko ciepłą.

– Może być. – Wzięłam od niego puszkę. Otworzyłam i przez chwilę czekałam, aż gaz się ulotni.

– A co masz do jedzenia?

– Krakеры, paluszki, jakieś ciastka. Z klasyki jest bułka i kabanosy.

– Poproszę klasykę.

W tych niedawnych studenckich czasach, kiedy wszyscy mieszkaliśmy w akademikach i klepaliśmy studencką biedę, cienkie kiełbaski były rarytasem i uświetniały tylko naprawdę ważne okazje. Jak szybko minęły te lata. Coś tak istotnego wydawało mi się teraz głupie i dziecinne. Wszystko się zmieniło. Anka musiała się wynieść do mieszkania studenckiego, Kinga zamieszkała na stacji, bo potrzebowała spokoju, Piotrek stać było na kawalerkę. Tylko ja ciągle miałam adres na placu Grunwaldzkim. Nie, nie chodziło o to, że zmieniły się miejsca zamieszkania, coś w nas samych uległo metamorfozie. Wczoraj banda dzieciaków, dziś prawie dorośli. Zasmuciło mnie to.

Piotrek zostawił torbę na ziemi, a sam wdrapał się na głąz. Stuknęliśmy się puszkami. Roześmiał się, ja też. Ładnie się uśmiechał, jakby wstydlawie. Gdyby nie Ania, może miałby szansę być moim najlepszym przyjacielem?

– Chciałem z tobą pogadać o tym, co się stało w Karpaczu – zaczął niepewnie.

– Domyśliłam się.

– Wiesz, nie chciałbym...

– Spoko, Piotrek, nie jestem papłą. Nikomu nie powiem – uspokoilał go.

– To akurat wiem. Chciałem ci wytłumaczyć, dlaczego wtedy... – Przerwał na chwilę, patrząc w dal.

Już miałam mu powiedzieć, że to jest jego sprawa, że z niczego nie musi się tłumaczyć, kiedy zrozumiałam, że on chce się wygadać.

Dlatego milczałam. Czekałam.

– Przestraszyłem się – podjął Piotrek po chwili. – Naprawdę się przestraszyłem. Zaczęły mi przychodzić do głowy różne rzeczy, że mógł się na przykład zrobić krwiał. I że ona może umrzeć. Ten kretyn mógł nas wszystkich zabić, mógł zabić ją.... Wiesz, ja ją... Kocham – wyrzucił

wreszcie z siebie.

Przecież miałam wszystkie przesłanki, tylko nie potrafiłam przeprowadzić właściwego wniosku.

Wydawało mi się, że powinnam o coś zapytać, ale nie wiedziałam o co, dlatego zadałam pierwsze pytanie, które przyszło mi do głowy.

– Od dawna?

Westchnął ciężko.

– Od początku.

Wróciłam wspomnieniami do chwili, kiedy poznałam Kingę. To było w pociągu. Piątkowe popołudnie i koszmar powrotu do domu – studenci upchani w wagonie jak sardynki w puszcze. Cudem udało mi się wcisnąć do pociągu. Próbowałam znaleźć trochę miejsca na drugą nogę, kiedy usłyszałam: „Uważaj!”. Odwróciłam się i przeprosiłam, a ona odpowiedziała, że nie szkodzi. Stałyśmy przyciśnięte do siebie; więź już została nawiązana, więc zwyczajnie zaczęłyśmy rozmawiać. Niewinna gadka skończyła się wielką przyjaźnią.

Kinga była bardzo sympatyczna. Dogadała się z Anką, głównie dlatego, że przeciwieństwa się przyciągają, i została trzecim muszkietierem. Nie pamiętam, kiedy poznałyśmy Kingę z Piotrkim, ale to musiało być w tym samym czasie. Trzy lata skrywanej miłości. Ła!

– I nic nie powiedziałaś? – Zabrzmiało to tak, jakbym miała pretensje.

Opuścił smętnie głowę, a mnie zrobiło się przykro, bo nie miałam złych intencji i byłam tu jako grupa wsparcia.

– Mogłeś powiedzieć, może razem byśmy coś wymyślili?

Nie odpowiedział. Zsunął się z kamienia. Wyjął z torby puszkę i pił w milczeniu. Też się nie odzywałam. Było mi go tak bardzo żal.

– Nie muszę z nią być. Nie uważam, że tylko ja mógłbym dać jej szczęście, ale byłbym spokojniejszy, gdyby była z kimś, kto... no przynajmniej ją rozumie.

– Co masz na myśli?

– Tomek zniszczy jej życie. Te jego tradycyjne wartości! Idiota! Kinga jest zupełnie inna, a on tego nie widzi.

Nie obruszyłam się, kiedy Piotrek nazwał Tomka idiotą. Może dlatego, że teraz nie najlepiej o nim myślałam? O sobie też tak

powinna pomyśleć, bo jeszcze kilka dni temu Tomek był dla mnie chodzącym ideałem. Taki fajny chłopak, miły i serdeczny. Nie dostawał hysterii, kiedy słyszał od Kingi słowa: „w przyszłości”, „ślub”, „nasz dom”. U Roberta, z którym jeszcze niedawno byłam, czas przyszły wywoływał mały atak paniki.

Widziałam wady Tomka, ale przed wypadkiem go usprawiedliwiałam. Dobry chłopak, a że trochę zadufany w sobie, ma prawo – jest przystojny, bogaty, popisuje się – jak wszyscy faceci, jeździ zbyt szybko – ułańska fantazja. Jednak teraz nie znajdowałam żadnego wytłumaczenia i musiałam nazwać rzeczy po imieniu – brawura, nieodpowiedzialność, głupota.

– Wydaje się, że Kingde to nie przeszkadza – powiedziałam bardziej do siebie niż do Piotrka.

– Otóż to! Wydaje się.

– Wiesz lepiej niż ona? – Kinga milion razy powtarzała, że jest najszczęśliwszą kobietą na świecie, i wyglądało na to, że wiedziała, co mówi.

– Wiem. Widzisz, jak ona żyje? Czemu ty z Anką tak nie robicie?

Ance nie wychodziły same studia, a co dopiero mówić o łączeniu ich z pracą i życiem osobistym. Ja zrobiłam staż, bo był mi potrzebny, ale kierat praca–studia na dłuższą metę? To nie dla mnie. Przecież tylko raz jest się młodym. Trzeba to wykorzystać, wyszaleć się, wyszumieć. Dorosłość może nadejść szybciej, niż się spodziewamy.

– Nie wiem. – Zaszurałam trampkiem o kamień. – Skoncentrowałam się na studiach.

– Chcesz zostać na uczelni i realizujesz to, choć zbytnio się nie przemęczasz, bo z natury jesteś bystra i inteligentna. Kinga... Ona potrzebuje nowych wyzwań, jak ryba wody. Energia ją rozpiera, dlatego ciągle podnosi sobie poprzeczkę. Tomek ją tego pozbawi, zamykając w domu z ogródkiem.

– Może ona właśnie tego chce? Domu, stabilizacji, jak każda normalna kobieta. Jak ja. Oczywiście dopiero za kilka lat – dodałam pośpiesznie, a Piotrek zaklął paskudnie.

– Jeśli twoim zdaniem każda normalna kobieta chce stabilizacji, to Kinga albo nie jest kobietą, albo nie jest normalna. Powiem ci, czego ona

chce: pracy i wyzwania.

– Tomek daje jej wsparcie – odrzekłam, nieopatrznie wchodząc w rolę adwokata diabła, bo w głębi serca byłam po stronie Piotrka.

– Po co jej wsparcie? Jest silna i zdeterminowana. Da sobie radę bez opieki. Jeśli rzeczywiście czegoś potrzebuje, to pochwał. Ludzie lubią, gdy ich trud jest doceniany.

– Byłbyś dla niej lepszy?

Patrzył przed siebie zamyślony. Potarł czoło ręką i odgarnął z niego włosy. Miał piękne włosy w złocistym, pszenicznym kolorze. Wyglądały jak aureola dookoła jego pociągłej twarzy o smutnych oczach. W ogóle, gdyby Piotrek nie był tak chorobliwie szczupły, mógłby być z niego całkiem do rzeczy facet.

– To nie tak – odpowiedział w końcu. – To, że ją rozumiem, nie znaczy, że mogę ją uczynić szczęśliwą. Do tego musiałaby mnie pokochać.

– Może spróbuj – zachęciłam.

– Jaja sobie robisz? – zapytał tak, że od razu zrobiło mi się głupio. Przez dłuższą chwilę trwało milczenie, które on przerwał.

– No to teraz ty mi powiedz, co zaszło między tobą a tym miłym prawnikiem. – Nie pytał. Byłam pewna, że wszystkiego się domyśla. Bystry jest.

– A jak ci się wydaje?

– Spałaś z nim? – upewniał się. Skinęłam głową. – Będzie chryja, jak Anka się dowie.

– Modlę się, żeby się nie dowiedziała.

– Daj ci Boże. – Zgniółł swoją puszkę.

Kinga leżała w szpitalu jeszcze tydzień. Ojciec Tomka zapowiedział, że nie da mu już nigdy kluczyków do samochodu. Miałam nadzieję, że dla dobra Tomka i wszystkich innych kierowców dotrzyma słowa.

Ze trzy razy wybierałam numer Rafała, ale zawsze się powstrzymywałam. Nie powinnam do niego dzwonić i jeszcze bardziej komplikować całej sytuacji. Zresztą, co miałabym mu powiedzieć? Że bardzo mi się podoba, ale moja przyjaciółka ma prawo pierwokupu? Stwierdziłby, że jestem idiotką, która sama nie wie, czego chce.



Poczekam. Jeśli jest mi pisany... – myślałam naiwnie.

W końcu zadzwoniłabym, gdyby Anka nie przyjechała na weekend. „Już natychmiast, teraz musimy się spotkać”, piszczała w telefon. No to poszłam. Chciała się podzielić ze mną wrażeniami, ale ja nie bardzo miałam ochotę słuchać. Od tych: „Och! Jaki on wspaniały, przystojny i elegancki” robiło mi się niedobrze, więc kiedy zadzwoniła następnym razem, w ogóle nie odebrałam telefonu. Byłam zła i na nią, i na niego. Najlepiej czułabym się w towarzystwie Piotrka. Niestety wyjechał, zostawiając mnie samą. Samotną.

Pod pozorem zbierania materiałów do pracy magisterskiej wyrwałam się do Wrocławia. Chciałam powłóczyć się po mieście. Liznąć kultury, żeby ze szczeniem nie schamieć w naszym zaścianku.

Wrocław był jak zwykle śliczny. Kamieniczki na Rynku, niczym wielkie damy, z dumą eksponowały swoje piękno przed tłumami turystów. Dzień był pogodny, niebo jasne, wszystko wydawało się na swoim miejscu. Aż do momentu, kiedy los zaprowadził mnie na plac Solny. Czasami sami siebie czynimy bezbronnymi. Gdybym się tak nie cieszyła z tego shoppingu, butów i sukienki, gdybym sobie nie obiecywała, że dziś wszystko będzie idealnie...

Weszłam na Solny i nagle stanęłam oko w oko z Panem Karmelkiem. Jeszcze bardziej brązowym i apetycznym niż wtedy, kiedy go ostatnio widziałam.

– Cześć, Karolina! – przywitał mnie i cmoknął w policzek.

– Cześć, Rafał – odpowiedziałam słodko i ucieszyłam się, bo wyglądałam dziś jak milion dolarów.

– Co tu robisz? – zapytał.

– Przyjechałam na zakupy. – Zamachałam torbami. – A ty?

– Umówiłem się z Anią – odrzekł. Dopiero wtedy zauważyłam, że trzyma w ręku mały bukietik kwiatów. Momentalnie poczułam, że moje akcje osiągnęły właśnie wartość jednego centa.

– Umówiłeś się z Anią? – spytałam. W moim głosie jednocześnie brzmiał żal, wymówka i złość.

– Poniekąd – odpowiedział. – Nie zadzwoniłaś...

Nie zadzwoniłam! Owszem, ale miałam zamiar. Tylko nie miałam prawa, bo to nie byłoby w porządku wobec mojej najlepszej przyjaciółki.

Chciałam dać jej trochę czasu, żeby zrozumiała, że nic z tego nie będzie. Poczułam, jak zalewa mnie wściekłość. Na siebie, na Ankę, a przede wszystkim na Rafała. Przecież miał powiedzieć: „Sorki, Ania, nic z tego nie będzie, bo kocham Karolinę”, a tymczasem on kupuje jej kwiaty. Nagle zapragnęłam mu dokopać.

– Ano nie zadzwoniłam. Bo i po co? – Rafał chciał coś powiedzieć, ale mu nie pozwoliłam. – Trochę mnie poniosło. Romantyczna atmosfera i alkohol zrobiły swoje. To nic nie znaczyło.

Chyba dopięłam swego, ponieważ wyglądało na to, że moje słowa go zasmuciły, i przez ułamek sekundy żałowałam, że padły. Wtedy zjawiała się Anka. Od razu zaznaczyła granice swojego terytorium. Tak się przyssała do Rafałowego policzka, że mało mu dziury nie zrobiła. Pijawka!

– To ja już sobie idę! – pożegnałam się i pędem ruszyłam przed siebie.

– Karolina, zaczekaj... – próbował mnie zatrzymać Rafał. Udałam, że nie słyszę.

Szłam tak szybko, że prawie udało mi się uciec przed smutkiem, który dogonił mnie dopiero na Świdnickiej. Najpierw poczułam ciepłe łzy spływające po policzkach. Potem rozplakałam się na dobre. Cholerny Casanova! No, ale czego się spodziewałam po facecie z taką gębą? Świnia. Nie facet, tylko zwykła świnia.

Wtedy nawet przez myśl mi nie przeszło, że jeśli ktoś mnie krzywdzi, to po prostu jestem to ja sama.

## Miesiąc II

Ostatni rok miał być ukoronowaniem moich studiów. Do tej pory bywało różnie, lecz często miałam szczęście i spadałam na cztery łapy. Teraz od samego początku chciałam błyszczeć. Miałam materiały do pracy magisterskiej i trochę badań. Myślałam o tym, co Piotrek powiedział o Kindze, i uznałam, że też będę ambitna.

Plan był niezły, gorzej z realizacją. Nie szło mi, byłam rozbita. Rano budziłam się z mdłym posmakiem w ustach, jakbym trzymała w nich monety. Zmęczenie dawało mi się we znaki, byłam przez to rozkojarzona. Wszystko mnie drażniło.

Pod koniec września, kiedy pakując się do wyjazdu na studia, sięgnęłam po paczkę podpasek, zorientowałam się, że chyba nie miałam miesięczki. Ostatnia, jaką pamiętałam, zaczęła się piętnastego sierpnia i była pretekstem, żeby nie iść z babcią do kościoła.

Skoro się źle czułam, to pewnie okres mi się przesunął, wytłumaczyłam sobie. Poza tym był ten wyjazd w góry. Zmiana klimatu zawsze wpływa na mój cykl. Machnęłam na to ręką. Cięża? Ta myśl wydała mi się tak absurdalna, że aż śmieszna.

Mijały dni, a krwawienie się nie pojawiało. Cięża? Nie! To niemożliwe. Przecież to był tylko jeden raz i tak znikome prawdopodobieństwo. Komórka jajowa żyje dobę, plemniki trzy doby. Spędziłam z Rafałem tylko jeden dzień, właściwie noc.

Cięża? Nie myślałam już o niczym innym.

Zadzwoiła Anka i zapytała, czy wyskoczę z nią i Rafałem na miasto. Powiedziałam, że boli mnie głowa. Naprawdę bolała. „Trochę świeżego powietrza dobrze ci zrobi” – przekonywała. W ostatniej chwili powstrzymałam się przed powiedzeniem, że na to żadne powietrze nie pomoże. Bo to cięża... Cięża...? Nie... A może...?

Szybko się ubrałam. Przeszłam spory kawałek, bo nie chciałam kupować testu ciążowego w najbliższej aptece. Potem pomyślałam, że może coś mi nie wyjść, i w następnej kupiłam jeszcze dwa. Pomimo moich obaw żaden nie był wadliwy ani przeterminowany. Patrzyłam na

sześć niebieskich kreseczek i łzy płynęły mi strumieniami. Mój świat się zawalił, a ja leżałam pod gruzami, zdziwiona ich ciężarem.

Wreszcie skończyły mi się łzy. Już tylko siedziałam i jęczałam. Jedno po drugim zaczęły się pojawiać pytania.

Wśród nich to, o którym myślałam, że nigdy nie będę musiała go zadawać. To moja babcia ma konserwatywne poglądy, nie ja. Wiem, że to nielegalne, ale kobieta ma prawo decydować. Ja mam to prawo. Decydować? Czy uciec przed konsekwencjami własnej głupoty? Zamieść problem pod dywan i udawać, że nic się nie stało? Taka jestem dorosła, taka mądra, wiem wszystko, a zrobiłam coś tak głupiego. Co teraz? Nie, nie chcę o tym myśleć!

Wyszłam z domu. Wilgotny wiatr uderzył mnie w twarz, zapłakane oczy piekły. Poszłam nad Odrę i przychodziły mi do głowy najgłupsze myśli. Wróciłam do akademika. W pokoju rzuciłam się na łóżko i znowu płakałam. Łzy wsiąkały w bordowo-szary koc, który podarowała mi babcia. Nigdy w życiu nie czułam się tak samotna.

Płacz nie tyle przyniósł ulgę, co odebrał siły. Nie miałam energii, żeby się złościć czy smucić. Apatycznie gapiłam się w ścianę. Mówiłam sobie, że muszę się wziąć w garść. Nie potrafię cofnąć czasu. Gdybym parę tygodni temu miała taką wiedzę jak teraz, to nie wsiadłabym do tego cholernego pociągu, nawet jakby mi ktoś zapłacił. Co za absurd! Pociąg nie ma tu nic do rzeczy. Od ponad dekady wiem, że dzieci nie znajduje się w kapuście. Poszłam do łóżka bez zabezpieczenia, z zupełnie obcym facetem. Co mam teraz robić?

Chyba powinnam pójść do lekarza. Muszę jakiegoś znaleźć. Za nic nie pójde do lekarki w swojej przychodni, bo co powiem? „Pamięta mnie pani? Brałam recepty na pigułki, ale uznałam, że czas trochę zaoszczędzić”.

Próbowałam wyobrazić sobie przebieg wizyty. Czy lekarz pyta ciężarną o stan cywilny? W dzisiejszych czasach chyba nie. Przecież to, co mnie spotkało, zdarza się bez przerwy. Dlaczego właśnie ja musiałam mieć takiego pecha? Jest tyle kobiet, które marzą tylko o dziecku, mogły dostać to moje. Ja mogłam spokojnie poczekać jeszcze z dziesięć lat. Jak powiem o tym rodzicom? Mama się załamie. Miała tyle związanych ze mną planów, a ja to wszystko przekreśliłam, bo... bo przez krótką chwilę

wierzyłam, że w moim życiu zaczyna się coś niezwykłego. Rafał wydał mi się kimś, dla kogo było warto. A teraz spotyka się z Anką. Co by się stało, gdybym mu powiedziała? „Nie moja broszka, słodka, trzeba było pomyśleć wcześniej. Jesteś pewna, że to moje? Bo ja nie”. Nawet byłam w stanie to zrozumieć. Jeśli ja nie chciałam tego dziecka, dlaczego on miałby je chcieć? Faceci nie palą się do rodzicielstwa. Pewnie wyparłby się wszystkiego i żeby mu udowodnić ojcostwo, musiałabym zawlec go do sądu, a na to nie pozwoli mi duma. Ścisnęło mnie w gardle. Oczywiście, że mu nie powiem. To będzie moje dziecko. Tylko moje. I może trochę moich rodziców, jeśli nas zechcą. Babcia na pewno mnie wyklnie, może wtedy tata, który nigdy nie liczył się z jej zdaniem, z czystej przekory stanie po mojej stronie?

Tak bardzo potrzebowałam wsparcia przyjaciółki. Jeśli powiem Ance, domyśli się, że ją zdradziłam, i będzie zła. Poczekam.

Potrzebowałam matki i jej miłości. Jeśli powiem rodzicom, będą mną rozczarowani. Poczekam.

Rafał powinien to ze mną przeżywać, ale... Poczekam.

Najpierw pójdę do lekarza. O dobór odpowiednich słów, by przekazać taką wiadomość, będę się martwić później.

Lekarza znalazłam w książce telefonicznej. Nazywał się Franciszek Sawicki. Brzmiało zupełnie nieciążowo, więc zadzwoniłam i się zarejestrowałam. Przyjmował w małej prywatnej przychodni na dalekich Pilczycach. Nigdy jeszcze nie byłam w tej części Wrocławia i miałam nadzieję, że moi znajomi też tam nie zagląдают.

Budynek postawiono niedawno. Pachniało nowością i czystością, co bardzo odróżniało to miejsce od przychodni studenckiej. W innych okolicznościach czułabym się tu niczym bohaterka któregoś z seriali medycznych, jakie kiedyś uwielbiałam. Potem Piotrek wszystko popsuł, tłumacząc mi, jak to wygląda w rzeczywistości.

Recepcjonistka miała duże szare oczy i ładnie wytuszone rzęsy. Wykrochmalony śnieżnobiały fartuch sprawiał, że wyglądała na bardzo kompetentną osobę. Podczas zakładania karty cały czas się uśmiechała.

Nie pozostawało mi nic innego, jak usiąść cicho w kąciku, spuścić głowę, żeby nikt nie mógł wyczytać z mojego czoła „nieplanowana ciąża”, i modlić się o uniknięcie przypadkowego spotkania z kimkolwiek

znajomym. W końcu przyszła moja kolej i mogłam wejść do gabinetu.

Lekarz siedział pochylony za biurkiem. Kiedy weszłam, uśmiechnął się i serdecznie mnie przywitał. Był młody. Wyglądał na trzydzieści pięć lat. Gdybym była mniej zestresowana, musiałabym przyznać, że był całkiem przystojny. Miał pociągłą, przyjazną twarz i duże brązowe oczy. Nosił okulary i krótką bródkę. Pomyślałam, że tak mógł wyglądać Freud, będąc w jego wieku. Ten jednak nie sprawiał wrażenia kogoś, komu śnią się szafy i szable. Z taką aparycją raczej nie miał problemów z kobietami. Mogłam się jednak mylić. Bo niby dlaczego normalny facet chciałby zostać ginekologiem? Nigdy nie rozumiałam pobudek ich działania i na wszelki wypadek zawsze wybierałam kobiety. Teraz jednak sytuacja była inna. Wiadomo przecież, że faceci są mniej wścibscy, a na tym mi najbardziej zależało, i nie wydają pochopnych sądów.

Niepotrzebnie się martwię, to może być jednorazowe spotkanie. Mogłam się pomylić. Stres spowodował, że moje hormony ześwirowały i wynik wyszedł pozytywny... Czekałam na moment, gdy lekarz spojrzy na mnie i powie: „Nie, nie jest pani w ciąży. To wysoki poziom estrogenu, takie rzeczy się zdarzają, te testy ciążowe są bardzo zawodne. Proszę wrócić do domu i o wszystkim zapomnieć”. Zamiast tego zapytał:

– Data ostatniej miesiączki?

– Piętnasty sierpnia – odpowiedziałam, a on wpisał datę do karty.

– Co panią do mnie sprowadza? – Nawet na mnie nie patrzył, tylko coś bazgrolił.

– Myślę... wydaje mi się... przypuszczam... że jestem w ciąży – wydukałam w końcu. Zrobiłam się przy tym czerwona. Czulałam, jak policzki mi płoną.

– Robiła pani test?

Ba! Niejeden. Kiwnęłam głową.

– No to zapraszam na fotelik.

Na „foteliku” już bywałam, ale zawsze mnie to stresuje. Nigdy nie pamiętam, jak się na niego wchodzi i co należy zrobić z nogami. Kończyny zdecydowanie utrudniały korzystanie z urządzenia. Czy fotele ginekologiczne nie mogłyby być bardziej podobne do tych dentystycznych? Człowiek sobie wygodnie siada, a lekarz przesuw

jakieś dźwignie i ustawia, jak mu pasuje.

– Niżej proszę – powiedział lekarz, pomagając mojej pupie zsunąć się na brzeg fotela. Następnym razem poproszę wcześniej o instrukcję obsługi, żeby nie robić z siebie buszmenki.

Doktor włożył rękawiczki, przesunął moje nogi i zaczął badanie. Gorsze jest tylko wyrywanie zęba. Ale ja i tak je wolę, bo jest mniej upokarzające.

– Wszystko wskazuje na to, że ma pani rację. To trzeci miesiąc.

– Końcówka drugiego – poprawiłam. Rzucił mi zaintrygowane spojrzenie. Tak, panie doktorze, znam datę i godzinę poczęcia. To dlatego, że poszłam do łóżka z jednym takim palantem, który najpierw zbajerował mnie, a teraz powtarza ten manewr z moją przyjaciółką. Na dodatek ma cholernie aktywne plemniki.

– Dam pani skierowanie na badania. Proszę je zrobić w miarę szybko – powiedział, kiedy już ubrana siedziałam znowu przy biurku. Wręczył mi kartki. – Proszę kupić w aptece kwas foliowy i witaminy dla ciężarnych. I rozsądnie się odżywiać. Hormony będą teraz szalały. Chce pani, żebym prowadził pani ciążę?

– Co to znaczy? – zapytałam, zanim zdałam sobie sprawę, że po raz kolejny robię z siebie kompletną idiotkę.

Na szczęście on tak nie pomyślał. Uśmiechnął się miło. Rozumiał, że jestem skołowana i przerażona. W środku, bo na zewnątrz udawałam bohaterkę.

– Kiedy kobieta jest w ciąży, powinna być pod stałą opieką lekarską – tłumaczył. – Powinna co miesiąc robić badania. W ogóle ścisły nadzór. – Roześmiał się. – To dla dobra dziecka i matki. Może pani chodzić do państwowej przychodni.

Może jeszcze w rodzinnym mieście? Nie!

– Nie. Po prostu nie wiedziałam, że tak często trzeba się badać. Chyba mogę przychodzić do pana. – Wystarczy jeden lekarz, znający moją tajemnicę.

Znowu się uśmiechnął.

– W porządku. W takim razie widzimy się za dwa tygodnie.

Jeszcze zanim zamknęłam za sobą drzwi przychodni, zdążyłam trzy razy przeanalizować całą wizytę. „Ma pani rację”, powiedział,

a mimo to próbowałam zinterpretować jego wypowiedź tak, by dać sobie cień nadziei. Przecież nie mogę tak po prostu być w ciąży.

Były to najdłuższe dwa tygodnie w moim życiu. Wykręciłam się z wyjazdu do domu na weekend. Anka była zaskoczona. Poprosiłam ją, by wpadła do mojej mamy po słoiki i pieniądze. Zgodziła się.

W sobotni rano obudziło mnie dziwne uczucie. Chwilę leżałam na wznak, próbując zdać sobie sprawę, co to takiego. Uznałam, że chyba coś mi się wydawało, i przekręciłam się na bok. I wtedy to poczułam. Jakby ktoś włożył rękę w moje wnętrze i zaczął je wykręcać. Żołądek podjechał do góry, a fala wstrętnie słodkawometalicznego smaku zalała mi usta. Pobiełam do łazienki i przyklęknęłam przy sedesie. Od patrzenia w jego niedomytą czeluść robiło mi się jeszcze bardziej niedobrze, jednak wymiotować nie mogłam. Myślałam, że gdyby mi się udało, miałabym spokój i znów czułabym się dobrze. Spędziłam kwadrans na klęczkach, oczekując ulgi. Nic z tego. Powlokłam się z powrotem do łóżka. I wtedy dotarło do mnie to, o czym wiedziałam, a czego nie dopuszczałam do świadomości. O cholera! Jestem w ciąży!

W niedzielę i poniedziałek było tak samo. We wtorek jeszcze gorzej. Prawdziwe piekło przeżyłam w środę. W tym dniu miałam zajęcia w laboratorium. Już kiedy wchodziłam do instytutu, poczułam ten dziwny zapach. Próbowałam go zidentyfikować, ale bezskutecznie. Chwilę stałam na korytarzu, zastanawiając się, co to jest. Coś jak środki czystości, nie... lizol. Tak właśnie śmierdzał lizol. Ohyda!

– Ależ śmierdzi tym lizolem – powiedziałam do Pawła, kolegi z grupy, który siedział na podłodze pod drzwiami pracowni i czytał gazetę.

Pociągnął nosem.

– Nic nie czuję.

– Jasne, ty byś nie poczuł nawet... – „...gdybyś był w ciąży”, zamierzałam powiedzieć, ale zmieniłam zdanie i tylko się zaśmiałam. – Czemu nie wchodzisz?

– Bo jeszcze nikogo nie ma – wyjaśnił.

– Proszę! – ucieszyłam się. – Z nowym rokiem nowym krokiem. Kiedy to ostatnio zdarzyło nam się nie spóźnić na zajęcia?



Roześmialiśmy się oboje. Klapnęłam obok, a Paweł złożył starannie gazetę i wepchnął ją do plecaka. Ciekawe, po co ją tak ładnie składał, skoro teraz na pewno jest zmięta? Niektóre zachowania facetów były dziwaczne. W ogóle faceci byli dziwni. Taki Piotrek na przykład. Miał rok, żeby choć zasugerować Kindze, że coś do niej czuje, i nic. Ze spokojem patrzył, jak ona wiąże się z innym. Albo Rafał. Najpierw bezczelnie ze mną flirtował, a teraz... Co prawda dzwonił, ale nie wiem po co, skoro umówił się z Anką (powiedziała mi). Może on też chciał mnie o tym poinformować? Nie dałam mu szansy, odrzucając połączenie.

Przyszła doktorantka i otworzyła pracownię, przerywając moje rozważania o przybyszach z Marsa.

– Wchodzimy? – zapytał Paweł. Kiwnęłam głową, a on wyciągnął rękę i pomógł mi wstać.

– Pójdziemy po zajęciach na piwo? – dodał niespodziewanie.

Na myśl o alkoholu moje ślinianki wrzuciły piąty bieg i już miałam się zgodzić, gdy nagle przeszły mnie ciarki, a w ustach poczułam dziwny, metaliczny smak.

– Raczej nie.

– Wydawało mi się, że jesteś z tych, co piwa nie odmawiają?

Nie odmawiali – czas przeszły. Teraz nie wolno mi pić. Wypadki do klubów nie wchodzi w grę, bo bierne palenie też szkodzi. Żegnaj, moje wspaniałe życie.

– Jakoś nie mam ochoty – zaśmiałam się. Miało zabrzmieć naturalnie, ale nie wyszło. – Zatrulałam się drinkiem w wakacje – wytłumaczyłam.

– To niezdrowo tak nie pić. Jeszcze popadniesz w abstynencję – zażartował Paweł.

Nie rozśmieszył mnie. Nic nie odpowiedziałam, tylko szarpnęłam drzwi do pracowni. Zapach lizolu uderzył mnie w nos. Żołądek podskoczył, prawie wyrzucając śniadanie. Wiedziałam, że następna próba będzie udana. Pobiegłam do łazienki.

– Co się stało? – zapytał Paweł, kiedy wróciłam.

– To ten cholerny lizol. Źle reaguję na jego zapach.

– Ale tu nie czuć lizolu. Czuć wszystko inne, ale nie lizol –

zapewnił.

Co on mógł wiedzieć.

Nie pomogło nawet otworzenie okien. I choć w moim brzuchu nic już nie było, jeszcze trzy razy wychodziłam do łazienki.

## Miesiąc III

W czwartek zebrałam wszystkie wyniki i poszłam do lekarza. W autobusie nie było tłoczno, usiadłam i wyciągnęłam z torebki kartki. Gapiłam się w niewiele mówiące mi słowa i liczby: mocz – kolor słomkowy, białko nieobecne, HIV ujemny, grupa krwi A Rh+, glukoza... Czemu nigdzie nie napisali: ciąża – wynik negatywny?

Odczekałam swoje na korytarzu i w końcu przyszła moja kolej, żeby wejść do gabinetu. Podałam lekarzowi kartki. Serce waliło mi tak, że jeżeli nie był głuchy, to na pewno je słyszał. Wpatrywałam się w niego i czekałam. Niech powie: „To nie ciąża, to pomyłka”. Wtedy ja powiem: „Mam poranne nudności”. A on: „Bo to ciąża urojona, to się zdarza, jeśli idzie się do łóżka z przypadkowym facetem, który na dodatek jest teraz chłopakiem najlepszej koleżanki. Wyrzuty sumienia i te rzeczy. Dlatego test był pozytywny. Ale z wyników jasno widać, że nie jest pani w ciąży”. Zamiast tego powiedział:

– Niewątpliwie to ciąża. Gratuluję!

Mówił z taką autentyczną radością, że przez chwilę poczułam się dumna. Potem czułam tylko ulgę. Jak po oblanym egzaminie – nie muszę już sobie robić głupiej nadziei, że może zdałam.

– Porodu możemy się spodziewać – doktor pokręcił jakimś kółeczkiem – dwudziestego czwartego maja. To oczywiście data orientacyjna. Mało kobiet rodzi w wyznaczonym terminie.

Dwudziestego czwartego maja? Prawie koniec drugiego semestru. Cały piąty rok studiów w ciąży! Nie tak to sobie wyobrażałam.

– Jak samopoczucie? – zapytał, przepisując wyniki do mojej karty.

– Bardzo źle. – Oboje się uśmiechnęliśmy. – Cały czas mnie mdli.

– Eufemizm. Wstyd się przyznać, że rzygam jak kot.

– To przejdzie. Albo się pani przyzwyczai – pocieszył. – Proszę dużo pić. Jeśli pani poczuje mdłości, dobrze jest coś przekąsić. Parę migdałów, kawałek jabłka. Tylko proszę przestrzegać diety. Jeść tyle co do tej pory. Łaknienie może być złudne. Natomiast proszę folgować zachciankom i jeśli ma pani ochotę na śledzia, to trzeba go zjeść. Mało

cukru. Śledzia też mało, ze względu na sól. Racjonalnie, dobrze?

Mruknęłam, że rozumiem. Dał mi kilka kolorowych broszur z brzuchatymi kobietami na okładkach.

– Do poczytania – wyjaśnił. – A to proszę mieć zawsze ze sobą, przez najbliższe dziewięć miesięcy. – Wręczył mi kartę ciąży. – Aha! – rzucił, gdy byłam już przy drzwiach. – Imbir podobno pomaga na mdłości.

Jasne! Na mdłości najbardziej pomaga niebycie w ciąży. Powinnam była słuchać swojej mądrej babci i trwać w dziewictwie do ślubu.

Z karty ciąży patrzyła na mnie młoda kobieta z wielkim brzuchem. Wyglądała na zadowoloną z siebie. Ile czasu minie, zanim ja będę tak wyglądać? To znaczy: zadowolona już nigdy nie będę, ale kiedy pojawi się brzuch? Chyba niedługo. Mam mało czasu, żeby zebrać się na odwagę i powiedzieć mamie. Dlaczego, kiedy kobieta ma męża, dziecko jest czymś pożądanym, a kiedy jest sama, to nie? Mam dwadzieścia cztery lata, niektóre moje rówieśnice już są matkami. Tylko gdyby ktoś mnie spytał o zdanie, powiedziałabym, że nie chcę być w ciąży. Ale nikt mnie nie pytał. Jasne, niby miałam wybór. Przypomniałam sobie pocałunki Rafała... Wróc... Nie miałam żadnego wyboru! A dziecko? Czy ktoś je pytał o zdanie? Przecież ono już jest. Czy ktoś mnie zrozumie? Czy ktoś mi pomoże? Mamo, czy będziesz po mojej... po naszej stronie?

Uznałam, że pójście do kościoła przed wyjazdem do domu będzie krańcową hipokryzją. Ciągle jeszcze przechodziłam młodzieńczy kryzys wartości. Odrzuciłam światopogląd babci, ale nie miałam czasu wyrobić sobie własnego i tkwiłam w wygodnej pustce. Czasem chodziłam z rodziną na msze, głównie dlatego, że wolałam święty spokój od babcinego gadania, jak to się będę smażyć w piekle.

Jednak kiedy musiałam się przesiąść na placu Dominikańskim, a z rozkładu wynikało, że następny tramwaj przyjedzie za kwadrans, uznałam, że to znak. Weszłam do chłodnego wnętrza. Uklęłam z boku, jakbym się bała, że zaraz ktoś mnie stąd wyprosi, i patrząc na wielki krzyż, wyszeptalam: Boże, niech z dzieckiem wszystko będzie w porządku. I niech moja babcia nie umrze, gdy się dowie.

Do domu dotarłam przed czternastą. Nie spodziewałam się, że będę tyle czekać na przesiadkę. Mimo to powinnam zdążyć przed rodzicami. Chciałam się rozpakować i przygotować na ich powrót. Lepiej nie przekraczać progu ze słowami „jestem w ciąży”.

Moje rodzinne miasto jest małe. Nie sposób wyjść na ulicę, żeby nie spotkać kogoś znajomego. Po drodze z dworca do domu wymieniłam powitania z kilkoma osobami. Za każdym razem zastanawiałam się, co ten ktoś o mnie pomyśli, kiedy się dowie.

Weszłam na nasze osiedle. Nie było duże. Dziesięć jednakowych niskich bloków z wielkiej, szarej płyty. Kiedyś myślałam, że mieszkam w blokowisku, potem zobaczyłam Kozanów.

Wdrapałam się na czwarte piętro. Mieliśmy dwupokojowe mieszkanie, którego jedyny plus stanowiły wychodzące na południe okna. Kuchnia była długa i wąska, łazienka mała i ciasna. Mój pokój był tak nieustawny, że meble stały tam, gdzie się mieściły. Duży pokój w dzień służył za salon, a w nocy za sypialnię rodziców i pewnie dlatego, mimo starań mamy, ciągle panował tam nieład.

Wyjęłam klucz i zaczęłam nim kręcić w zamku. Chwilę trwało, zanim się zorientowałam, że drzwi są otwarte. Pewnie mama wcześniej wróciła z pracy – była nauczycielką w podstawówce, co oznaczało nieregularny czas pracy. Czasem trzy godziny, czasem dziesięć.

– Grażynko, to ty? – usłyszałam z kuchni głos babci.

– Nie, babciu, to ja. – Popatrzyłam z wyrzutem w niebo. Widać nie miałam tam chodów.

Wrzuciłam plecak do swojego pokoju i weszłam do kuchni.

– Zupa jeszcze ciepła, to sobie zjesz, dobry kapuśniaczek, z tegorocznej kapusty – zaświergotała babcia. Popatrzyła na mnie przelotnie. Potem jeszcze raz, bardzo dokładnie. A potem wlepiła we mnie świdrujące spojrzenie.

– Dziecko, ty przy nadziei? – zapytała.

Spuściłam głowę. Co miałam powiedzieć?

– Czy tak? – Głos babci był mocny i stanowczy.

Kiwnęłam głową.

– Tak – szepnęłam.

Babcia rzuciła się na kolana.

– Chwała Najwyższemu! Módlmy się! – Pociągnęła mnie skołowaną za rękę, więc też uklękłam. – Zdrowaś Mario! – zaintonowała w kierunku okna. – Och moje dziecko, jak ja się cieszę! – powiedziała, kiedy skończyła odmawiać pacierz. – Chodź, niech cię uściskam. – I wyciągnęła mnie serdecznie. – No co ty, nie cieszysz się? – Spojrzała na mnie z wyrzutem.

– Nie spodziewałam się po babci... – Ledwo zapiszczałam, głos odmawiał mi posłuszeństwa. W ogóle byłam zdrętwiała, bo sparaliżowało mnie jej zachowanie. Było tak, jakbym śniła bardzo realistyczny sen.

– A za kogo ty mnie masz? – zapytała z wyrzutem. – Żebym się z prawnuka nie cieszyła, tobym musiała być, no nie wiem, wredna jakaś.

Usiadłam przy kuchennym stole. Bezmyślnie skubałam brzeg serwety.

– Myślałam, no wiesz... bo ja nie jestem mężatką i to dziecko nie ma ojca...

– W ogóle? – Babcia spojrzała na mnie podejrzliwie.

– W ogóle to ma. Tylko ja go nie chcę – dorzuciłam szybko.

– Nie skrzywdził cię aby? – dociekała babcia.

Pokręciłam głową.

– Żonaty?

– Nie.

– To dobrze. Nie ma nic dobrego w niszczeniu życia innej kobiecie.

Nie ma.

Babcia usiadła naprzeciwko mnie. Czulałam na sobie jej spojrzenie, ale nie śmiałam podnieść wzroku.

– Ty, Karolciu, nic się nie martw, wszystko dobrze będzie, bo to boska sprawa. Wiesz, dziecko, mnie już niewiele czasu na tym świecie zostało. Ja to czuję – westchnęła teatralnie. – I tak mówiłam do Pana: „Chcę już odejść, jestem gotowa, ale daj mi jeszcze przed śmiercią zobaczyć prawnuka”. No i proszę, jak raz wysłuchał! – Zatarła ręce i z wdzięcznością popatrzyła w okno. Pomyślałam, że mógł to też skonsultować ze mną.

Babcia otworzyła szafkę i wyciągnęła puszkę po herbacie.

Trzymała tam swoje oszczędności, bo nie ufała bankom, a bała się napadu. Na propozycję ojca, żeby wpłaciła na lokatę, tylko się zdenerwowała. „Jak mnie Bóg do siebie powoła, a to już niedługo, ja to czuję, to tylko sięgniesz do szafki i już będziesz kasę liczył. A tak będziesz się z bankiem dziesięć lat procesował, a i tak na skarb państwa pójdzie”. Ojciec się zdenerwował na te słowa, bo przecież on na jej pieniądze nie czeka. Kiedy już dorosłam na tyle, żeby zrozumieć ich wzajemne relacje, nadziwić się nie mogłam, że dwoje tak kochanych i w gruncie rzeczy zgodnych ludzi nie mogło dojść do porozumienia.

Babcia wyciągnęła kilka szeleszczących banknotów.

– Dobrze się składa, bo akurat idę dziś do kościółka na różaniec, to dam na mszę. – Odliczyła trzy pięćdziesiątki. – Dziękczynną za łaskę i błogosławieństwo boże, i w intencji szczęśliwego rozwiązania. – Dołożyła jeszcze pięćdziesiątkę. – Nie, na rozwiązanie to się da osobno. W intencji szczęśliwego przebiegu. Nie jesteś już taka młoda.

Według mnie byłam o wiele za młoda, ale uznałam, że podejmowanie jakiegokolwiek dyskusji jest bezsensowne. Zachowanie babci było tak odmienne od tego, czego się spodziewałam, że nie mogłam wyjść z szoku.

– Na kiedy masz termin?

– Na dwudziesty czwarty maja.

– Maryjny miesiąc. Jak cudnie! – ucieszyła się. – Widzisz, mówiłam ci, że to błogosławieństwo. Matki się boisz?

Skinęłam głową.

– Nie bój się, ja z nią porozmawiam.

– Dziękuję – szepnęłam. – Chyba powinnam sama.

– Jak chcesz. Jakby co, to zdaj się na mnie. – Położyła mi rękę na ramieniu i z lubością popatrzyła na mój brzuch. – No to ja się już będę zbierać. Przyjdę do was po mszy. Wszystko załatwię. – Zaszeleściła banknotami.

Nagle uświadomiłam sobie, że jeśli ksiądz odczyta jej intencje, to w poniedziałek całe miasto będzie wiedziało, że jestem w ciąży.

– Babciu, z tą mszą, nie wiem, czy to dobry pomysł.

Spojrzała na mnie przerażona.

– Ludzie się dowiedzą – wyjaśniłam szybko.

– Za kogo ty mnie masz, dziecko? Tylko my troje będziemy wiedzieli. – Chwilę trwało, zanim zrozumiałam, kim jest ten trzeci.

Usiadłam przy stole w kuchni i tępo gapiłam się w okno. Widok za nim był nijaki – blok, blok i jeszcze kawałek bloku. Całkiem zasłaniały pokryte lasem malownicze pagórki. Popadłam w zadumę i straciłam poczucie czasu. Z zamyślenia wyrwał mnie zgrzyt klucza. Wyszłam do przedpokoju.

– Stęskniłam się – powiedziała mama, wchodząc. – Jak tam?

– W porządku. – Pocałowałam ją w policzek. Pachniał pudrem i kremem.

Ładnie wyglądała. Pewnie była niedawno u fryzjera, bo włosy miały równy, błyszczący kolor. W ogóle była ładna, a ja urodę miałam po niej – okrągła, miła twarz, mały nos, brązowe, kręcone włosy. Tylko oczy miałam szare, po ojcu.

Westchnęła, zdjęła buty i płaszcz. Pomyślałam, że mogłaby kupić sobie nowy, ten nosiła już od trzech lat. Tylko skąd miała wziąć pieniądze? Utrzymywała studiującą córkę, starała się, żeby niczego jej nie brakowało. A ta córka, zamiast koncentrować się na nauce, zajmowała się chłopakami i seksem.

– Babci nie ma? – zainteresowała się mama. – Mówiła, że będzie.

– Była. Ugotowała zupę i poszła do kościoła.

– Pewnie jakieś nagłe wezwanie, bo miała dziś nie iść. –

Uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Co to za zupa? – zapytała i ruszyła do kuchni.

– Kapuśniak – wyjaśniłam, drepcząc za nią.

– Chcesz trochę? – spytała, otwierając szafkę z talerzami.

– Już jadłam – skłamałam. Na samą myśl robiło mi się niedobrze.

Chciałam mamie powiedzieć o ciąży, nie musiałam jej od razu dawać dowodów.

– Kiedy wraca tato? – zapytałam po chwili.

– Pewnie jak zwykle.

Czyli po szóstej. Tata był księgowym w banku. Wydawało mi się, że jest to najnudniejsza praca na świecie, ale on ją lubił. Albo udawał, w końcu był odpowiedzialnym człowiekiem, ojcem rodziny, który zapewniał jej utrzymanie. Dlaczego nie pomyślałam, że najpierw trzeba



sobie załatwić kogoś takiego jak mój tata, a dopiero potem pchać się w ciążę?

– Czemu pytasz? – Mama chciała wiedzieć, skąd u mnie nagłe zainteresowanie powrotem taty.

– Nie, nic. Tylko... – Najlepiej będzie powiedzieć od razu. Zanim stracę odwagę i rzeczywiście będę potrzebowała babcinego wsparcia. Nie znajdowałam właściwych słów.

– Coś ze studiami? – Odwróciła się od szafki, trzymała w ręku biały talerz. Znała mnie. Wiedziała, że coś jest nie w porządku.

– Nie. – Właściwe słowa? Żadne nie spełniały kryterium. Do głowy przychodziły mi tylko trzy i w końcu je z siebie wyrzuciłam. – Jestem w ciąży.

Huk tłuczonej porcelany wypełnił kuchnię. A potem nastąpiła cisza.

Mama patrzyła na mnie osłupiała. Ścisnęła ręce w pięści. Zawsze tak robiła, gdy była bardzo zdenerwowana i próbowała się opanować. Podeszła do stołu. Odsunęła krzesło i opadła na nie ciężko, jakby w jednej chwili siły ją opuściły. Nagle wyglądała o dziesięć lat starzej.

– Jesteś pewna? – Jej głos był inny, obcy.

– Tak. To trzeci miesiąc.

Nawet jakbym jej powiedziała, że właśnie wybuchła wojna, nie patrzyłaby na mnie w ten sposób.

– Zamierzasz urodzić? – zapytała lekko drżącym głosem.

– Nie myślałam o czymś innym.

To nieprawda. Była taka chwila, kiedy wydawało mi się, że zabieg może wszystko rozwiązać. Weekend w Karpaczu podzielił moje życie na to przed i po, a ja bardzo chciałam wrócić do tego przed. Zabieg byłby biletem powrotnym do bez troski i nieodpowiedzialności. Nie będzie dziecka, nie będzie kłopotu. Potem pomyślałam, że nawet jeśli usuną mi je z macicy, nie zdołają usunąć go z mojej pamięci. Jak miałabym żyć z takim wspomnieniem? Czy codziennie zadawałabym sobie pytanie, jakie by było? Czy poradziłabym sobie z żalem, czy zżarłby mnie i uczynił zgorzkniałą? A przede wszystkim: co bym zrobiła z tą miłością, która znalazła miejsce na dnie mojego serca? Gdybym chciała ją usunąć, to tylko razem z sercem.

– Kto jest ojcem?

Tego pytania bałam się najbardziej. Mogłam skłamać albo powiedzieć prawdę. Nie chciałam ani jednego, ani drugiego. Wybrałam rozwiązanie połowiczne, zwane niedomówieniem.

– Spotkałam chłopaka, myślałam, że jest fajny. Nic z tego nie wyszło. – Poza brzuchem, dodałam w myśli.

– Wie o ciąży?

Tak jak myślałam. Z ojca dziecka robi się największy problem. Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, ale kobieta wciąż nie może zająć w ciążę i urodzić dziecka bez śledztwa w sprawie plemnikodawcy.

– Nie wie i się nie dowie. Nie chcę z nim być – uciełam.

– Dziecko musi mieć ojca. Nazwisko. Sama nie dasz rady.

– Dam.

– Nawet nie wiesz, o czym mówisz. Gdzie będziesz mieszkać, za co żyć? Nie masz pracy, nie masz studiów! Karolina, twoje studia! Tyle sobie po tobie obiecywałam...

Nie zastanawiałam się nad tym. Myślałam... Byłam zbyt zajęta oplakiwaniem przeszłości, by pomyśleć o przyszłości. Dziecko ją przekreśliło. Nic mnie nie czekało.

– Przepraszam. Nie myślałam...

– Nie wątpię.

– Nie wiedziałam...

– Akurat! Poszłaś do łóżka z facetem i nie wiedziałaś, że to się skończy brzuchem?

Było mi przykro. I byłam na nią zła. Dlaczego mi dokuczała? Nie chce mnie i dziecka? Okej. Poradzę sobie.

– Poradzę sobie! Zawsze powtarzałaś, że człowiek dorosły to ten, który mimo wszystko mężnie ponosi konsekwencje swoich decyzji. Teraz mam szansę udowodnić swoją dorosłość. – Pod koniec tej tyrady już prawie krzyczałam. Nie udało mi się zapanować nad głosem, nie udało mi się też powstrzymać łez. Zerwałam się. Pobiegnęłam do swojego pokoju, wzięłam plecak i ruszyłam do drzwi.

– Ty dokąd?

– Poradzę sobie sama, skoro mnie nie chcecie.

– Tego nie powiedziałam.

– Jesteś zła i mi dokuczasz.

– Dziwisz się?

Nie, tak naprawdę to nie.

– Jestem zła na ciebie, na siebie, na tego, kto ci to zrobił. – Mama podeszła do mnie i mocno przytuliła. – Tyle miałam planów z tobą związanych. Taka byłam dumna...

– Zawiodłam...

– Może to moja wina? Staralam się w życiu robić wszystko, żebyś nie musiała się niczym martwić. Stałaś się taka niefrasobliwa...

Wróciłyśmy do kuchni. Chciałam zebrać skorupy, ale mama mi nie pozwoliła. Siadłam na taborecie, a wydawało mi się, że siedzę na szpilkach.

– Zrobię wszystko, żeby ci pomóc. Tylko tak mi cię żal, tak żal. – I się rozplakała. Podeszłam do niej i mocno się przytuliłam. Też płakałam. Wokół nas roznosił się zapach kapuśniaku z tegorocznej kapusty.

Czułam ulgę, że jej powiedziałam, a ona mnie nie odrzuciła. I radość, że się nie pomyliłam i mama jak zawsze stanęła po mojej stronie. Dobrze jest mieć w życiu kogoś, komu można ufać.

– Co powie tato? – Nagle sobie przypomniałam, że nie wszystko mam już za sobą.

– Nie chcę o tym myśleć. Babcia też nie najlepiej to zniesie.

– Babcia już wie.

– I co? – Głos mamy zadrżał z emocji.

– Poszła dziękować Bogu – wyjaśniłam.

– Nie kpij sobie. Nie żartujesz? Moja matka nie przestaje mnie zadziwiać. Zawsze się zastanawiam, czy ty też tak mało wiesz o mnie, jak ja o swojej matce?

Wiem to, co najważniejsze – że mnie kocha i że jest najlepszą matką na świecie.

– Przynajmniej o to nie musisz się martwić.

Ojciec wrócił kwadrans po szóstej. Poczekalam, aż skończy jeść obiad i przeniesie się do pokoju, żeby poczytać gazetę. Powiedziałam mu dokładnie to samo co mamie. Przyjął nowinę ze stoickim spokojem, jakby się tego po mnie spodziewał. Zapytał o plany na przyszłość. Zgodnie z prawdą odpowiedziałam, że jeszcze niczego nie zdążyłam

zaplanować.

– Oczywiście zamierzasz skończyć studia? – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Zamierzam, ale nie wiem, czy mi się uda.

Ojciec popatrzył na mnie z wyrzutem.

– W maju urodzę dziecko. Do tego czasu musiałabym zdać wszystkie egzaminy. Albo we wrześniu. Nie wiem, czy zdołam się obronić – tłumaczyłam się nieskładnie.

– Chyba wypadaloby, żebyś zdołała. Opiekowaliśmy się tobą, jak mogliśmy, bo uważaliśmy cię za dziecko. A ty postanowiłaś się zabawić w dorosłą. To teraz zobaczysz, czym naprawdę jest odpowiedzialność. – Chwilę milczał. Było to pełne napięcia milczenie. – Cóż, stało się, niczego już nie zmienimy. – Wstał i wyszedł do kuchni. Słyszałam, jak nalewa sobie piwa do szklanki.

– Twoją matkę ta wiadomość zabije – zwrócił się do mojej mamy.

– Raczej nie. Właśnie poszła się modlić w intencji szczęśliwego rozwiązania – wyjaśniła.

– Dziwna kobieta.

Poczułam się dotknięta złościwością ojca. Babcia jako jedyna się ucieszyła.

Weekend upłynął w raczej przygnębiającej atmosferze. Rodzice chodzili po domu jak struci. Mało ze sobą rozmawiali, do mnie tata w ogóle się nie odzywał. Trudno było mieć mu za złe. Siedziałam w swoim pokoju i starałam się nie rzucać w oczy. Babcia podgrzewała atmosferę, promieniejąc optymizmem. Mnie ciągle było niedobrze, nie tyle ze względu na mój stan, ile od pytań, którymi zadrezczała mnie mama. Unikałam rozmów, co jeszcze bardziej ją przygnębiło. Z ulgą przyjąłam nadejście niedzielnego popołudnia. Chciałam już wracać do Wrocławia. Po wspólnym milczącym obiedzie tata poszedł wyprowadzić samochód z garażu. Miał mnie odwieźć na dworzec. Mama robiła mi kanapki z serem na drogę.

– Tata ze mną nie rozmawia.

– Zawiodłaś go. Potrzebuje czasu.

– Ty też jesteś na mnie zła? – zapytałam.

Wyglądała na zaskoczoną pytaniem.

– No, za to... – wymownie spojrzałam na swój brzuch.

Mama przez chwilę milczała, wpatrując się w deskę do krojenia z taką intensywnością, jakby miała z niej odczytać tajemnicę nieśmiertelności. W końcu westchnęła, wytarła ręce w ściereczkę, objęła nimi moją twarz i popatrzyła mi prosto w oczy, jak wtedy gdy byłam mała i roztrzępana, a ona chciała mieć pewność, że słucham.

– Nie jestem na ciebie zła. Cięża to nie choroba, dziecko to nie nieszczęście. Babcia mówi, że jesteś przy nadziei, i tak właśnie jest. Dziecko to nadzieja. Myślałam, że pojawi się w twoim życiu później, kiedy już będziesz miała pracę i męża. Wyobrażałam sobie twoją przyszłość, a teraz muszę pożegnać się z tymi marzeniami. Na dodatek zamiast prostej drogi wybrałaś bardzo trudną. Ciężko jest w życiu samotnym matkom. – Przytuliła mnie i dodała: – Posiadanie dziecka to coś wspaniałego.

Wtuliłam się w nią.

– Wiesz, strasznie się boję, że będę złą matką – wyznałam.

– Tym się nie martw. Wychowałam cię na dobrego człowieka. Dobrzy ludzie są dobrymi rodzicami.

Siedziałam w pociągu do Wrocławia. Patrzyłam przez okno na jesienne krajobrazy. Świat wyglądał na taki spokojny, niewzruszony moim nieszczęściem.

Pomyślałam o tym, co czułam, jadąc w przeciwnym kierunku. Obawa przed rozmową z rodzicami, strach, niepewność – teraz miałam to już za sobą i nagle ogarnęła mnie ogromna ulga. Nie było tak dobrze, jak sobie marzyłam – nie przyjęli mnie z otwartymi ramionami, nie powiedzieli, że to nic i damy sobie radę. Jednak nie wydarzyła się żadna ze strasznych rzeczy, których się bałam – nie wygonili z domu, nie odcięli się ode mnie. Nawet jeśli tata się nie odzywał, a mama, ilekroć na mnie spojrzała, wybuchała płaczem, to nie byłam sama.

Za oknem rozległe łąki pokrywała spłowiała trawa, podobna do sierści burego kota. Szara mgła zasnuwała świat. Nieprawda, że nie byłam sama. Brakowało mi kogoś najważniejszego. Między nami mogło ułożyć się inaczej. Mogliśmy teraz być parą, chodzić po wrocławskich ulicach, trzymając się za ręce, siedzieć w klubach, pijąc piwo i poznając się wzajemnie. To się już nie zdarzy. Ja jestem w ciąży, a on...

\*

Nie planowałam wyjazdu do domu na kolejny weekend, ale okazało się, że muszę jechać. „Musimy porozmawiać”, oznajmiła mama tonem nieznoszącym sprzeciwu, a to wróżyło kłopoty. Czy powinnam jej powiedzieć, że lekarz zalecił mi wypoczynek i jak najmniej stresu?

– Nie możesz mieszkać w akademiku – oświadczyła, ledwie przekroczyłam próg domu.

– Dlaczego? – zdziwiłam się.

– Bo to nie jest odpowiednie miejsce dla ciężarnej – odpowiedziała.

W pierwszej chwili pomyślałam, że chodzi jej o względy natury moralnej – kiedy będę szła korytarzem, to wstyd i sromota będą szły za mną. Jednak mama miała coś zupełnie innego na myśli.

– Imprezy, brud i ciągły brak ciepłej wody. Jak ty sobie wyobrazasz mieszkanie w takich warunkach?

Dokładnie tak jak dotychczas. Do tej pory nikomu nie przeszkadzało, że regularnie nie dosypiam i czasem się nie myję. Ciężarne mają być nieskazitelnie czyste?

– Dam sobie radę – powiedziałam stanowczo. Dla mamy moja stanowczość niewiele znaczyła.

– Dużo rozmawialiśmy z ojcem o tym, co się stało i co powinniśmy teraz zrobić. Postanowiliśmy wynająć ci kawalerkę.

– Kawalerkę?! – zbulwersowałam się. – Wiesz, ile kosztuje wynajęcie kawalerki we Wrocławiu?

– Domyślam się. – Zrobiła kwaśną minę. – Dziecko dużo kosztuje, musisz się na to przygotować...

Poczułam ogromną irytację. Jeśli ma do mnie pretensje, że zaszłam w ciążę, to mogła mi to po prostu powiedzieć. Z jednej strony udaje troskę, z drugiej robi wymówki. Poryczałam się i poszłam do swojego pokoju.

Mama przyszła za mną.

– Karolciu, nie płacz – rzekła, tuląc mnie do siebie. – Damy sobie radę.

Nie chciałam jej słuchać. Powiedziałam, że chcę zostać sama.

Posłusznie wyszła, a ja leżałam, gapiąc się w sufit, i opłakiwałam swoje stracone nadzieje. W drugim pokoju dokładnie to samo robiła moja mama.

Tak zastała nas babcia.

– A co wy tak płaczecie? Rozpaczać, wątpiąc w miłosierdzie boskie, to grzech – pouczyła. – Radować się trzeba, bo „oto syn narodzi się nam”. – I wyrzuciła w górę ramiona. – Zrób nam herbaty – poleciała córce. A kiedy mama poszła do kuchni, podreptała za nią. – A nie powiedziałaś ty jej aby czego przykrego? – zapytała, myśląc, że nie słyszę.

– No co ty, mamó?!

– Grażynko, ja wiem. Ty jesteś dobre dziecko i dobra matka. Ale charakter masz trudny. Chłapiesz czasem jęzorem, że aż w pięty idzie. A ona teraz szczególnie wrażliwa i naszego wsparcia potrzebuje.

– Kiedy to właśnie o wsparcie poszło. Doszliśmy z Marianem do wniosku, że nie powinna mieszkać w akademiku. Chcieliśmy jej wynająć kawalerkę. Powiedziałam jej o tym i wtedy się popłakała.

Babcia westchnęła.

– Aleś ty durna. A jak ten jej kochany w akademiku mieszka?

– Nie mieszka! – krzyknęłam. – I ja go nie kocham! – skłamałam, a ponieważ powiedziałam to głośno, zabrzmiało wiarygodnie.

Babcia z mamą natychmiast przybiegły do mojego pokoju. Patrzyły na mnie jak wygłodniałe sępy, gotowe rzucić się na najmniejszy ochłap informacji o ojcu dziecka. Nie miałam zamiaru ich karmić.

– Akademik jest tani. Nie chcę, żebyście bez potrzeby wydawali pieniądze.

– Ty się o pieniądze nie martw, bo to tylko zdradliwa mamona – stwierdziła babcia. I zwróciła się do mamy: – Tylko ja ci powiem, Grażynko, ta kawalerka to też nie najlepszy pomysł.

Popatrzyłyśmy na babcię pytającym wzrokiem.

– No jak ona będzie tak zupełnie sama? A jakby zemdląła czy coś? Ktoś musi na nią oko mieć! Stancji dobrej trzeba poszukać, u kogoś zaufanego. Nic się nie martwcie, skoczę do kościółka, w modlitwie zawsze jest dobra rada.

Wcisnęła beret na głowę i już jej nie było.

Zostałyśmy same. Mama poszła do kuchni, ja za nią. Na stole stały trzy kubki z herbatą. Moja rodzicielka westchnęła, pogładziła mnie po włosach i wylała jedną do zlewu.

– Naprawdę mogę zostać w akademiku – powiedziałam bardziej do kubka niż do niej.

– Wiem. Tylko... – Zawiesiła głos, zbierała siły na dłuższą mowę. – Widzisz, córciu, całe życie robiłam wszystko, żebyś była szczęśliwa. Od dziecka dobrze się uczyłaś. Chciałam, żebyś zdobyła wykształcenie. Wspominałaś o studiach doktoranckich...

– Zmarnowałam to wszystko...

– Nie, Karolino, jeszcze nie zmarnowałaś. Tak się może stać i byłoby szkoda, bo prawie finiszujesz. Jesteś zdolna, choć nigdy nie byłaś zbyt pracowita. Teraz musi się to zmienić. Powinnaś się przyłożyć i skończyć studia, zanim dziecko przyjdzie na świat. Potem będzie ci trudno, nawet nie wiesz, jak trudno. – Ciężko westchnęła. – Chciałabym zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc. I tata, i ja uważamy, że we własnym mieszkaniu miałybyś lepsze warunki do pracy. Zawsze możesz zaprosić do towarzystwa Anię...

– Lepiej nie – zaprotestowałam gwałtownie.

Mama rzuciła mi pytające spojrzenie.

– Pokłóciłyście się? – zgadywała.

– Nie, ale wiesz, jaka jest Anka. Ona i nauka nie chodzą w parze. Skinieniem głowy przyznała mi rację.

Rozmowa z mamą sprawiła, że poczułam się jak pasożyt. Tyle lat żerowałam na swoich żywicielach i nawet nie przyszło mi do głowy, żeby się im odwdzięczyć. Żeby byli ze mnie dumni. Teraz mama będzie musiała spuszczać wzrok za każdym razem, kiedy ktoś zapyta, co u mnie słychać.

Babcia odwiedziła nas dopiero na drugi dzień. Promieniała. Jak na kogoś, kto ciągle mówi o śmierci, była dość żwawa. Mama wspominała, że babcia zawsze była zaradna i przedsiębiorcza. I podobno kiedyś nawet mniej religijna. Przedwczesna śmierć męża mocno nią wstrząsnęła. Zinterpretowała ją jako znak, że powinna umocnić w sobie wiarę. No i umocniła!

– Z modlitwą przyjdzie i porada, tak mówiłam i tak jest – rzuciła



od progu, zamiast zwyczajowego „dzień dobry”. – Wam też, dziewczęta, radzę więcej się modlić. Wieczorny pacierz to za mało.

Po sposobie, w jaki mama uciekła wzrokiem, poznałam, że podobnie jak ja nie odmawia pacierza. Na szczęście babcia nic nie zauważyła, tylko trajkotała dalej.

– Zostałam po wieczornej mszy, zamodliłam się zupełnie. Nagle czuję czyjąś dłoń na ramieniu. Myślę sobie: Zesłał Pan anioła z dobrą radą. I tak było! To był pan Antoni. Podeszedł zapytać, co mnie trapi.

Obie z mamą jednocześnie odetchnęłyśmy z ulgą, że jednak babcia jeszcze nie do końca ześwirowała.

– No to mu opowiedziałam, co i jak, moja wnuczka przy nadziei, i to dobrze, ale że...

– Powiedziała babcia obcemu o ciąży? – zbulwersowałam się.

– Po pierwsze, moja kochana, pan Antoni jest kościelnym. To prawie jak ksiądz, co mu powiesz, to jakby w konfesjonale zostało. A po drugie, nie jest tak zupełnie obcy, to mój serdeczny przyjaciel. No i dzięki temu załatwiłam ci mieszkanie. Pokoik na poddaszu z dobrym dojazdem. Będziesz mieć spokój i opiekę. Wcale niedrogo.

– Ile? – zapytała mama.

Babcia podeszła do niej i szepnęła jej coś do ucha. Mamine brwi powędrowały do góry.

– O! – zdziwiła się.

– Przyjaciel pana Antoniego – wyjaśniła babcia, a mama z aprobatą skinęła głową.

Kilka dni później stałam przed furtką małego domku na Biskupinie. Nie podobał mi się pomysł z przeprowadzką. Przyzwyczaiałam się do niezależności, jaką dawał akademik. A teraz miałam mieszkać kątem u jakiegoś staruszka z kościelnej paczki mojej babci.

Nacisnęłam dzwonek. Zabrzączał gdzieś w głębi domu. Długą chwilę nic się nie działo i już miałam odejść, zadowolona, że jednak będzie po mojemu, kiedy skrzypnęły drzwi i na ścieżkę wtoczył się sympatyczny staruszek. Wyglądał jak Pan Bulwa czterdzieści lat później. Był prawie owalny, ubrany w spodnie na szelkach i białą koszulę. Miał mocno opaloną twarz, pomarszczoną jak bibuła. Oczy błyszczały mu

radośnie spoza okularów w grubej, rogowej oprawie. Pod kartoflanym nosem stroszyły się ogromne wąsiska.

– Cześć! – krzyknął. – Ty jesteś Karolina?

– Tak. Dzień dobry... – Z nerwów dygnęłam.

Przekręcił klucz w furtce i gestem zaprosił mnie do środka.

Niepewnie szłam po wyłożonej kostką alejce. Rosły wzdłuż niej równo przystrzyżone bukszpany. Na rabatkach wędły ostatnie jesienne kwiaty.

Dom był przedwojenny. Od czasu, kiedy go postawiono, przeszedł liczne metamorfozy. Ostatnią pewnie niedawno, bo tynk wyglądał na nowy. Przez szerokie dębowe drzwi wchodziło się do obszernego przedpokoju.

– To by była część wspólna – wyjaśnił gospodarz. – Zapraszam na górę – dodał, otwierając drzwi po lewej.

Spodziewałam się pokoju przy rodzinie ze wspólną kuchnią i łazienką. Okazało się, że miałabym do dyspozycji mieszkanie na poddaszu, pełne słońca, które wpadało do środka przez dachowe okna.

– Ładnie tu – powiedziałam. W moim głosie było więcej entuzjazmu niż w słowach.

– Wyszukowałem górę dla córki, która już dawno poszła na swoje – tłumaczył pan Włodek. Albo Władek. Przedstawił się, ale nie byłam pewna. – Potem przez jakiś czas wynajmowałem studentom. Tylko, wiesz, człowiek na starość robi się wrażliwszy, wszystko mu przeszkadza. – Bezradnie rozłożył ręce.

Zdziwiłam się.

– To co ja tu robię?

Roześmiał się jowialnie, aż mu się brzuch zakołysał.

– Ty to zupełnie co innego. W twoim stanie raczej nie będziesz imprezować do rana, co nie?

Wiedział. Skinieniem głowy przyznałam mu rację.

– Odrobina towarzystwa dobrze mi zrobi. Z tej samotności dziczej. – Ruszył schodami na dół. – No chodź, napijemy się herbaty.

Pan Włodek rzeczywiście był spragniony towarzystwa. Gadał jak nakręcony. Był miły, a mój stan wydawał się nie robić na nim wrażenia. Może podobnie jak ja myślał, że to tylko żart i za kilka miesięcy okaże się, że żadnej ciąży nie było.

Powiedziałam, że jeszcze się zastanowię i zadzwonię. Wróciłam do akademika. Było brudno, w łazience zabrakło ciepłej wody, a koleżanki zza ściany urządziły dziką imprezę.

Musiałam wyjść na korytarz, bo w pokoju nie słyszałam własnych myśli. Zirytowana zadzwoniłam do pana Włodka (albo Władka, trzeba to sprawdzić) i powiedziałam, że wprowadzę się po pierwszym.

Fizycznie czułam się okropnie. Psychiczenie jeszcze gorzej. W brzuchu miałam dziecko. Jakaś część mnie ciągle nie wierzyła i to mnie przygnębiało. Chciałam z kimś pogadać. Przyszedł mi na myśl Piotrek. Jeszcze trzy miesiące temu pierwszą osobą, o której bym pomyślała, była Ania. Otworzyć się przed nią znaczyło zranić i stracić. Nie po to tyle milczałam. Nasza przyjaźń jest dla mnie ważna. Prawda może poczekać. Tylko co to za przyjaźń, skoro nie ma w niej szczerości? Zganiłam się za takie myśli. Przecież nie kłamię. Po prostu nic nie mówię. Chyba jest różnica, no nie?

Umówiłam się z Piotrkim. Miał na mnie czekać przy moście Tumskim, chcieliśmy pospacerować po Ostrowie. Ależ ja lubiłam to miejsce! W sesji letniej przyjeżdżałam się tu uczyć. Brałam podręczniki, notatki i kawę w termosie. Mijali mnie różni ludzie: emeryci, studenci i niemieccy turyści, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Kiedy zgłodniałam, szłam do Hali Targowej po bułki i jogurt. Było tak przyjemnie jak we śnie. Miałam wrażenie, że działo się to całe wieki temu, choć minęły zaledwie cztery miesiące.

Wysiadłam z tramwaju na placu Bema i ruszyłam ku mostowi Młyńskiemu. Wtedy zobaczyłam Ankę. Już miałam za nią krzyknąć, gdy zobaczyłam, że z parkingu powoli rusza szare auto. Zatrzymało się obok niej. Wsiadła. Kto był kierowcą? Rafał! Odwróciłam się, żeby mnie nie poznali. I żeby nie zobaczyli moich łez. Płynęły jak woda z kranu.

Tak zastał mnie Piotrek.

– Co się stało?

– Jestem w ciąży – oznajmiłam. Nic nie powiedział. Szliśmy w milczeniu. W końcu znaleźliśmy wolną ławkę z widokiem na Odrę. Siedzieliśmy, patrząc na ciemną, cichą wodę i drzewa po drugiej stronie rzeki.

– Tak czułem. Dziwnie się ostatnio zachowywałaś. – Starał się

lekkotrawczo całą sytuację, choć widziałam, jak ta wiadomość nim wstrząsnęła. – I jeszcze ten wstręt do alkoholu. To zupełnie do ciebie niepodobne.

Dałam mu kuksańca. Tak pro forma. Ja też nie miałam ochoty żartować.

– Który tydzień? – zapytał fachowo, a gdy odpowiedziałam, uśmiechnął się smutno. – Z tym gogusiem, który był z nami w Karpaczu? – Upewnił się. – Powiesz mi?

– Nie zamierzam – odparłam stanowczo. – Po co? Tylko dlatego, że raz nad sobą nie zapanowałam, mam go mieć na zawsze w życiorysie? Zresztą to teraz chłopak Anki – rzuciłam z irytacją. I z niespodziewanym dla mnie żalem. Musiał wspominać o Rafale?

– Chyba raczej twoje dziecko będzie go mieć w życiorysie – sprostował Piotrek, patrząc gdzieś daleko przed siebie. – A właściwie nie będzie go mieć.

– Będzie musiało z tym żyć. – Zastanawiałam się przez chwilę. – Myślisz, że lepiej nie mieć ojca wcale niż mieć takiego, z którym łączy tylko nazwisko?

– Nie wiem, nie musiałem zadawać sobie takich pytań.

Upragniony syn swojego ojca, duma matki i ukochany młodszy braciszek dwóch sióstr nie cierpiał na brak miłości. Czy mojemu dziecku wystarczy tej miłości, którą ja mu dam?

Przerwał moje rozmyślenia, podnosząc się z ławki.

– Chodź. Jest zimno, nie powinnaś tu siedzieć.

– Tylko nie zaczynaj się mną opiekować – skarciłam go.

– Ktoś musi. – Podał mi rękę. – A Ance powiesz? Wiesz, tego się nie da ukrywać w nieskończoność.

Powiem, muszę tylko poczekać na właściwy moment.

Który raczej nie nastąpi w najbliższej przyszłości, bo nie bardzo wiem, jak mam to dobrze rozegrać. Pierwsza próba była nieudana. Spotkałyśmy się. Miałam gotową przemowę i wszystko byłoby dobrze, gdyby pozwoliła mi ją wygłosić, ale cały czas nawijała o Rafale. A jak nieśmiało jej przerwałam, mówiąc, że może przesadza, każdy ma wady, to tylko się roześmiała i poradziła, żebym też sobie kogoś znalazła.

Jedyne, co zdążyłam zrobić, to zasugerować, żeby nie śpieszyła się z pójściem z nim do łóżka. Roześmiała się i przez moment bałam się, że zaraz usłyszę: „Już to zrobiłam i teraz jestem w ciąży”. Zamiast tego powiedziała:

– Nie będę się śpieszyć. Pamiętaj, co ci powiedziałam w Karpaczu? To musi być coś wyjątkowego.

Absolutnie się nie śpiesz. I koniecznie się zabezpiecz! – pomyślałam. Popatrzyłam na zegarek i skłamałam, że muszę już iść.

Czułam się jednocześnie winna i skrzywdzona. Bywały krótkie momenty, kiedy tęskniłam za Rafałem. Wtedy wydawało mi się, że może powinnam mu o wszystkim powiedzieć. Potem przychodziły mi do głowy słowa, które na pewno bym od niego usłyszała, i nienawidziłam go. Powinnam chyba oświecić Ankę, żeby wiedziała, jaki jest naprawdę. Z tym też poczekam. Złota myśl mówi, że w odpowiednich okolicznościach znajduje się odpowiednie słowa. Sprawdzimy. Tymczasem próbowałam zająć umysł czymś innym niż ciąża, bo od myślenia o niej powoli wariowałam. Właściwie wariowałam od wszystkiego, ponieważ sprawy dotyczące mnie nierozdzielnie wiązały się z moim stanem. Studia – ciąża, Anka – ciąża, Rafał – ciąża i świnia kłamliwa, Piotrek – ciąża. I tak w kółko, aż mnie mdliło od tego.

Zupełnie niespodziewanie zadzwoniła Kinga. Zwykle to ja z Anką nękałyśmy ją telefonami. Kinga z wykładów pędziła do gazety, a z redakcji do Tomka. Zawsze miała wymówkę, ale zbyt ją lubiłyśmy, żeby mieć jej to za złe.

Umówiłyśmy się w małej herbaciarni niedaleko Rynku. Byłam już w drodze, kiedy mój telefon znowu zabrzęczał. „Wybacz, kochana, nic z tego”, usłyszałam w głowie jej głos. Ale to nie była Kinga, tylko Rafał. Zmroziło mnie. Czego może chcieć? Tak się przestraszyłam, że nie mogłam odebrać, po prostu nie mogłam. Po trwającej wieczność chwili telefon umilkł.

Kinga już czekała. Trochę gadałyśmy o niczym. Właściwie ja gadałam. Nerwowo opowiadałam o studiach i planowanej przeprowadzce, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy, a musiałam mówić, żeby się uspokoić. Kinga nie słuchała. Nic dziwnego, przynudzałam, ale bardziej absorbujących tematów, takich jak „Hej,

jestem w ciąży i mnie mdli. Mówię ci, supersprawa, powinnaś sama spróbować” albo „Zmarnowałam sobie życie, oj ja nieboga”, poruszyć nie mogłam.

W pewnym momencie zauważyłam, że Kinga całkowicie odpłynęła z nurtem własnych myśli. Zamilkłam więc i cierpliwie czekałam, aż wróci.

– Przepraszam – zreflektowała się moja przyjaciółka. – Co mówiłaś?

– Pytałam, co ci jest. Jakaś dziś nieobecna jesteś. Myślałam, że chcesz pogadać.

Kinga dołała sobie herbaty. Ja podziękowałam. Mdlilo mnie od niej.

– Chciałam się kogoś poradzić. Profesor zaproponował mi studia doktoranckie. Nigdy o tym nie myślałam, ale jak powiedział, że znajdzie się dla mnie miejsce... Chyba sobie nie poradzę.

Ktoś wbił mi rozżarzoną szpilkę w serce. Strasznie zabolalo. Przez cztery lata nie marzyłam o niczym innym, tylko o pozostaniu na uczelni, a tymczasem Kinga, która ma dosłownie wszystko, dostaje propozycję, która była moim marzeniem.

– Poradzisz sobie – zapewniłam ją szczerze, mimo rozżarzonej szpilki w sercu.

– No nie wiem – wahała się. – Powinnam porozmawiać z Tomkiem.

Przypomniało mi się, co mówił o niej Piotrek.

– Przyjmij ofertę profesora – poradziłam.

– No nie wiem – powtórzyła, wzdychając. – Czasem wydaje mi się, że Tomek ma dość moich studiów i pracy. Czuje się zaniedbany.

– A jak ty się czujesz?

Moje pytanie pozostało bez odpowiedzi. Zabrzęczała komórka Kingi i już, natychmiast musiała iść. Zerwała się jak poparzona. Wyściskała mnie na pożegnanie i mimo moich protestów zapłaciła rachunek. Obiecała zadzwonić. Zostałam przy stoliku i patrzyłam przez okno, jak Kinga energicznie maszeruje ulicą. W tej chwili tak bardzo chciałam być nią.

Tego dnia miałam się wyprowadzić z akademika. Spędziłam tu

cztery lata i już się przyzwyczaiłam. Znałam wszystkie plamy na ścianach, za wiele z nich byłam odpowiedzialna. Fotel miał wgniecenie idealnie pasujące do mojej pupy, a szafka wyłamany przeze mnie zawias. Często nazywałam to miejsce domem. Mama się złościła, bo przecież to nie był dom, tylko studencka przechowalnia. Ja czułam się tu bardziej u siebie niż w domu rodziców. Tam byłam dzieckiem, tu gospodynią, kimś dorosłym, kto nie musi mówić, o której wróci. Pomyślałam, że mama w moim wieku już od czterech lat była mężatką, ale jeszcze nie matką. Byłam owocem długich starań. Ona przez siedem lat zabiegała o to, co ja osiągnęłam w kwadrans, nie licząc gry wstępnej.

Wrzuciłam notatki do kartonu, ciuchy i naczynia do plecaka, resztę rzeczy do reklamówki. Pożegnałam się z dziewczynami zza ściany. Uściskały mnie serdecznie, chociaż nie były poruszone moim odejściem. Może nawet się cieszyły? Może zastąpi mnie ktoś bardziej imprezowy? W zeszłym roku byłam ta fajna, teraz albo płakałam, albo prosiłam o spokój.

Na portierni siedział nie lubiany przeze mnie pan Kazik. Wolałam pana Tadzia, który nie traktował nas wszystkich jak podejrzanych i odpowiadał na moje pozdrowienia. Kazik odburkiwał. Bez słowa dałam mu klucz i poszłam na przystanek tramwajowy. Pojechałam do nowego lokum. Tego, które będzie lepsze dla dziecka. Moje życie zostało teraz podzielone na to, co dobre dla dziecka, to, co muszę robić, i to, co mu szkodzi, więc nawet nie mogę o tym myśleć. I tak już będzie zawsze?

Akademik nocą nie śpi. Ktoś się uczy, ktoś idzie do łazienki, ktoś imprezuje, ktoś płacze w poduszkę. Wszystko to i hałas zza okna sprawiały, że na pierwszym roku długo chodziłam niewyspana. W końcu, jak wszyscy, przywykłam.

Ale już tam nie mieszkałam. W nowym miejscu było spokojnie. Pierwszego wieczoru mruczał telewizor, ale przed dziesiątą umilkł i zapadła cisza. Może to ona sprawiała, że nie mogłam zasnąć. Pierwsza noc w nowym łóżku, a proroczy sen nie przychodził. Patrzyłam w sufit i myślałam o „długo i szczęśliwie”, które nie przypadło mi w udziale.

Szczęście. Jakie to ładne słowo. Mogłabym je mieć, gdybym inaczej pokierowała swoim życiem. Skąd mogłam wiedzieć? Ludzie podejmują złe decyzje i wszystko komplikują. Rafał. Dlaczego spotyka

się z Anką? Czy ona musiała się w nim zakochać? Trzy miliardy facetów na świecie, a ona wzdycha do tego, który mnie zapłodnił.

Kinga. Dlaczego wmawia sobie, że jest szczęśliwa? Dlaczego nie realizuje swoich marzeń, tylko marzenia Tomka?

Piotrek. W pełni zasłużył na szczęście. Jest miły, opiekuńczy i wrażliwy, mądry, odpowiedzialny. I to takie cholernie romantyczne kochać kogoś skrycie przez tyle lat. Poczułam się tak, jakbym czytała Austen czy Rodziewiczównę. Powinien mieć szansę powiedzieć ukochanej, co czuje.

Czy mogę zrobić dla niego coś, na co sam nie ma odwagi? Może uda mi się umówić go z Kingą? Gdyby nie chciała, a raczej wszystko na to wskazuje, bo głupia myśli, że jest w szczęśliwym związku, mogę użyć argumentu, że kobiecie w ciąży się nie odmawia, inaczej w domu zalęgają się myszy. Zanim sięgnę po ten argument, użyję bardziej subtelnych metod.

Nie wiem, kiedy wpadłam w czarną dziurę, bez wizji.

Obudziło mnie terkotanie budzika. Wyspana czy nie, musiałam zwlec się z łóżka i jechać na uczelnię. W ciągu dnia przemyślałam wszystko jeszcze raz i wydało mi się, że skojarzenie Piotrka i Kingi to dobry pomysł. Szybko nakreśliłam plan działania i od razu przystąpiłam do jego realizacji. Wyciągnęłam komórkę i wybrałam numer. Po kilku sygnałach włączyła się poczta głosowa.

– Cześć, zapracowana kobieto. Znajdź dla mnie chwilę, bo mam ochotę na pogaduchy. Kupiłam dobrą herbatę! – nęciłam.

Długo nie musiałam czekać, Kinga zadzwoniła już po kwadransie.

– O co chodzi? – zapytała.

– Z okazji przeprowadzki robię kameralną parapetówkę, wpadnij.

Kinga westchnęła. Nie chciało jej się jechać do mnie przez całe miasto. Jednak nie miała wyjścia. No przecież nie mogę rozwalać jej związku, gdy w sąsiednim pokoju siedzi superprzystojny, bogaty narzeczony.

– Wykroję dla ciebie godzinkę dziś wieczorem. Jeśli ci pasuje.

– Pasuje jak najbardziej. O której będziesz?

– O siódmej?

I rozłączyłam się, zanim zdążyła zmienić zdanie.



Kupiłam w hali trzy rodzaje herbatników. I czekoladę na wagę dla siebie. Potem jeszcze trochę krówek na drogę. Miałam ochotę na jedzenie tego, co w większej części składało się z cukrów prostych. Migdały i imbir wcale nie pomagały. Mdlilo mnie prawie od wszystkiego, poza cukierkami i płatkami kukurydzianymi. To chyba nie była zdrowa, dobrze zbilansowana dieta, ale lepiej jeść cokolwiek niż nic, prawda? Chociaż lepiej też nie mieć cukrzycy. Bycie w ciąży to niezwykle skomplikowana sprawa.

Kinga spóźniła się dwadzieścia minut. To był najlepszy dowód, że w jej życiu coś jest nie tak. Należała do tych dziewczynek, które w szkole dostają pochwały za efektowne szlaczki, zawsze są przygotowane do lekcji i nigdy się nie spóźniają. Moja przeprowadzka nieco ją zdziwiła. Wyjaśniłam, że potrzebowałam cichego miejsca, gdzie mogłabym skupić się na pisaniu pracy. Przyznała mi rację, sama nie cierpiała akademika. Moje nowe lokum zrobiło na niej dobre wrażenie. Wcale się nie dziwię. Było czyściutko i przytulnie. Wchodziło się wprost do salonu połączonego z aneksem kuchennym. Po prawej była łazienka i pomieszczenie gospodarcze, które nazwałam garderobą, po lewej obszerna sypialnia. Skosy i okna dachowe dodawały wnętrzom uroku. W salonie stał komplet wypoczynkowy, który pamiętał lepsze czasy, poza nim wszystkie meble były nowe.

– Sorki. Już wychodziłam, kiedy wpadł mi jeszcze jeden tekst do przejrzenia – wyjaśniła, rzucając swój piękny, supermodny płaszcz na oparcie fotela.

– Nie ma sprawy. Już wstawiam wodę.

– Ojej, ile pyszności! – ucieszyła się na widok ciastek. – Coś świętujemy?

– Nie. Chyba że spotkanie przyjaciółek po latach – zażartowałam. Kinga się strapiła.

– Zołza ze mnie, zaniedbuję was – wyznała skruszona. – Skoro przyjaciółek, to gdzie Ania?

Nie byłam przygotowana na to pytanie i nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Rozpaczliwie próbowałam coś wymyślić, na szczęście sama Kinga mnie wyręczyła.

– Nawet lepiej. Lubię Ankę, ale to jej niepoważne podejście do

życia mnie wkurza. Mogłaby się w końcu ogarnąć.

Czajnik cichym gwizdnięciem oznajmił, że woda się zagotowała. Ucieszyłam się, bo miałam pretekst, żeby przerwać tę rozmowę.

– Kubki czy filiżanki? – zapytałam.

– Filiżanki – odpowiedziała, moszcząc się w fotelu. – Jesteś jedyną osobą, u której mogę się napić herbaty w filiżance. To takie eleganckie.

Też tak uważałam. W moim domu piło się herbatę ze szklanek z uszkiem albo kubków, a serwis stał jako ozdoba w segmencie. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek był używany. Mój składał się z czterech filiżanek, dzbanek i cukiernicy. Był cudny. Delikatna biała porcelana, złoty wzorek i różowe romantyczne różyczki. Kupiłam go za pierwsze stypendium – na pamiątkę. Kiedyś filiżanek było sześć, dwie podarowałam Ance, gdy wyprowadzała się z akademika. Uśmiechnęłam się do tych wspomnień.

Postawiłam przed Kingą filiżankę, dzbanek z herbatą i cukiernicę, w której piętrzyły się bryłki brązowego cukru.

– Czuję się jak w jakiejś romantycznej powieści. – Uśmiechnęła się.

Nawet nie wiesz, jak blisko prawdy jesteś, pomyślałam.

– Jak twoje zdrowie? Już wszystko w porządku? – Postanowiłam zacząć rozmowę od łatwych pytań.

– Tak. Lekarz kazał mi na siebie uważać. Mało kawy, dużo witamin.

Kinga odrobinę mi imponowała. Była dobrze zorganizowana, wszystko pamiętała, panowała nad rzeczywistością, ale wcale się z tym nie afiszowała. Ona nie znalazłaby się w takiej sytuacji jak ja, bo jak mówi moja mama – jest poukładana.

Przerwałam pisanie w myślach hymnu pochwalnego na cześć przyjaciółki, by wrócić do rozmowy z nią.

– Wszyscy bardzo się przejęliśmy – poinformowałam Kingę poważnym tonem. – Zwłaszcza Piotrek.

– Piotrek?

– Wiesz, jaki on jest. Empatyczny, troskliwy, zaangażowany.

Kinga wrzuciła do filiżanki dwa kawałki cukru, zamieszała i w zamyśleniu upiła kilka łyków.

– Byłam mu wdzięczna, że ze mną pojechał. Powiedział coś lekarzowi i mam wrażenie, że lepiej się mną zajęli.

– A widzisz? Złoto, nie przyjaciel. – Teraz piałam pean na cześć Piotrka.

– Tak, to prawda. – W jej głosie nie usłyszałam szczerego zachwyty, więc zachęciłam, żeby powiedziała, co naprawdę myśli. – On jest taki... no wiesz...

– No nie wiem. Czy na tym świecie nikt już nie może być po prostu subtelnym facetem? Albo jesteś szowinistycznym wieprzem, albo won.

Słowo „subtelny” w bezpośrednim zestawieniu z facetem wydało się Kindze zabawne. Postanowiłam otworzyć jej umysł, wyliczając zalety przyjaciela, ale nie działało. Dlaczego ludzie są tacy trudni? Mówię prawdę, a ona nie wierzy. I co mam zrobić? Muszę skłamać.

– Kiedy go poznałam, od razu wpadł mi w oko. – Mina Kingi świadczyła, że nie może uwierzyć w moje słowa. Nie dziwiłam się, też bym nie uwierzyła. – Tylko nie mów nikomu, proszę.

Po czym szczegółowo opowiedziałam bardzo ckliwą i wzruszającą historię mojej miłości. Jak to Anka nas sobie przedstawiła, bo myślała, że się nie znamy, a Piotrek już w liceum mi się podobał. Zupełnie straciłam dla niego głowę. Był taki tajemniczy i zawsze zamyślony. Normalnie jakby był jakimś Giaurem czy innym Byronem. I te jego blond loki, ta chudość. Zawsze miałam słabość do anorektycznych blondynów. To dlatego, że uwielbiam *Władcę Pierścieni*. Spotykaliśmy się jakiś czas. Raz nawet zabrał mnie na obiad. (To akurat była niemal prawda, bo zdarzyło mi się wpaść na Piotrka w barze mlecznym i on zapłacił za moje pierogi). W końcu powiedział, że nie ma sensu tego kontynuować, czym złamał mi serce.

– Nie był tobą zainteresowany? – Zaintrygowałam ją. Tak to już na tym świecie jest – kłamstwo zawsze atrakcyjniejsze niż prawda.

– Mówił, że związek go rozprasza, a on chce się bardziej skoncentrować na studiach, bo dla niego to bardzo ważne. Myślę, że powód był inny. Po prostu nie byłam tą jedyną – westchnęłam. Wczułam się i nawet trochę pożałowałam, że ta romantyczna historia się nie wydarzyła. – Co u Tomka? – zapytałam z premedytacją, wiedząc, że porównany w tej chwili z Piotrkim chłopak Kingi wypadł blado.

Kinga niemrawo zapewniła, że w porządku. Będę teraz o sobie mówiła Machiavelli.

– Szybkie samochody i łatwe dziewczyny to moja dewiza – zafaloszowałam wesoło, żeby uświadomić przyjaciółce, z kim się spotyka.

– Nie żartuj. On bardzo przeżył to, co się stało. – Żeby bronić ukochanego, Kinga wystawiła pazurki. – To nie była jego wina.

– Wyjątkowo – powiedziałam okrutnie. – Kinga, nie oszukujmy się, on jest pod tym względem niereformowalny. Skończy z mózgiem na przedniej szybie.

– Przyrzekłam sobie, że nie wsiądę już z nim do samochodu – oświadczyła smutno.

– Ciekawe, ile wytrzymasz. Krwawa breja spływa z szyby, lekarz tylko rozkłada ręce...

Przeięłam. Zapadło milczenie.

– Coś fajnego wydarzyło się dziś w pracy? – Pogadajmy o czymś przyjemnym. Zbyt długie drażnienie tematów trudnych i drażliwych prowadzi do tego, że rozmowa wymyka się spod kontroli.

Kinga, która wprost uwielbiała zabawiać nas anegdotkami z pracy, tym razem tylko wzruszyła ramionami.

– Myślisz, że dadzą ci cały etat?

– Chciałabym. Mogliby mi dać chociaż działkę tego studenciaka, który nic nie robi. Na miejscu szefowej już dawno bym go wywaliła.

Piotrek miał rację. Powinna się nazywać lady Makbet. Do tej pory tego nie widziałam, zwiedziona jej słodką miną. Zapytałam, czy podjęła już decyzję w sprawie studiów doktoranckich. Z ociąganiem wyznała, że chyba się nie zdecyduje, bo powiedziała Tomkowi (a przecież z całego serca radziłam, żeby tego nie robiła!) i on nie jest tym pomysłem zachwycony.

– Czy nie powinien cię wspierać? Ze świecą szukać drugiej takiej jak ty. Powinien być z ciebie dumny.

Kinga nie bardzo miała ochotę rozmawiać o swoich narzeczęńskich problemach. Postanowiła zmienić temat i znów zapytała o Ankę. O tym ja nie chciałam rozmawiać. Co mogłam powiedzieć? „Prowadza się z Rafałem, któremu za pół roku urodzi się dziecko. W połowie to też moje dziecko i tak się złożyło, że wszystkie związane z nim problemy

będą moje”. Łzy zakręciły mi się w oczach. Przecież ja się w tym Rafale... Kinga zapytała, czy wszystko w porządku. Jasne. To tylko alergia. Tłoczno się zrobiło w tym pokoju, bo i Tomek, i Anka z Rafałem, i Piotrek...

– Ktoś będzie miał wielkie szczęście. Piotrek to naprawdę fajny facet. Wspierał cię w trudnych chwilach. – Gdy twój narzeczony wybrał wrak auta. – Powinnaś do niego zadzwonić i mu podziękować.

Miałam nadzieję, że Piotr nie zareaguje: „Nie ma sprawy. Pa”, tylko błysnie intelektem i porozmawia chwilę. Jakby się wydało, że to podstęp, wszystkiego się wyprę. Zresztą jestem w ciąży. Mogę mieć kłopoty z koncentracją.

Potem już ani razu nie wypowiedziałam jego imienia.

– Masz jakieś plany na andrzejki? – zapytałam, gdy była na schodach.

– Tomek zarezerwował stolik w knajpie.

– Myślałam, że uda mi się urządzać coś kameralnego tutaj. Anka odmówiła, bo idzie gdzieś z tym swoim... – machnęłam ręką. Oczywiście świetnie pamiętałam, jak ma na imię, tylko nie przechodziło mi ono przez gardło. – Gdyby coś się zmieniło, to wiesz, gdzie mnie szukać.

– W przyszłym tygodniu zrobimy USG, dobrze? – Doktor powiedział to takim tonem, jakby mnie prosił. Fajnie byłoby odmówić, ale nie oszukujmy się, nie miałam wyboru. – Dwunasty tydzień to odpowiedni moment. Czy przyszły czwartek by pani pasował?

Kiwnęłam głową, a on zanotował datę w kalendarzu.

– Dobrze, a teraz proszę się położyć, posłuchamy tego małego bohatera.

Posmarował mi brzuch żelem i przyłożył do niego dziwne urządzenia. Najpierw usłyszałam mnóstwo szmerów i świstów, jak z nienastrojonego radia. A potem bicie serca. Moim zdaniem brzmiało nieprawidłowo. Szybkie uderzenia jedno po drugim – jak wtedy, gdy człowiek się wystraszy. Zaniepokojona spojrzałam na lekarza. Nie wyglądał na zmartwionego, wręcz sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Wszystko w porządku? – Chciałam się upewnić.

– Bardzo dobrze. Tak to powinno brzmieć. Małe, wielkie

serduszko. – Podał mi papierowy ręcznik. Zamiast brzucha wytarłam nim oczy i nos. Nie wiem, dlaczego zaczęłam płakać. Usłyszałam bicie serduszka i nie mogłam się powstrzymać. Moje maleństwo. Moje małe, śliczne dziecko.

Lekarz popatrzył na mnie z sympatią i ponownie podał mi ręcznik.

– Może pani mieć zmienne nastroje, to przejdzie. – Albo się pani przyzwyczai, dodałam za niego w myślach. – Proszę o siebie dbać, unikać stresu, dobrze się odżywiać. Tu jest adres przychodni, w której przyjmuję w czwartki. O siedemnastej.

– Czy nie powinnam zrobić badań prenatalnych? – zapytałam. Przystudiowałam ulotki, które mi dał, i czułam się specjalistką.

– Na razie nie mamy podstaw. Jest pani młoda i zdrowa. Nie pali pani, nie pije...

– Oj! – pisnęłam. – Byłam pijana, kiedy to się stało.

– Dużo pani wypila?

– Trzy drinki – wyznałam skruszona.

Popatrzył na mnie ciepłym, łagodnym wzrokiem.

– Prawdopodobnie alkohol już z pani wyparował, kiedy dochodziło do zagnieżdżenia zarodka. Jeśli jednak wyjdzie coś niepokojącego podczas USG, to dam pani skierowanie na dodatkowe badania. Zapewniam, że bardzo mi zależy na zdrowiu pani i dziecka.

Dopiero kiedy wyszłam, przypomniałam sobie, że w czwartek po południu mam kolokwium. Gdyby do gabinetu nie weszła następna pacjentka, tobym wróciła. Trudno, najwyżej nie pójdę na to koło. Nie pierwsze, nie ostatnie. I tak niczego się nie nauczę. Co otworzę ten cholerny skrypt, to zasypiam. W ogóle strasznie dużo ostatnio śpię. Na wykładach zawsze siadam w ostatnim rzędzie. Nic nie widać, słabo słyhać, ale mniejszy wstyd, kiedy chrapię. Albo kiedy muszę wyjść do łazienki. Moja doba ma nowy rytm. Półtorej godziny snu, potem siusianie i kolejna drzemka.

Po powrocie do domu krytycznie obejrzałam swój brzuch w lustrze. Prawie codziennie rano to robiłam. Czasem też wieczorem. Stawałam bokiem i zastanawiałam się, czy już coś widać. Może troszkę? Nie, naprawdę nic. Potem wypinałam brzuch. Czy to będzie tak wyglądało? Brzuch jest atrybutem kobiety ciężarnej. Nie żebym już

chciała go mieć, ale bez niego moja ciąża ciągle wydawała się nierealna. Zdarzały się poranki, kiedy budziłam się przekonana, że to był tylko zły sen. Czasem wieczorem miałam jeszcze nadzieję na niemożliwe zakończenie. Może zaszła pomyłka, może nie jestem w ciąży, marzyłam. Najczęściej w ogóle o tym nie myślałam. Bo po co? Przez to tylko płakałam.

Piotrek czekał na mnie przed pracownią. Śmierdziała lizolem, więc opuszczałam ją lekko zielona. Dlaczego nie wybrałam innego kierunku? Matematyki na przykład? Tam nie trzeba przeprowadzać żadnych doświadczeń, wystarczy długopis i kartka papieru. Albo filozofii. Tam nawet kartka nie jest potrzebna. A tak miałam przed sobą jeszcze mnóstwo badań do zrobienia, a na samą myśl o laboratorium mój żołądek wykonywał salto.

Piotrek pocałował mnie w policzek na przywitanie. Trochę mnie to zdziwiło, bo przedtem tego nie robił. Ciekawe, skąd ten nagły przyływ sympatii. Może wydzielam jakieś feromony, które w samcach wzbudzają opiekuńcze instynkty? Przypomniałam sobie faceta, którego poprosiłam w kolejce na pocztę, żeby mnie przepuścił. Nie, zdecydowanie nic nie wydzielałam. Pewnie Piotrek zwyczajnie czuje się za mnie odpowiedzialny.

– Jak samopoczucie?

– Nawet nie pytaj – westchnęłam.

– Tak źle?

– Niedobrze. Ciągle jest mi niedobrze.

– To normalne w pierwszym trymestrze. – Piotrek pochwalił się wiedzą teoretyczną. – Mam coś, co poprawi ci humor. Tylko chodźmy stąd. – Wykonał głową nieznaczny gest w stronę kilku moich koleżanek stojących przy oknie.

– Jasne.

Po drodze opowiedziałam mu o najbardziej upokarzającym wydarzeniu w moim życiu. Wymiotowałam. Niby nic niezwykłego, bo ostatnio zdarza mi się to nawet kilka razy dziennie, ale po raz pierwszy zdarzyło się w miejscu publicznym innym niż damska toaleta. Na przystanku. Jakiś facet w tramwaju żarł hamburgera i mlaskał tak okropnie, że musiałam wysiąść. Nawet gdybym nie była w ciąży,

miałabym nudności. Ledwo dałam radę dobiec do kosza na śmieci i wyrzucić z siebie odrobinę kwasów żołądkowych. Właśnie wycierałam usta chusteczką, kiedy minęły mnie dwie kobiety. Jedna z nich popatrzyła na mnie z mieszaniną współczucia i politowania i powiedziała do swojej towarzyszki: „Nie wiem, co bym zrobiła mojej córce, gdyby od rana chodziła pijana”. Na to ta druga: „Daj spokój, to jakaś ćpunka”. Zrobiło mi się strasznie wstyd. A przecież nie ja powinnam się tak czuć. Powinnam, jak by powiedziała znana feministka z telewizji, zwymiotować na nie mentalnie. Najsmutniejsze, że to były kobiety; dla facetów pewnie znalazłabym usprawiedliwienie.

Usiedliśmy na przystanku i czekaliśmy na mój tramwaj. Piotrek nie bardzo chciał do mnie jechać, a ja nie czułam się na siłach chodzić do miejsc, gdzie pachniało jedzeniem. Zapachy były moją zmorą.

– Masz. – Podał mi sporą torbę. – To dla ciebie.

Zajrzałam do środka. Było tam całe mnóstwo książek o ciąży.

– Moja siostra już ich nie potrzebuje – wyjaśnił.

– Powiedziałaś jej? – oburzyłam się.

– Nawet nie pytała. Lekarz zainteresowany ciążą nie wzbudza sensacji.

– Dzięki, jesteś wielki. – Z wdzięczności go uściskałam. –

Wpadniesz do mnie w andrzejki? – odwdzięczyłam się zaproszeniem.

– Wpadnę.

– To jesteśmy umówieni. – Podniosłam się, bo właśnie zza zakrętu wyjechał mój tramwaj.

W czwartek urwałam się z zajęć wczesnym popołudniem.

Dziewczyny trochę się dziwiły, że nie idę na kolokwium. Powiedziałam, że nic nie umiem. Patrycja nawet wielkodusznie zaproponowała, żebym usiadła obok niej i ściągała. Podziękowałam i wytłumaczyłam, że wolę zaliczyć ustnie.

Pod adresem, który dał mi doktor, mieścił się budynek wciśnięty między dwie poniemieckie kamieniczki. Napis nad wielkimi szklanymi drzwiami informował, że znajdują się tu supernowoczesne gabinety lekarskie z pełnym wyposażeniem. Mój portfel kwiknął żałośnie na myśl, jak słono będzie kosztowało to badanie. Witaminy, badania, lekarz – ciąża pochłaniała całe moje stypendium.



Usiadłam przed gabinetem. Byłam pierwsza. Z nudów wertowałam gazetę dla młodych matek. Zupki, kolka, przedszkole – abstrakcyjne tematy. Nie miałam pojęcia, że ząbkowanie to taki długi i bolesny proces.

Wreszcie kwadrans po siedemnastej zjawił się pan doktor. Przeprosił za spóźnienie i puścił do mnie oko.

Weszłam do gabinetu i położyłam się na wysokim łóżku. Porcja zielonego żelu wylądowała na moim brzuchu. Lekarz przejechał po nim przedmiotem o fallicznym kształcie. Miałam awersję do wszystkiego, co kojarzyło mi się z seksem. W końcu erotyka to bardzo niebezpieczna sprawa, można od tego zajść w ciążę.

Ekran zamigotał. Doktor w napięciu przyglądał się kolorowym plamom. Marzyłam, żeby nic w moim brzuchu nie znalazł i żeby akcja „Ciąża” została odwołana na czas nieokreślony. Wiadomo jednak, jak jest z marzeniami – trzeba być bardzo naiwnym, żeby wierzyć, że się spełnią.

– Proszę spojrzeć – lekarz przesunął monitor tak, żebyśmy mogły go dokładnie widzieć – jakie ładne dziecko tu mamy.

Gapiłam się i gapiłam. Było trochę tak jak z obrazkiem z głębią. Wszyscy mówią, że widzą, ale to nieprawda, tylko wstyd się przyznać. Powiedziałam, że świetnie widać. Wtedy lekarz się roześmiał i stuknął palcem w środek ekranu. I nagle naprawdę zobaczyłam swoje dziecko! Maciupieńkie rączki, nóżki i wielka głowa. Nagle coś, co dotychczas było tylko stanem, okazało się bytem. Ciąża to fakt, płód to prawdziwy człowiek. Moja babcia powiedziałyby: „zobaczyła i uwierzyła”. Ogarnęła mnie radość, trochę zmartwienie, bo to takie maluteńkie, takie kruche. Popłakałam się. Dlaczego kobiety na filmach zawsze wpadają w euforię, a ja nic, tylko płaczę? Lekarz był chyba na to przygotowany, ponieważ od razu podał mi chusteczki. Miękkie i niebieskie. Pomyślałam, że to znak i będzie chłopiec. Potem pomyślałam, że będzie taki piękny i miły jak jego ojciec, i nagle dotarło do mnie, że jego ojciec, owszem, jest piękny, ale miły to on jest nie dla mnie, tylko dla innej. Poza tym to tylko biologiczny ojciec, więc się nie liczy. Żeby się w tym utwierdzić, przypomniałam sobie, co mi zrobił. No i zupełnie się rozkleiłam. Ryczałam jak bóbr.

Lekarz cierpliwie czekał, aż się nieco uspokoję.

– Dziecko wygląda ślicznie i zdrowo – zapewnił. – Wszystko w normie. Nie ma powodu do zmartwienia.

Łzy znowu popłynęły mi po policzkach.

– Dobrze, już dobrze. – Wstając, pogłodził mnie po głowie. – Proszę, to jest zdjęcie dla pani. – Wręczył mi kartkę z wielką ciemną plamą. – Dziecko jest tu. – Pokazał. Na monitorze było widać wyraźniej, ale kiedy dobrze się przyjrzałam, zobaczyłam wszystko. Główkę, rączkę, nóżki i kręgosłup, podobny do sznura malutkich perełek. Śliczne dziecko i moje. Oczywiście znowu się rozplakałam. Lekarz wyznaczył mi datę następnej wizyty. Kiedy zapisywał ją w swoim terminarzu, dodał: „Kupić chusteczki, dużo”. Nie wydało mi się to szczególnie śmieszne.

Kiedy wyszłam na korytarz, siedząca naprzeciwko drzwi kobieta wstała i ruszyła do gabinetu. Ukradkowo spojrzałam na jej brzuch. Zastanawiałam się, jaką skrywa tajemnicę.

Na weekend pojechałam do domu. Mama nawet słyszeć nie chciała, że zostanę we Wrocławiu. Musiałam użyć bardzo silnych argumentów, żeby ją przekonać, że ojciec nie musi po mnie przyjeżdżać, pociągi są dla ludzi. Oczywiście wyjechali po mnie na dworzec. We trójkę. Dobrze, że jazda do domu nie trwała dłużej niż dziesięć minut, bo bym wysiadła. Babcia cały czas upominała tatę, że jedzie za szybko. Tata się złościł, bo nie lubi, jak się go poucza. Mama próbowała pełnić funkcję mediatora i obrywała od obojga.

W domu też nie było lepiej. Babcia mnie pocieszyła, że nie muszę się martwić, bo ona teraz dwa razy dziennie chodzi na mszę, rano modli się za mnie, wieczorem za siebie. Ojciec zaproponował, żeby zaniósł sobie do kościoła koc i poduszkę. Babcia się obraziła. Tylko na chwilę, bo zaraz wpadła w świetny nastrój na wieść, że zjem jej pomidorową. Ona gotuje fantastyczną pomidorową.

Udało mi się zjeść zupę i nie zwymiotować. Ku mojej radości ostatnio coraz częściej się zdarzało, że mój organizm ze spokojem reagował na próby wypełnienia żołądka pokarmem. Wymiotowałam rano, czasem w ciągu dnia, podrażniona wyjątkowo intensywnym zapachem.

Kiedy zjadłam, wyjęłam z plecaka zdjęcie dziecka. Babcia zaczęła

się modlić, a mamie zaszklily się oczy. Tata się nie odezwał, tylko wyszedł do dużego pokoju. Po chwili wrócił, niosąc ramkę, w której było zdjęcie zrobione mi w pierwszej klasie.

– Dajcie, jeszcze pobrudzicie zupą – powiedział do nich oschle. Włożył zdjęcie w ramkę, częściowo zasłaniając moją podobiznę. – Ustawię u siebie – dodał.

Pomyślałam, że w tej rodzinie to dziecko znajdzie tyle miłości, ile będzie mu potrzeba. Popłakałam się. Mama i babcia popłakały się ze mną.

– Czy myślałaś już nad imieniem dla dziecka? – zagaiła babcia, gdy się nieco uspokoiłyśmy. Siedziałyśmy przy kuchennym stole i piłyśmy herbatę. Tata stał oparty o framugę, zdystansowany wobec mnie.

– Jeszcze nie – chlipnęłam.

– Ja myślę, że dobre imię dla dziewczynki to Maria. Marysia znaczy. A dla chłopca może J...

– Jezus? – wpadł jej w słowo ojciec.

Babcia spiorunowała go wzrokiem.

– Jan. To ładne imię – oznajmiła wyniośle.

– I byłby imiennikiem proboszcza – zachichotał tata.

Babcia poczerwieniała na twarzy.

– Grażynko, powiedz mu coś, bo ja już nie mogę. Tyle co ja pieniędzy dałam na msze w intencji jego przemienienia. – Wzniosła oczy do nieba.

– Trzeba było dać mnie. Byłaby większa szansa na poprawę. – Tata się roześmiał i oświadczył, że idzie obejrzeć wiadomości. Jego wyjątkowo dobry humor dawał nadzieję na poprawę naszych stosunków. Czekałam, licząc, że się do mnie odezwie. Na próżno. Czas przebaczenia jeszcze nie nadszedł.

Babcia posłała za ojcem smutne spojrzenie i zwróciła się do mnie:

– Widzisz, dziecko, co ja mam? Mówiłam twojej matce, że będą z nim kłopoty, ale nie słuchała. Trudno. To widać mój krzyż.

– Mamo!

– Taka jest prawda, Grażynko, taka prawda...

Mama nie chciała tego słuchać i pod pozorem zanieśienia tacie

herbaty wyszła z kuchni.

– Tak w ogóle to rozmawiałam ostatnio z Antonim. – Babcia się lekko zaczerwieniła. Jej słabość do kościelnego była ewidentna. Tata pozwolił sobie nawet na żart, że ona biega do kościoła tylko ze względu na przystojnego kościelnego. Babcia zniosła tę uwagę z pokorą, co było najlepszym dowodem na to, że w słowach ojca jest ziarno prawdy. – Wiesz, że on ma wnuka mniej więcej w twoim wieku?

– O! – zdziwiłam się.

– Wykształcony, miły i podobno szalenie przystojny chłopak.

No proszę. Pan Antoni ma się kim przed ludźmi pochwalić. Jego wnuk nie jest w nieplanowanej ciąży.

– Tak sobie pomyślałam... może chciałabyś się z nim umówić? – zapytała babcia zniechceni.

Mój mózg był przeciążony nierówną walką z hormonami, więc dopiero po chwili do mnie dotarło, o co jej chodzi.

– Babcia chyba nie próbuje mnie swatać?

– Zaraz swatać – obruszyła się. – Dobry chłopak z bogobojnej rodziny...

– Aż tak dobry, że chciałby dziewczynę z brzuchem?

– Mówisz całkiem jak twój ojciec. – Babcia poczuła się urażona moim pytaniem. – Co by ci szkodziło się spotkać? Porozmawiać. Toż życie się dla ciebie nie skończyło tylko dlatego, że zostaniesz matką.

– Pomyślę o tym – powiedziałam wymijająco.

Tak, moja babcia była całkiem oderwana od rzeczywistości.

Upiorny dźwięk budzika wdarł się w mój sen i kazał wracać do świadomości. Obudziłam się przez to z bardzo nieprzyjemnym uczuciem. Pomyśleć, że jeszcze wczoraj byłam w domu i mama robiła mi śniadanie do łóżka. Przez chwilę zastanawiałam się, po co wstaję tak rano. W końcu sobie przypomniałam. Muszę iść na badania.

Comiesięczne badania były najgorszą rzeczą, jaka mnie spotykała. Plasowały się zaraz za porannymi nudnościami, a tuż przed zgagą. Zdecydowanie wolałam pieczenie w przełyku niż oddawanie własnej krwi. Na dodatek musiałam być na czczo, co oznaczało, że przez cały dzień będę się źle czuła. Chyba przez całe dotychczasowe życie nie zrobiono mi tylu badań co teraz. Pojawiły się też takie słowa jak

„przeciwciąta” czy „toksoplazmoza”.

Każde pobieranie krwi niezmiennie zaczynało się od narzekania pielęgniarek na moje żyły. „Ależ pani ma cienkie żyły, no zupełnie nie ma się w co wkłuć”, mówiła każda i wyciągała igłę jak dla słonia, a mnie dreszcz przechodził po plecach. Nigdy nie byłam wrażliwa i nie mdleję na widok krwi, ale kiedy patrzyłam na te igły, naprawdę robiło mi się słabo. Opuszczając gabinet zabiegowy, czułam ulgę i prawie radość, że mam miesiąc spokoju.

Tym razem było jednak gorzej niż zwykle. Miałam zrobić test obciążenia glukozą. Jako studentka chemii wiem, co to jest glukoza. Znam nawet jej wzór chemiczny. Ale nie jestem studentką medycyny, nie muszę wiedzieć, jak przebiega to badanie, a nikt mnie nie poinformował.

Pielęgniarka spojrzała na mnie zdezorientowana, kiedy wręczyłam jej torebkę z proszkiem.

– Po co mi to? – spytała.

– No, żeby mi zrobić test – wyjaśniłam grzecznie, głęboko przekonana, że cukier wyląduje w strzykawce i tą drogą trafi do moich żył.

– Mam to pani rozpuścić? – obruszyła się. – Na korytarzu jest dystrybutor wody, może pani sama to sobie rozpuścić – fuknęła.

Zawstydzona wyszłam na korytarz. Mam to zjeść? Nie mogli na opakowaniu umieścić instrukcji obsługi? Wsypałam proszek do jednorazowego kubka i zalałam wodą. Wypiłam łyk i przekonałam się, że słodkie słodkiemu nierówne. To był najohydniejszy smak, jaki miałam dotychczas w ustach. Mimo wielokrotnego mycia zębów utrzymywał się w buzi przez cały dzień.

Akademik i syf – te słowa to synonimy. Jeśli już człowiek tam sprząta, to tylko żeby uspokoić sumienie, bo efektów i tak nie widać. Moje poddasze było jasne i czyste, dlatego dbałam, aby utrzymać ten stan. To niezwykle przyjemne przebywać w uporządkowanym wnętrzu, zwłaszcza gdy pamięta się bałagan. Myłam podłogę w tempie dla ciężarnych, kiedy zadzwonił telefon. Odruchowo odebrałam.

– Cześć, Karolina!

Rafał? Rafał!

– Hej! Jesteś tam?

Tak. Tylko mowę mi odjęło.

– Mhy – zdołałam z trudem wykrztusić.

– Pomyślałem... Nie odebrałaś, kiedy ostatnio dzwoniłem... Tak w ogóle, to co u ciebie słyszeć?

Tak w ogóle to jestem z tobą w ciąży.

– Nic ciekawego.

– U mnie też nic.

Nie wierzę.

– Czy ty mnie spławiasz?

Nie!

– Tak. Zadzwoiłeś w nieodpowiednim momencie.

– A kiedy będzie odpowiedni?

– Nie wiem. Dam znać.

Dupek! Musiał zadzwonić akurat w chwili, kiedy go straszliwie nienawidzę?

Piotrek przyniósł zgrzewkę piwa dla siebie i karton soku dla mnie. Poza tym pieczywo, kabanosy (kompletny brak wyczucia, bo od mięsa robi mi się niedobrze) i słoik ogórków kiszonych. Śmiałam się z tego głupiego mitu, że kobiety w ciąży jedzą tylko ogórki. Dopóki nie spróbowałam. Od lat nie jadłam czegoś równie dobrego. Kiedy kwaśny sok pobudził kubki smakowe, poczułam się tak, jakbym na chwilę dotknęła nieba. Bałam się, że Piotrek może mi zjeść wszystkie ogórki, i poważnie zastanawiałam się, gdzie ten skarb schować. Na szczęście on wolał padlinę i piwo.

– Kinga do mnie zadzwoniła – powiedział. Rozsiadł się wygodnie w fotelu, który przed laty pewnie był czerwony, ale wypłowiał. Piotrek wyglądał na wyluzowanego i zadowolonego z siebie. Zazdrościłam mu. Kiedy ja ostatnio tak wyglądałam?

– O! – zdziwiłam się. Byłam szalenie ciekawa, o czym, i czy w ogóle, rozmawiali, ale bałam się zapytać, żeby nie skojarzył, że mam z tym coś wspólnego. Na moje nieszczęście Piotrek był szalenie inteligentny. – W czwartek byłam na USG. – Szybko zmieniałam temat.

– I co?

Powtórzyłam mu wszystko, co powiedział lekarz, a on mądrze

kiwał głową i od czasu do czasu rzucał jakiś tekst, którego nie rozumiałam, a który miał świadczyć o tym, że się super zna, bo był na tym wykładzie. Ja ze swoich studiów nie robiłam takiej szopki.

– Wszystko w porządku. Dostałam nawet zdjęcie, ale tata je sobie oprawił w ramki.

Piotrek się uśmiechnął.

– Czy to znaczy, że się cieszy? – chciał wiedzieć.

– Ty byś się cieszył, gdyby twoja córka była w ciąży z nie wiadomo kim? Jest wściekły i w ogóle ze mną nie rozmawia. Ma do mnie żal, bo go zawiodłam.

Piotrek w zmyśleniu żuł kabanosa. Stwierdziłam, że to źle wygląda, kiedy on jest taki chudy, a ja taka ciężarna.

– Boję się, że to wszystko, co ojciec o mnie myśli, jest prawdą. Wiesz, że jestem głupia i nieodpowiedzialna. Szanse na skończenie studiów są marne – nie nadażam. W czwartek nie poszłam na koło z organicznej, bo byłam na badaniach. Nie wytrzymuję w laboratorium, bo tam śmierdzi lizolem.

– Tam nie czuć lizolu. To twoja płodna wyobraźnia. – Piotrek uznał to za świetny żart. – Może powinnaś wszystkim powiedzieć? Miałabyś fory.

– Jeszcze za wcześnie. Nie jestem gotowa. Nie chcę, żeby Anka się dowiedziała.

– Zdajesz sobie sprawę, że zachowujesz się niemądrze? Pozwalasz, żeby umawiała się z chłopakiem, który niedługo będzie ojcem.

– Właściwie to tak – przyznałam ze skruchą.

– Nie ciągnij tego. Powinnaś się do wszystkiego przyznać.

Gdybym ja był na twoim miejscu, pierwszą rzeczą, jaką bym zrobił po wynikach testu, byłoby zadzwonienie do tego faceta.

Dlaczego tylko ja widzę, jakie wszystko jest skomplikowane? Tomek umówił Rafała z Anką. Jej szczęście, mój pech. Trzeba się było z tym pogodzić. Nie powinnam była nawet spojrzeć na tego chłopaka, a tymczasem poszłam z nim do łóżka. Jak powiem jemu, to mnie spławi; jak powiem jej, to mi oczy wydrapie. Albo jeszcze gorzej. Ciągle pamiętałam bladą twarz Anki na szpitalnym łóżku. Jeśli ona naprawdę tak bardzo go kocha i jeśli znowu to zrobi? Ciągle czułam się winna, że

wtedy nie pojechałam do niej od razu. A co by było, gdyby nałykała się prochów przeze mnie? Łatwiej żyć z tajemnicą niż z poczuciem winy.

– Nie jesteś mną.

– Niestety – rzucił, jakby słyszał moje myśli. Pokiwał smętnie głową. – Myślę, że...

Ale nie dane było mi dowiedzieć się, co myśli, bo ktoś zapukał do drzwi. Podniosłam się, żeby otworzyć. To była Kinga. Wyglądała trochę dziwnie. Była bardzo elegancko ubrana, miała ułożoną fryzurę i ślicznie pomalowane paznokcie, ale ani śladu makijażu. Dopiero kiedy podeszła do światła i zobaczyłam zaczerwienienie wokół oczu, zrozumiałam dlaczego.

– Cześć. Słyszałam, że odbywa się tu najlepsza impreza w mieście. – Próbowała udawać, że jest w świetnym nastroju, ale zupełnie jej to nie wychodziło.

Postanowiłam wcielić się w dobrą gospodynię.

– Dobrze słyszałaś. Mamy sok, piwo i herbatę. Czego się napijesz? – zapytałam głosem Marthy Stewart.

– Piwo poproszę – odpowiedziała i padła na drugi fotel.

Piotrek podał jej puszkę. Wzięła, podziękowała mu ruchem głowy, sprawnie otworzyła i pociągnęła dwa spore łyki. Sama świadomość, że pije alkohol, który działa rozluźniająco, sprawiła, że zrobiło jej się wyraźnie lepiej, więc upiła jeszcze łyk.

– Dobrze było wiedzieć, że zastanę cię w domu. Inaczej nie wiem, co bym zrobiła – powiedziała, kiedy opróżniła połowę puszki.

– Coś się stało? – starałam się nie okazać, jak bardzo jestem ciekawa.

– Tak, ale nie chcę o tym mówić.

– Mogę wyjść. – Piotrek, który od jej wejścia nie powiedział ani słowa, teraz podniósł się z fotela.

– Daj spokój, zostań. – Kinga przytrzymała go za rękę. – Nie chcę mówić, żeby do reszty nie popsuć sobie humoru. Nie mam nic do ciebie.

– Miło wiedzieć – rzucił Piotrek oschle, ale usiadł.

Ludzie, jaki z niego młot! Mógłby zrobić użytek z mózgu i powiedzieć coś... no... w romantycznym stylu. A on jest ironiczny, siedzi skulony w fotelu i wygląda dokładnie tak jak te kiszzone ogórki,



które przyniósł. Z taką powierzchownością umrze jako stary kawaler. Przecież nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić, że Kinga poprzytykała się z Pięknym Tomaszem. I teraz wystarczy podać jej chusteczkę i powiedzieć, że wszyscy faceci tacy są, że to chamy niewrażliwe, żeby wydeptać sobie ścieżkę do jej serduszka. Ja bym ją prędzej uwiodła niż ten niezguła.

– Co tam u was słyhać? – zapytała Kinga bez zainteresowania, ot tak, żeby reanimować umierającą konwersację.

– Spoko – odparł Piotrek.

– Luz – dodałam.

Zapadła długa cisza.

– Popsułam wam zabawę. Pójdę już. – Kinga się podniosła. Piotrek przytrzymał ją za rękę.

– Siadaj i nie wygłupiaj się. Lepiej powiedz, co się stało, bo udawanie, że wszystko jest w porządku, wyraźnie przekracza możliwości nas wszystkich – mówił spokojnie i stanowczo.

– Pokłóciłam się z Tomkiem – wyznała. Oczy jej się zaszkliły.

– Pogodźcie się. – Poklepałam ją po ramieniu.

– Pewnie tak – przyznała. Dopiła piwo i poprosiła Piotrka o kolejne. – To pierwszy raz...

Przysiadłam się bliżej niej.

– O co poszło? – Piotrek posłał mi spojrzenie, które z wyrzutem mówiło: „No wiesz!”.

– Mieliśmy iść na imprezę do klubu. Tomek chciał wziąć samochód, a ja... Od wtedy... Powiedziałam, że wolę się przejść, on chciał jechać i tak od słowa... – Usta jej zadrżały. – Nawet nie wiecie, jak na siebie wrzeszczeliśmy...

– Bardzo dobrze zrobiłaś. Tomek jest nieodpowiedzialny. Jako kierowca stanowi poważne zagrożenie. Mógł was pozabijać. I wcale go nie tłumaczy, że ktoś tam wyjechał. Jakby nie przekroczył prędkości, miałby czas, żeby zareagować. Przepisy drogowe są po to, żeby ich przestrzegać. Jeśli...

Kinga wybuchła płaczem. Chciałam ją przytulić, ale Piotrek dał mi znak, że już wystarczająco pomogłam i że bym się odsunęła. Wstał z fotela, kucnął naprzeciwko Kingi, wziął ją za rękę.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz – zapewnił i podał jej paczkę chusteczek.

Kinga wyciągnęła jedną i wytarła oczy i nos. Nie wyglądała teraz ładnie. Powiedziałam, że zrobię herbaty i wyszłam do kuchni. Dwoje pocieszających to o jedno za dużo.

Dziesięć minut później do kuchni wszedł Piotrek.

– Może zrobiłabyś jakieś kanapki, jak już skończysz z herbatą?

Kanapki? Ciekawe, czy mam masło, że o pieczywie nie wspomnę.

Dieta ciężarnej różni się zdecydowanie od tego, co jedzą inni śmiertelnicy. To nie jest tylko kwestia smaku, zapachu, koloru, konsystencji, wszystko ma znaczenie. Masło, podobnie jak serki topione, jest nie do przyjęcia, bo pozostawia na zębach tłusty osad, od którego chce się rzygać.

Wyskrobałam z pudełka smętne resztki smarowidła, mającego lepsze czasy za sobą. Nawet nie sprawdzałam, jak bardzo jest przeterminowane. Wystarczyło na pięć kromek, które zrobiłam z rogalą kupionego trzy dni temu. Z piekarni ładnie pachniało, więc weszłam. Jednak zakupy mnie nie usatysfakcjonowały. Nic nie smakowało tak, jak powinno.

Siedziałam w kuchni już dobry kwadrans. Staralam się udawać, że nie podsłuchuję.

– Myślałam, że za mną pobiegnie, że zaraz zadzwoni – powiedziała Kinga do Piotrka.

– Duma mu nie pozwala. – W jego głosie było tyle czułości, że na miejscu Kingi od razu bym się w nim zakochała.

Posiedzieliśmy jeszcze prawie godzinę nad marną imitacją kanapek. W końcu Kinga uznała, że musi wracać do domu, a Piotrek postanowił wyjść razem z nią. W przedpokoju podał jej płaszcz. I otworzył drzwi. Wątpiłam, żeby Kinga to zauważyła, ale zawsze jest nadzieja. Poza tym mieli przed sobą jakieś czterdzieści minut sam na sam.

Wyjrzałam za nimi przez okno. Szli pół metra od siebie. Poczułam ukłucie żalu. Liczyłam, że zobaczę ich trzymając cich się za ręce.

Nazajutrz Piotrek czatował na mnie przed drzwiami instytutu.

– Chyba nie powinnaś robić tego, co robisz – powiedział na

przywitanie.

– A co robię? – Nie bardzo rozumiałam.

– Próbujesz skłócić Kingę i Tomka – wyjaśnił, otwierając mi drzwi. Piotrek jest jedynym, oprócz mojego taty, facetem, który otwiera drzwi kobietom. Nawet tym, których nie zna.

– Niczego takiego nie robię – skłamałam obłudnie, perfidnie i w żywe oczy.

– Nie mieszaj się do cudzego życia. Żałuję, że ci powiedziałem. Zrozum – ja już się przyzwyczailem do myśli, że jest z innym. To nie boli i nie chcę tego zmieniać.

Nie wiedziałam, czy po tych słowach poczuć się obrażona, czy winna.

– Może po prostu wierzę w szczęśliwe zakończenia?

– Tak? – Popatrzył na mój brzuch. – To gdzie jest ojciec twojego dziecka?

– To co innego – obruszyłam się.

– Nie, to samo. Obiecuj mi, że już nic nie będziesz robiła.

– Obiecuję – skłamałam ohydnie. Kurczę, dużo ostatnio kłamię.

Ciekawe, czy wszystkie ciężarne tak mają.

Piotrek zaproponował, że odprowadzi mnie do auli. Powiedział, że poczeka ze mną, bo akurat ma wolną chwilę. Miałam dziś nudny wykład obdarzonej donośnym głosem profesor Wróblewskiej. Na jej wykładach bardzo źle mi się sypia. Potem w planie były śmierdzące lizolem ćwiczenia.

Przed aulą czekała na mnie Anka. Czy oni nie wiedzą, że wynaleziono już telefon komórkowy?

– Cześć, kochana! – Cmoknęła mnie w powietrze obok policzka, a następnie w ten sam sposób przywitała się z Piotrkim. – Wieki się nie widziałyśmy!

– Czyja to wina? – Szczerzyłam się, żeby wyglądało na: „Ludzie, jak się cieszę!”.

– A jak dzwonię, to kto nigdy nie ma czasu?

– Wiesz, jak to jest na piątym roku. – Błąd. Nie wie. – Po prostu mam dużo zrozumienia dla zakochanych – wybrnęłam.

– Czasem aż za dużo – wtrącił zgryźliwie Piotrek.

– Za to ty nie masz go wcale. – Anka pokazała mu język.

Wzruszył ramionami. Stał przy mnie tak, jakby chciał mnie bronić przed przyjaciółką. Ale Anka nie miała złych zamiarów.

– Musimy koniecznie pogadać – zaskomlała. – Tyle mam ci do opowiedzenia.

– Super. – Bardzo nieszczerze się ucieszyłam.

– Zostajesz na wykład czy się urywasz? – zapytała.

Przez chwilę rozważałam, co gorsze: słuchanie Anki czy wykładu.

– Zrywam się – zdecydowałam dosłownie w ostatniej chwili, bo profesor Wróblewska już wchodziła do sali.

– Gdzie idziemy? – zapytała Anka.

Piotrek, którego moja przyjaciółka zdawała się ignorować, włączył się do rozmowy, niespodziewanie zapraszając nas na kawę. Moim zdaniem był ciekaw, czy do czegoś między nami dojdzie. Może miał nadzieję, że powiem jej o wszystkim i wtedy będzie świadkiem wielkiej awantury. Oczywiście nic takiego się nie wydarzyło i w końcu, znudzony babską gadką szmatką, pożegnał się z nami i poszedł.

– Siedzimy tutaj czy idziemy do mnie? – zapytała Anka, kończąc swoje latte. Fajnie ma, bo nie jest w ciąży i może sobie pić tyle kafeiny, ile zechce. Ja bez przekonania wlewałam w siebie zieloną herbatę, która mnie chyba zamroczyła, bo uznałam pójdzie do Anki za dobry pomysł.

Jej mieszkanie było blisko, na dodatek niedaleko przystanku tramwajowego, z którego miałam bezpośredni dojazd do domu. Liczyłam na to, że w mieszkaniu będzie współlokatorka Anki, co utrudni nam swobodną rozmowę. Niestety, okazało się, że zachorowała i pojechała do rodziców.

Anka mieszkała w dwuosobowym pokoju o powierzchni jakichś czterech metrów kwadratowych. Łóżka, stolik i dwa krzesła zajmowały prawie całą, pokrytą burą wykładziną, podłogę. Nad łózkami wisiały tandetne półki na książki i masa śmieci, które w założeniach miały to paskudne miejsce zamienić w bardziej przytulne – plakaty z kotami, pocztówki, zdjęcia rodziny i przyjaciół. Obrazu dopełniały zwyczajne wazoniki z zasuszonymi kwiatkami i zakurzone pluszaki. Nic, co sprawiałoby, że człowiek chciałby tu wracać. Dlaczego zamieszkała w takim miejscu? Nie rozumiałam. Mówiła o względach finansowych,

zupełnie mnie tym nie przekonując. Teraz przyszło mi do głowy, że potrzebowała takiej przestrzeni w swoim życiu, do której miałabym ograniczony dostęp.

Anka poszła zrobić herbatę do kuchni, która była jeszcze bardziej obskurna niż pokój. Wszystko tam pokrywała warstwa lepkiej mazi. Jeśli ktoś nie bał się złapać jakiejś choroby z brudu, mógł sobie tam wchodzić. Ja przezornie zawsze stawałam w drzwiach. Zanim woda się zagotowała, trzy razy odwiedziłam łazienkę, której nikt nie sprzątał od dekady. Moje częste wizyty w toalecie nie uszły uwadze Anki.

– Widzisz, zawsze ci powtarzałam, żebyś nie siadała na murkach. Pewnie przeziębilaś pęcherz – powiedziała pełnym wyrzutu tonem starszej siostry.

– Nie. – Tym razem powiedziałam prawdę i upiłam spory łyk gorącej herbaty, parząc sobie przy tym język. – Zawsze tak mam po zielonej herbacie – dorzuciłam kłamstwo, żeby zakończyć temat.

– Naprawdę mnie nie unikasz? – zapytała Anka, patrząc mi w oczy. Siedziałyśmy naprzeciw siebie, więc nie miałam nawet gdzie uciec wzrokiem.

– O to samo mogłabym zapytać. – Udałam, że to ja jestem urażona, gdy tymczasem wyrzuty sumienia rozszarpały moje wnętrze.

Twarz Anki się rozjaśniła.

– Chyba masz rację. Byłam ostatnio bardzo zaabsorbowana Rafałem. – Wypowiedziała to imię z ogromną czułością.

– Opowiadaj – zachęciłam niemrawo znad kubka.

– Och, tyle tego jest, że nawet nie wiem, od czego zacząć. Wiesz, on jest świetny. Super. Ma takie poczucie humoru.

Kiedy mówiła, wszystko mi się przypomniało: jego głos, śmiech, zapach.

– Jest taki przystojny i inteligentny. I...

Konieczność muszę o to zapytać. Muszę i już!

– Jaki jest w łóżku?

– Tego akurat jeszcze nie wiem.

Moje brwi gwałtownie się uniosły. Nie spał z nią? Ulga oczywiście i... Nie, to niemożliwe. Co by mu zależało? Anka nie jest taka brzydka. Jest zgrabniejsza ode mnie i ma te cudowne piersi. Faceci lubią

biuściaste, buzia to rzecz gustu. Widywałam brzydsze kobiety w związkach z superprzystojnymi facetami. Na przykład ta aktorka, która jest żoną Banderasa. Tylko że Anka nie pasowała do Rafała. Tak się dziwnie składa, że mimo całej złości, jaką do niego czułam, do Rafała ciągle pasowałam tylko ja.

Uwadze Anki nie uszło moje zdziwienie.

– Trzymam go na dystans – wyjaśniła. – Sama mówiłaś, że jak chce się chłopaka utrzymać, to trzeba go tak długo zwodzić, aż mu się penis w ósemkę zwinie.

Ja tak mówiłam? No proszę, jaka ja mądra byłam. Szkoda tylko, że nie słuchałam własnych rad.

– Wiesz, że Kinga i Tomek się pokłócili? – postanowiłam zmienić temat. Liczyłam, że zainteresuje ją ta sensacyjna wiadomość. Pomyliłam się.

– Wiem. Tomek mi mówił. – Lekceważąco machnęła ręką.

– Żartujesz? – Sensacyjna wiadomość zainteresowała mnie. Tylko jak tu się nie zainteresować? My z trudem wyciągamy od Kingi kilka słów o tym, co się stało, gdy Tomek otwarcie opowiada Ance wszystko. Przyjaciółka, jakby słyszała moje myśli, bo uśmiechnęła się niczym Gioconda. Oczywiście ja, naiwna, odsłoniłam karty, referując znaną mi wersję wydarzeń.

– Tak wydarzenia opisała Piękna Kinia? Mogłaby bzdur nie opowiadać. Zrobiła z tego konflikt roku, a prawda jest taka, że strzeliła focha, choć Tomek się starał, żeby było romantycznie. Co ona sobie myśli? Jak się trafia ślepej kurze ziarno, to trzeba docenić. Facet przystojny, bogaty, wykształcony...

– Kinga też wykształcona – wtrąciłam.

W odpowiedzi Anka prychnęła jak kotka, której ktoś nadepnął na ogon.

– Nie wygłupiaj się. Polonistyka. Też mi wykształcenie. – Pogardliwie wydeła wargi.

Gdybym była złośliwa, powiedziałabym, że lepsza polonistyka w garści niż ekonomia w planach. Gdybym była, bo nie jestem. Cóż, wychodzi na to, że obie uważałyśmy związek Kingi za idealny. Ona – bo zakochana, a ja – bo naiwna.

– Co jeszcze mówiła? – dopytywała się Anka.

– Mnie to właściwie niewiele. Żaliła się raczej Piotrkowi.

Anka rzuciła mi pytające spojrzenie, udałam, że go nie widzę.

Dlaczego jej nie powiedziałam? Nie oszukujmy się, lojalność wobec Piotrka nie powstrzymałaby mnie przed plotkowaniem. Milczałam, bo byłam zła, gdy nagle zrozumiałam, że Anka nie jest taka naiwna jak ja i wie więcej, niż przyznaje. Może przestałam jej ufać? Może byłam zazdrosna o Rafała? Może byłam na nią zła, bo miała przed sobą przyszłość i mnóstwo czasu na zostanie mamą. Zrobiło mi się smutno.

– Nie najeżaj się tak – powiedziała, błędnie interpretując mój smutek. – Czemu Piotrkowi? Był u ciebie? Jak ty znosisz tego megalomana?

– Lubię go. Wszyscy go lubią.

– Rafał nie.

No tak. Właśnie dlatego unikałam Anki. Nie da się z nią rozmawiać bez wspomnienia o człowieku, o którym ja akurat chciałabym zapomnieć.

– A kogo z naszej paczki twój Rafał polubił? – Rozzłościłam się. Nawet nie miał okazji pogadać z Piotrkiem.

– Chyba ciebie – odrzekła jakoś tak dziwnie. – Pytał kilka razy, co u ciebie słychać.

Kobieca intuicja odpowiedziała mi, że w tych słowach kryje się pułapka. Anka przypatrywała mi się uważnie, ciekawa mojej reakcji.

– Pewnie przez grzeczność – udałam, że lekceważę całą sprawę. – Wie, że się przyjaźnimy, to chce ci zrobić przyjemność. – Zabrzmiało wiarygodnie.

Zamyśliła się. Pewnie w duchu przyznała mi rację. A swoją drogą, po co pytał? Może boi się, że wszystko Ance wygadam? Może mu rzeczywiście na niej zależy. Jakaś część mnie wierzyła, że jego pytania wynikają ze szczerego zainteresowania, co się ze mną dzieje. Wtedy przemówił rozsądek. „Nie oszukujmy się. To nie jest ten typ faceta, któremu zależy. Powiedział, że zaczeka na telefon, i co, zaczął? Dwa tygodnie nie minęły, a już kupował innej kwiatuszki”.

Dopiłam herbatę. W kubku? Ciekawe, dlaczego nie jak zwykle w filiżance. Zapytałam.

– Rafał jedną stłukł – wyjaśniła Anka.

Nienawidzę tego faceta. Niszczy mi przyjaźń, życie i serwis!

– Muszę już iść. – Podniosłam się z najbardziej niewygodnego krzesła, na jakim przyszło mi siedzieć. Mój kręgosłup dość wcześnie zaczął egzekwować swoje prawa.

– No co ty, posiedź jeszcze – powiedziała Anka, ale bez przekonania. Miałam wrażenie, że chce, abym sobie poszła. Może pomyślała, że resztę popołudnia wykorzysta na spotkanie z ukochanym?

– Nie, muszę jeszcze przetłumaczyć tekst na jutrzejsze seminarium.

– Na samą myśl o przebywaniu z nią zrobiło mi się zimno.

– Odprowadzę cię – zaoferowała.

Chciałam być sama, jednak ona się uparła. Dlatego w drodze na przystanek katowałam ją opowieściami o studiach. Prowadziłam kampanię na rzecz swojego sukcesu tak skutecznie, że Ance na tydzień popsułam humor, a siebie wpędziłam w depresję. Przecież wiadomo, że nie dam rady. Nic mi nie wychodzi. Poszłam do łóżka z beznadziejnym, nierokującym na przyszłość facetem, który, jak by to powiedziała moja babcia, „ugania się za spódniczkami”, bo jestem do niczego. Nie mam się do kogo przytulić. Chcę mieć się do kogo przytulić! Chcę cofnąć czas! Chcę do mamy...

\*

Rodzice przyjechali trzy i pół godziny później. Mój płaczliwy telefon bardzo ich wystraszył. W tym czasie ze sto razy dzwoniła babcia, pytając, czy czegoś mi nie trzeba. Owszem, wehikułu czasu. Kiedy weszli do mnie na górę, było mi bardzo głupio, bo już zdążyłam się uspokoić. Serdecznie ich przeproszałam. Mama zachowywała się tak, jakby miała w planach tę wycieczkę.

– Zostawię was same – powiedział ojciec. Nie wiem, czy wychodząc z mojego pokoju, planował, co będzie robił. Nawet jeśli, nie dane mu było tego zrealizować. Na schodach czyhał pan Włodek. Słyszałam, jak zaprasza ojca na herbatę.

Zostałam sama z tą, która mnie urodziła.

– Przykro mi, że ojciec traktuje mnie jak powietrze. Przecież nie zrobiłam tego specjalnie. Dobra, to było głupie, nieodpowiedzialne. Czy



on myśli, że tego właśnie chciałam?

– Źle go oceniasz. Kiedy zadzwoniłaś zapłakana, bez zastanowienia wsiadł do samochodu. Martwił się przez całą drogę. Proponował nawet, żebym wzięła urlop i zamieszkała z tobą.

Wyobraziłam sobie mamę, jak czeka, aż wrócę z wykładu. To było zabawne. W końcu się uśmiechnęłam.

– Dam sobie radę. – Pojadę trochę wcześniej na święta. W styczniu sesja, a potem prawie nie będę miała zajęć. Może pogadam z promotorem i odpuści mi seminarium? I pracownię. Może w ogóle wszystko mi odpuści. Powinnam darować sobie studia, wrócić do domu i normalnie się wyspać.

– Na pewno? – zapytała mama, nieświadoma tego, co właśnie dzieje się w mojej głowie.

– Na pewno – przytaknęłam energicznie. Co miałam powiedzieć? Jeszcze chwilę udawałam pełną optymizmu, dzielną dziewczynę, zanim ostatecznie pękłam.

– Och mamó, jaka ja jestem głupia... – Skąd się w ludzkich oczach bierze tyle łez?

– Karolciu, nie mów tak... – Mama przytuliła mnie i pocałowała w głowę. – Jesteś skołowana i przerażona. Świetnie cię rozumiem.

Wyzwoliłam się z jej objęć.

– Sorry, mamó, ale wątpię. Nie byłaś w takiej sytuacji.

– Jak to nie byłaś? Chyba nie myślisz, że jesteś adoptowana? – zapytała żartem.

– Nie miałam na myśli ciąży, tylko wpadkę – wyjaśniłam chłodno.

Mama westchnęła.

– Miałam dwadzieścia lat, kiedy wychodziłam za twojego tatę – zaczęła. – Wtedy to było normalne. Młodzi szybciej wkraczali w dorosłość. Zamieszkaliśmy kątem u moich rodziców. Pracowaliśmy. Myślałam, że zajdę w ciążę zaraz po ślubie. Wiesz, wtedy nie mówiło się otwarcie ani o antykoncepcji, ani o seksie. Koleżanka nauczyła mnie wyliczać dni płodne. Co z tego, kiedy wtedy najbardziej mieliśmy ochotę...

Mama zachichotała, a mnie zrobiło się głupio. Jak może mówić takie rzeczy? Zapomina, że rozmawia z córką?

– Czas płynął, a ja ciągle nie zachodziłam w ciążę. Koleżanki już pchały wózki, ja poszłam na studia zaoczne i dostałam pracę w szkole. Moja mama zaczęła się wtrącać. Chciała koniecznie wnuka. Powiedziała, że jeśli nie urodzę dziecka, to Marian mnie zostawi. Weźmie sobie „pełnowartościową kobietę”. Tak powiedziała! Przestraszyłam się, a strach nie najlepiej służy kobiecie. Zaczęło się od sprzeczek, a mało nie skończyło rozwodem. Jakoś to sobie poukładaliśmy. Pogodziliśmy się z tym, że będziemy bezdzietnym małżeństwem. Nie minęło nawet pół roku, jak zorientowałam się, że jestem w ciąży. I niby powinnam być zadowolona, ale... Bałam się zmian, jakie twoje pojawienie się spowoduje w moim życiu. Tak bardzo pragnęłam mieć dziecko i równocześnie chciałam, żeby moje życie się nie zmieniło. To chyba normalne. Ludzie boją się zmian.

Chciała coś jeszcze dodać, ale właśnie pojawił się tata i powiedział, że powinni się już zbierać.

Pan Włodek (a może Władek) zrobił na ojcu dobre wrażenie. Mieli podobne poglądy polityczne. Obiecał, że będzie mnie pilnował. Kiedy rodzice wyszli, wszedł do mnie na górę, co robił niezwykle rzadko. Przytulił mnie i powiedział: „Wszystko będzie dobrze, mała”. Kazał się o wszystkim informować, kiedy wychodzę, z kim i o której wracam. Powiedział, że jak następnym razem dopadnie mnie depresja, mam przyjść do niego, a on już coś na to poradzi. Najmilszy człowiek pod słońcem. Wierzyłam, że nie będzie miał przeze mnie nieprzyjemności. Trzeba częściej zapraszać Piotrka, niech są siedzi widzą, że się z kimś prowadzam.

## Miesiąc IV

– Pani macica jest teraz wielkości melona. Takiego zielonego raczej – wyjaśnił lekarz, obmacując mój brzuch. – A dziecko jest jak mały palec.

Bardzo obrazowe wyjaśnienia. Ciekawe, czy on wie, co właśnie spowodował? Dziękuję, panie doktorze, nigdy już nie tknę melona, bez względu na kolor.

Pomyślałam, że jeśli coś jest wielkości melona, to jest dość duże. Więc dlaczego mój brzuch pozostaje nadal prawie płaski? No może troszeczkę zaokrąglił się na dole. Ale równie dobrze może to być fałdka tłuszczu.

Doktor był dziś w zadziwiająco szampańskim nastroju. Przejrzał wyniki. Poinformował mnie, że mam wysoki cukier i powinnam uważać. Łatwo powiedzieć. Krówki ciągutki są podstępne i czają się na każdym kroku.

Żeby pogłębić moją depresję, kazał mi wejść na wagę. Od wakacji przytyłam trzy kilo. A dziecko jeszcze prawie nic nie ważyło. Z przerażeniem stwierdziłam, że tyję. Jak to możliwe, skoro przez trzy miesiące nic nie jadłam? Nie dość, że w ciąży, to jeszcze gruba i nieatrakcyjna?

Potem nastąpiła chwila, na którą zawsze czekałam najbardziej. Usłyszałam bicie serduszka mojego dziecka. Moje maleństwo. Wytarłam oczy chusteczką, którą lekarz wręczył mi przed badaniem. Chyba ma mnie za straszną beksę. Ciekawe, czy inne pacjentki też mu tak szlochają. Głupio mi było zapytać.

– Puchną pani nogi?

– Nie. Skądże – obruszyłam się. Przecież nie jestem jakąś starą babą.

– Jakieś niepokojące objawy?

– Prawdę mówiąc, wszystko mnie niepokoi.

– Czyli wszystko w porządku. – Uśmiechnął się ładnie. Gdyby zgolił tę idiotyczną bródkę, wyglądałby naprawdę pociągająco. – Proszę

zyczyć dziecku wesołych świąt. Zobaczymy się dopiero po Bożym Narodzeniu.

– Wesołych świąt – powiedziałam w drzwiach zamiast „do widzenia”. Pacjentki w poczekalni spojrzały na mnie zdziwione.

Rano obudziłam się z wrażeniem, że coś się zmieniło. Wyjrzałam przez okno. Padał śnieg. Pierwszy tej zimy. Patrzyłam na wirujące płatki. Przyszło mi do głowy, że za dwa lata pokażę dziecku śnieg. Ciekawe, czy się zachwyci. Wy tłumaczę mu, jak małe krysztalki zlepiają się w śliczne gwiazdeczki. Czy ono zrozumie, czym są fraktale? Kiedyś na pewno. I kupię mu takie fajne rękawiczki z moheru, na których płatki śniegu nie topnieją tak szybko. Wtedy do mnie dotarło, że pierwszy raz nie myślę o swojej ciąży negatywnie. Dotychczas, ilekroć uświadomiłam sobie mój stan, koncentrowałam się na tym, co straciłam: wolność, niezależność, randki. Teraz do mnie dotarło, że zyskałam kogoś, z kim będę się mogła podzielić swoją wiedzą. Czyje dziecięce marzenia będę mogła realizować. Kogo będę kochała bezwarunkowo. Jak mama, bo teraz będę mamą. Będę mogła naprawić wszystkie błędy wychowawcze moich rodziców i popełnić mnóstwo własnych. I to już niedługo. Oczekiwanie napełniło mnie nadzieją. Zrozumiałam w końcu, co miała na myśli moja mama, mówiąc: „Dziecko to nadzieja”.

Rodzice zaproponowali, że tata po mnie przyjedzie, jednak uznałam, że to zły pomysł. Od kiedy poznałam znaczenie słowa zgaga, a manti stało się jednym z ważniejszych składników mojej diety (wlanie w siebie sporej ilości przynosiło przyjemne, choć krótkotrwałe uczucie ulgi), zrezygnowałam z jeżdżenia autobusami, na samą zaś myśl o długiej podróży samochodem wywracały mi się wnętrzności.

Postanowiłam nie czekać do ostatniego dnia, kiedy w pociągu będzie tłum, i zerwałam się kilka dni wcześniej. Miałam jechać sama, bo Anka planowała pozostać we Wrocławiu do Wigilii. Tłumaczyła się mętnie jakimiś zajęciami, ale ja wiedziałam, że chce jak najdłużej cieszyć się Rafałem, durnym bucem, którego szczerze nienawidziłam. Dobrze, że nie wiedział o ciąży. Przez pewien czas uważałam, że jeśli bym mu powiedziała, toby się wyparł. Nie przychodziły mi do głowy alternatywne rozwiązania, na przykład takie, że walczymy w sądzie o moje małenstwo. Rafał mógłby to zrobić z czystej złośliwości

i choćby dlatego, że jest prawnikiem. Przypomniałam sobie, w jaki sposób mówił o szefowej. To szowinista. Dlaczego przespałam się z facetem, którego tak naprawdę nie znałam?

Nie wiem, co mnie tknęło, bo już prawie wychodziłam na dworzec, aby jeszcze zadzwonić do Kingi. Kiedy się dowiedziała, że już wyjeżdżam na święta, uznała, że to rewelacyjny pomysł.

– Potrzebuję godziny, żeby się spakować. Możesz jechać następnym? Spotkamy się na dworcu.

To się nawet dobrze składało. Będę na tyle wcześniej, by zdążyć zjeść knyszę w pobliskim barze. Właściwie to dwie. Są zdrowe, pożywne i wegetariańskie.

Kinga wpadła w ostatniej chwili. Od razu podzieliłam się z nią swoimi przemyśleniami na temat Anki i obie zgodnie uznałyśmy, choć właściwie to ja mówiłam, a Kinga kiwała głową, że przesadza, robi cyrk, a facet zupełnie nie jest tego wart. Po tym poczułam się znacznie lepiej.

Ten spontaniczny wyjazd Kingi wydał mi się dziwny. Ona nie jest z tych, co robią sobie wakacje bez powodu. Zapytałam o przyczynę.

– Muszę przez parę dni odpocząć od Tomka – wyjaśniła. I zaczęła opowiadać o pracy. Widocznie albo uznała temat za wyczerpany, albo nie chciała o tym mówić. Ja chciałam.

– Coś się między wami stało? – zapytałam.

– Wiesz, w zasadzie nic się nie zmieniło. Tomek jest dobry, miły i kochający. Dał mi śliczne kolczyki na mikołajki. Dzwoni, przychodzi, stara się. To ze mną jest coś nie tak.

– Opowiadaj – ponagliłam, bo nagle zamilkła.

– Nie potrafię tego wyjaśnić.

– Spróbuj – zachęcałam. Muszę wiedzieć, bo bardzo się zaangażowałam w tę sprawę. Ba! Czułam, jakby to bardziej było moje życie niż jej.

– Mam wrażenie, że ja się ostatnio zmieniłam. Bo ja wiem... Zawsze mi się wydawało, że chcę domu, dzieci i męża. Rozmawiałam o tym z Tomkiem i kiedy były to tylko marzenia, wszystko pasowało idealnie. Oświadczyzny uświadomiły mi, że to się dzieje naprawdę, a ja nie chcę ślubu. Myślę, że mam czas. Mogę przecież robić tyle wspaniałych rzeczy.

– Piotrek powiedział, że ty nie pragniesz domu z ogródkiem, tylko stanowiska redaktora naczelnego.

Kinga przez chwilę zastanawiała się nad tym, co powiedziałam.

– Te studia doktoranckie mnie kuszą. To nie do końca tak, że nie chcę mieć rodziny. Tylko... Pracować w szkole, z której niedawno się wyrwałam, albo gotować obiady, skoro wiem, że jestem zdolna? Mogę dojść do czegoś, o czym mojej matce się nie śniło. Jak nie wypali, to...

– Wypali. Jesteś silna i masz mnóstwo energii.

– Tak myślisz? – ucieszyła się.

– Piotrek powiedział...

– Odnoszę wrażenie, że dużo o mnie mówi. – Kinga wydeła usta z niesmakiem.

Może troszkę przesadziłam?

– Same dobre rzeczy. Że jesteś mądra, ambitna, inteligentna. To wnikliwy obserwator. Przecież mają na tej medycynie trochę psychologii, no nie?

Chciałam pogadać o Piotрку, jaki jest fajny i w ogóle, ale Kinga zdecydowanie zmieniła temat na świąteczno-prezentowy, trzymała się go konsekwentnie do swojej stacji docelowej. Pomachałam jej energicznie na pożegnanie.

Jeżeli jeszcze kiedyś postanowię być w ciąży, to koniecznie muszę ją zaplanować po świętach. Ciąża w święta jest jak odra w wakacje. Traci się wszystko, co najlepsze. Na Wigilię czekałam niecierpliwie już od dwudziestego siódmego grudnia zeszłego roku. I co? Nic nie było tak, jak powinno. Od rana miałam mdłości, kapusta wygnała mnie z domu, uszka kojarzyły się ze ślimakami, a mięczaka przecież do ust nie wezmę. Podobnie jak ryby. Te potrawy, które jadłam, albo były pozbawione smaku, albo smakowały inaczej, niż pamiętałam. Na dodatek najlepsze wigilijne życzenia były nieaktualne. Mama starała się wymyślić nowe, jednak nie bardzo jej wyszło. Tata przełamał się ze mną oplatkiem, ale nie było w tym nic z bożonarodzeniowego ducha przebaczenia. Myślałam, że będą to najsmutniejsze święta w moim życiu.

Wtedy stało się coś niezwykłego. Moje małżeństwo postanowiło zrobić mi najwspanialszy prezent na świecie. I to uczyniło mnie szczęśliwą ciężarną. W pierwszy dzień świąt rano obudziło mnie

łaskotanie w brzuchu. Tak jakby ktoś włożył tam motyla, a on nagle zatrzepotał skrzydłami. Chwilę trwało, zanim zdałam sobie sprawę, co to jest. Dziecko się ruszało! Z radosnym piskiem pobiegłam do rodziców i kazałam im dotykać brzucha. Mama położyła rękę na moim brzuchu, ale nic nie poczuła i stwierdziła, że jest za wcześnie. Tata z ociąganiem położył swoją. Mama chciała coś powiedzieć, już otwierała usta, ale zmieniła zdanie. Zapadło pełne napięcia milczenie. Poczulałam motyle w brzuchu, a tata, widząc moją reakcję, z całej siły mnie przytulił.

– Przepraszam, tato, przepraszam, ja nie chciałam...

– Już dobrze, córeńko, już dobrze.

W drugi dzień świąt spotykałyśmy się we trzy u Anki na tradycyjnym świątecznym zlocie czarownic. Fajnie było się na chwilę wyrwać z domu i zza stołu, żeby z przyjaciółkami wymienić drobne prezenty i życzenia. W tym roku chętnie bym sobie odpuściła, ale przyjaźń zobowiązuje.

Anka ugościła nas twardymi pierniczkami i eksperymentalną herbatą. Kiedy jest się w ciąży, lepiej nie pić żadnego naparu z owoców, kwiatów i miodu. Jego ohydny smak czułam prawie do sylwestra.

W przeciwieństwie do poprzednich lat tym razem nie przypominałyśmy gromadki rozświetlonych ptaków, tylko raczej nastroszone kury. O czym miałyśmy rozmawiać? Anka była niezadowolona, bo Rafał zamiast z nią wolał powitać Nowy Rok z rodziną. Ja byłam ciężowo smętna, jednak nie mogłam o tym mówić. Kinga chciała się poskarżyć na Tomka, ale Anka na nią naskoczyła.

– Ty, Kinga, nie marudź. Nie wydaje ci się, że wymagasz od chłopaka za wiele?

– Właśnie o to chodzi, że niczego od niego nie wymagam – bulwersowała się Kinga. – Po prostu uważam, że jest za wcześnie na ślub i tyle.

Poparłam Kingę.

– Pewnie, masz prawo do samorealizacji. – W duchu pomyślałam: Do licha, dziewczyno, przecież nie jesteś w ciąży, możesz robić, co chcesz! Kopnij chłopa w dupę, wszyscy oni nic niewarci! Karmelowy Rafałek już Ankę olewa.

W przeciwieństwie do mnie Anka nie była feministycznie

nastawiona i zaczęła wbijać Kindze do głowy, że jest głupia, że inna na jej miejscu byłaby przeszczęśliwa, że prezenty, weekendy i kolacje, że tak na zawsze. Ta gadka do reszty popsowała atmosferę i nie pozostało nam nic innego, jak się pożegnać. Wyszliśmy z mieszkania Anki w kompletnie nieświętych nastrojach.

– Nie przejmuj się – próbowałam pocieszyć Kingę. – Powinnaś iść na te doktoranckie. Piotrek uważa, że to cię uszczęśliwi.

– Czemu Piotrkowi tak zależy na moim szczęściu?

– Bo cię kocha. – Ugryzłam się w język o trzy słowa i trzy sekundy za późno. Tak szczerze, to cały czas chciałam jej o tym powiedzieć. Mam problemy z przechowywaniem cudzych tajemnic. Trudno, skoro już powiedziałam tyle, muszę i resztę. Streściłam Kindze swoje rozmowy z Piotrkim, zaklinając ją z tysiąc razy, żeby niczym się przed nim nie zdradziła. I modliłam się gorąco, żeby nic złego z tego nie wynikło.

\*

Babcia przyszła do nas w przedostatni dzień roku. Zachęcała nas do pójścia do kościoła w sylwestra, ponieważ to jakieś ważne święto kościelne. Nawet nie wiedziałam. Myślałam, że to ostatnia szansa w roku, żeby nadużywać alkoholu i się bawić. Mama gwałtownie zaprotestowała; powiedziała, że absolutnie nie ma mowy, abym siedziała w niedogrzanym kościele, bo jeszcze się przeziębę. Babcia niechętnie przyznała jej rację. Coś jednak chodziło jej po głowie, gdyż ewidentnie czekała, kiedy zostaniemy same.

W końcu się doczekała. Tata poszedł oglądać wiadomości, a do mamy zadzwoniła koleżanka i na chwilę zostałyśmy w kuchni same.

– Karolciu, a jakie ty masz plany na sylwestra? – zapytała przymilnym głosem.

Zaskoczyła mnie. Jakie plany może mieć ciężarna, której nie wolno ani pić, ani podskakiwać?

– Nie wiem, chyba pooglądam telewizję. – Sam na sam z Kevinem, jak za dziecięcych lat.

– Bo, wiesz, do pana Antoniego przyjechał na święta ten wnuk, co to ci mówiłam, że fajny chłopak. Archanioła mu dali za patrona, to nie



dziwota, że fajny. Trochę się nudzi, wiesz, jak to młody. I tak sobie pomyślałam, że może byście się gdzieś razem wybrali?

Zamurowało mnie.

– Babciu... – jęknęłam. – Co też babcia?

– Ty się, Karolina, babci nie dziw – powiedział ojciec, stając na progu kuchni. Wyglądało na to, że słyszał naszą rozmowę. – Babcia ma wypaczone postrzeganie świata, bo w opowieści, w którą wierzy, jest motyw brzemiennej niewiasty, której udało się szczęśliwie wyjść za mąż. Tylko z tego, co pamiętam, wtedy w swaty zamieszany był Bóg, a nie babka tej niewiasty – zakończył wesoło.

Twarz babci wyglądała jak burak z wiersza Brzechwy. Właściwie wyglądała jak cały stragan.

– Ty! Ty! Ty wojowniku laickiej Europy! – krzyknęła, ciskając błyskawice z oczu.

Usłyszałam, jak mama szybko kończy rozmowę.

– Co się stało? – zapytała.

W odpowiedzi babcia tylko machała rękami i łapała powietrze jak ryba wyciągnięta z wody. Tata skwitował sytuację jednym słowem „żartowałem”. Mama spojrzała na mnie, oczekując, że udzielę jej wyjaśnień.

– Mnie nie pytaj, ja jestem Szwajcaria – odpowiedziałam. Ale szybko pożałowałam, bo babcia rzuciła mi wściekłe spojrzenie. – No przecież Szwajcarzy są w straży papieskiej – wyjaśniłam.

– Dobre dziecko – szepnęła babcia i pogładziła mnie po ramieniu. – A to, że masz takiego ojca, to nie twoja wina. Jemu już nic nie pomoże. Chyba że egzorcyzm. – Otarła łzy. – Ja świetnie teraz rozumiem, że ty wolisz panną z dzieckiem być niż za mąż wychodzić. Szkoda, że twoja matka nie poszła tą drogą. – Westchnęła teatralnie. – No, pójdę już.

– Musiałeś żartować? – rzuciła z wyrzutem mama, wychodząc za babcią do przedpokoju.

W Nowy Rok obudziłam się kilka minut przed ósmą. Po raz pierwszy od lat tak wcześnie. Zwykle spałam do południa, regenerując się po upojnym sylwestrze. Wczoraj nie wysiedziałam do północy. Po dziesiątej wzniosłam toast sokiem jabłkowym, złożyłam rodzicom

życzenia i poszłam spać. Ojej! Życzenia. W życiu sprzed ciąży budziłam się koło południa, podejmowałam noworoczne postanowienie schudnięcia pięciu kilo i dzwoniłam z życzeniami do przyjaciół. Teraz nie było najmniejszych szans, żebym w najbliższym czasie schudła, więc przynajmniej tym nie musiałam sobie zawracać głowy. Ale co z życzeniami? Czy dzwonić? Mój dylemat rozwiązała Kinga, która zadzwoniła do mnie pierwsza.

– Zerwałam z Tomkiem – oświadczyła zaraz po tym, jak złożyła mi życzenia.

Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć.

– Przykro mi.

– Wybacz, ale wątpię. – Była wyraźnie zła. – Przecież o to wam chodziło.

– Jesteś moją przyjaciółką, chcę twojego szczęścia.

– Jakoś inaczej to czuję. – Rozłączyła się.

Jeszcze niedawno miałam czworo przyjaciół. Teraz został mi jeden. Dopóki oczywiście nie dowie się, że rozpowiadam na prawo i lewo jego sekrety. Jeszcze niedawno wydawało mi się, że nad wszystkim w życiu mam kontrolę. Teraz czułam się jak ktoś, kto walczy z wielkim sztormem, płynąc w małej łódeczce, a każda podjęta przez niego decyzja jest zła. Jeszcze niedawno czułam się jak nastolatka. Kręciły mnie ciuchy, imprezy i ładne męskie tyłeczki. Lubiłam się śmiać i bawić. Teraz byłam dwudziestoczteroletnią kobietą w ciąży. Bez planów na przyszłość i powodów do śmiechu. Miałam problemy z samookreśleniem się i dorosłością, do której nie byłam przygotowana, a już za chwilę miałam zostać samotną matką. Było mi smutno i źle. Mama chyba to zauważyła. Usiadła koło mnie i mocno mnie przytuliła.

– Przyjściu na świat dziecka zawsze towarzyszą wielkie emocje. Teraz masz wątpliwości. Niedługo będziesz czuła euforię. Potem strach. To wszystko minie. Zobaczysz, będzie dobrze.

Rozszłochałam się w jej objęciach. Żeby tylko miała rację!

## Miesiąc V

Mój podobny do Freuda lekarz siedział za aluminiowo -szklanym biurkiem i z uwagą przeglądał wyniki moich badań. Ja bezmyślnie wodziłam wzrokiem po seledynowo-szarych ścianach ozdobionych ilustracjami płodów w różnych stadiach rozwoju.

– Wszystko w porządku. W ogóle pięknie pani wygląda. –  
Obdarzył mnie pełnym zachwytu spojrzeniem.

Popatrzyłam na niego spanikowana. Kiedyś wydawało mi się, że jest normalny.

Zauważył moje przerażone spojrzenie.

– Och. Nie w tym sensie. To znaczy w tym też. – Puścił do mnie oko i uśmiechnął się łobuzersko. – Chodzi mi o to, że kobiety w ciąży zawsze pięknie wyglądają. – Przyjrzał mi się uważnie. – Nie powinienem był tego mówić, bo teraz pani nie da mi się dotknąć, sądząc, że jestem jakiś dziwny. To co? Pozwoli mi się pani zbadać czy szukamy innego lekarza? – Roześmiał się szczerze. Ten śmiech rozwiął moje wątpliwości.

– Nie, nie szukamy.

Weszłam za parawan. Nie wiem, po co tyle ceregieli z rozbieraniem się w ukryciu, skoro potem i tak świeci się lekarzowi w oczy gołym tyłkiem. Grzecznie wdrapałam się na fotel.

– Wie pani, są rodziny od pokoleń podtrzymujące zawodowe tradycje rodzinne, na przykład prawnicze – mówił doktor, obmacując mój brzuch i okolice. – Ja wybrałem ginekologię, bo moja mama jest położną. Cud narodzin naprawdę potrafi zafascynować. – Uśmiechnął się czule. – Ciężarne kobiety zawsze wyglądają tak, jakby posiadały jakąś tajemnicę. Niedawno byłem na sympozjum w Paryżu i miałem okazję zwiedzać Luwr – opowiadał, w czasie gdy ja się ubierałam. – Wie pani, co sobie pomyślałem, kiedy zobaczyłem Monę Lisę? Że nie chodzi o żadną tajemnicę. Ona jest w ciąży. Dlatego się tak uśmiecha i pewnie co jakiś czas dotykała brzucha. Pani też tak robi.

To prawda. Nawet teraz moja dłoń leżała na brzuchu. Roześmiałam

się i on również się roześmiał.

Pomyślałam, że mój miły lekarz po tej rozmowie stał mi się też bliższy. Poczułam, że naprawdę się mną opiekuje. Miał rację. Nie tylko co do urody, która teraz rozkwitła – nigdy nie miałam takich gęstych włosów i takiej gładkiej cery. Zupełnie tego nie kontrolując, ciągle dotykałam swojego brzucha. Jakbym chciała dać dziecku znać, że jestem na posterunku. Nie potrafiłam do niego przemawiać, ale lubiłam głaskać swój brzuch. Ono chyba też to lubiło, bo zawsze się uspokajało.

Tylko z tą Mona Lisą pan doktor się mylił. Przecież wszyscy wiedzą, że to portret faceta.

Oczywiście zadzwoniłam do Piotrka. Podzieliłam się z nim wieścią o tym, że Kinga znowu jest wolna. „To tylko sprzeczka, pogodzą się” – zgasił mnie. Na moją sugestię, że powinien chociaż do niej zadzwonić, odpowiedział, że nie będzie się mieszał, wystarczy, że ja to robię. Poczułam się okropnie. Nie dość, że ja zmarnowałam sobie życie i teraz będę samotną matką, to jeszcze Piotrek już na zawsze będzie nieszczęśliwy bez swojej ukochanej, która jest na tyle głupia, żeby wyjść za kogoś bezrozumnego i egoistycznego. Wygląda na to, że tylko Anka ma dobrze. Teraz moja zazdrość wobec przyjaciółki była silniejsza niż wyrzuty sumienia. To był jeden z takich momentów, kiedy mogłam postąpić egoistycznie i zadzwonić do Rafała. Wystarczyło, bym odświeżyła mu wspomnienia tego, co między nami zaszło. W takiej chwili mogłabym o niego powalczyć, tylko że aktualnie go nienawidziłam, bo to egoista bezmyślny i nieodpowiedzialny. Nie mógł trzymać swojego interesu w spodniach? On jest wolny, a ja ciężarna. Owszem, drugi trymestr jest łatwiejszy (to jak więzienie o złagodzonej rygorze po wyjściu z karceru), niemniej to nadal cięża.

Piotrkowi zrobiło się chyba głupio, że był wobec mnie taki niesympatyczny, bo wpadł i zaproponował mi spacer do zoo. Zgodziłam się nawet entuzjastycznie, bo lubię zwierzęta; są ładne i miłe. Po przekroczeniu bramy zdałam sobie sprawę, że zwierzęta nie tylko wyglądają, ale również jedzą i trawią, a woń efektu końcowego tego procesu unosiła się w powietrzu. Mój żołądek zaczął trenować aikido. A Piotrek nie chciał rozmawiać o Kindze.

– Proszę przymierzyć te. – Sprzedawczyni położyła na ladzie parę

spodni dla słonia. – Mają gumkę.

– Chyba będę w nich grubo wyglądać – powiedziałam, patrząc na nie sceptycznie.

– W ciąży to nieuniknione. Niedługo we wszystkim będzie pani grubo wyglądać. – Uśmiechnęła się. Była to jedna z tych kobiet, które mają świętą cierpliwość do klientów. Tylko dlatego jeszcze mnie obsługiwała, zamiast wezwać ochronę.

– Tak, ale na razie nic nie widać i chciałabym...

– Proszę posłuchać mojej rady i przymierzyć te spodnie – powiedziała stanowczo. – To nie o to chodzi, że nic nie widać. Robi się pani szersza w biodrach, nawet jeśli nie ma pani jeszcze brzucha. Węższe spodnie zaraz zaczną panią opinać. Te naprawdę ładnie się układają.

Wzięłam z jej rąk namiot i poszłam do przymierzalni. Byłam zła, głównie na mamę, która kazała mi pochodzić po sklepach i coś sobie kupić. Fakt, od jakiegoś czasu nosiłam spodnie z gumką. Nie czułam się jeszcze gotowa na odzież ciążową.

– I jak? – Sprzedawczyni przyszła za mną do przymierzalni. – No bardzo ładnie. Który to miesiąc?

– Początek piątego.

– I jeszcze pani taka chudziutka? Proszę brać te spodnie. Teraz z dnia na dzień będzie pani coraz szersza. Majteczki ciążowe dorzucam gratis.

Nie wiem, dlaczego nazwała je majteczkami, skoro cała moja rodzina weszłaby swobodnie w jedną nogawkę. Podziękowała i poleciała się na przyszłość. Najchętniej bym jej już nie oglądała, ale miałam świadomość, że jedna para spodni mi nie wystarczy. Chociaż zapłaciłam za nią tyle co za trzy normalne. I to odebrało mi ochotę do dalszych zakupów.

Po drodze do domu wstąpiłam do cukierni i kupiłam kawałek makowca. Nigdy dotąd za nim nie przepadałam, a teraz mogłam jeść tylko makowiec. I ogórki konserwowe. Znacznie lepsze niż kwaszone. Nie mogłam natomiast jeść mięsa. Jego zapach był okropny. Zwłaszcza surowego. Wizyty w sklepach były katorgą.

Przestałam czuć lizol w laboratorium. Byłam pełna energii

i werwy. Całe wcześniejsze zmęczenie minęło i teraz czułam, że mogłabym przenosić góry. Wykorzystywałam to i siedziałam w laboratorium tyle, ile mogłam. Obliczyłam, że jeśli będę pracowała w takim tempie, to za półtora miesiąca przygotuję wszystkie analizy.

– Przytyłaś – stwierdziła jedna z koleżanek z grupy, kiedy spotkałyśmy się przed seminarium.

– To po świętach, wiesz, jaka jest moja babcia – zażartowałam.

– Musisz coś z tym zrobić. Chcesz, pochodzimy razem na siłownię? – zaproponowała.

– Zbyt mało wolnego czasu. Przejdę na dietę i wystarczy.

Weszłam przed nią do sali.

– Odchudzanie chyba tu nic nie da – szepnęła do mnie Mariola, dziewczyna z naszej grupy. Miła, niewysoka, farbowana brunetka. – To jest to, co myślę?

Kiwnęłam głową. Kurczę, ale ma oko! Ledwo cztery kilo schowane pod grubym golfem i bluzą z kapturem. Ja bym się nie zorientowała.

– Nie chcę, żeby wszyscy zaraz wiedzieli – wyjaśniłam.

– Jasne, twoja sprawa.

– Tak, ale...

– Mnie nie musisz się tłumaczyć. – Wzruszyła ramionami i poszła na swoje miejsce.

Nikomu nie muszę. A to, co Mariola zauważyła dziś, Anka zauważy jutro. Chyba czas powiedzieć prawdę. Przynajmniej niektórym osobom.

Seminaria mieliśmy w sali na drugim piętrze. Było to nieduże pomieszczenie i nie wiem, dlaczego komuś przyszło do głowy, żeby wstawić do niego dwie szafy, biurko i wielki stół z piętnastoma różnymi krzesłami.

Po seminarium poczekałam, aż wszyscy wyjdą. Profesor Olszewski pośpiesznie składał swoje papiery. Podeszłam do biurka.

– Panie profesorze, mogę zająć chwilkę? – wykrztusiłam przez zaciśnięte gardło. Czułam, jak drżą mi ręce.

– Zaraz zaczynam wykład. Proszę przyjść na konsultacje.

Już miałam go posłuchać, kiedy nagle uznałam, że nie ma sensu

dłużej się denerwować. Na konsultacjach i tak go nie będzie. Profesor Olszewski uważał, że godzina konsultacji to taka dodatkowa przerwa obiadowa. Natomiast sesja jest po to, żeby poza sezonem wyjechać nad morze. Na szczęście była to jego jedyna wada. Poza tym był wspaniałym człowiekiem i świetnym nauczycielem.

– To nie dotyczy pracy – zaczęłam nieśmiało. – To sprawa osobista. Naprawdę minutkę.

Spojrzał na zegarek.

– No proszę – zgodził się łaskawie.

– Jestem w ciąży. – Czułam się jak przestępca przyznający się do winy.

Olszewski przyjrzał mi się dokładnie, szczególnie badawczo patrząc na mój brzuch. Super, bardzo to miłe. Czekałam, aż zapyta z kim, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Gratuluję – powiedział. – Czy mogę w związku z tym coś dla pani zrobić?

Tak! Proszę zbudować maszynę czasu i cofnąć mnie do sierpnia zeszłego roku, kiedy to byłam szczęśliwa i nie miałam pojęcia o istnieniu Karmelowego.

– Nie. Wolałam, żeby się pan profesor dowiedział ode mnie niż z innego źródła.

– To miłe. Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała...

– Dziękuję... Czasem mogę mieć problem z przychodzeniem na zajęcia.

– Nie ma sprawy. Z góry usprawiedliwiam. Proszę jednak pamiętać, że terminarz mamy dość napięty, jeśli chce pani zdawać na studia doktoranckie.

Westchnęłam smutno.

– To już nieaktualne – oznajmiłam.

Olszewski odłożył notatnik.

– A dlaczego?

Spojrzałam na brzuch. Uśmiechnął się, odsunął krzesło od biurka i usiadł, gestem pokazując mi, żebym też usiadła.

– Proszę nie podejmować pochopnych decyzji. Z wieloletniego doświadczenia pedagogicznego wiem, że matki są bardzo dobrymi

studentkami. To zresztą nie dotyczy tylko kobiet. Mój najstarszy syn urodził się, kiedy pisałem pracę doktorską. Na początku było koszmarne. Ja chciałem pracować, a mały płakał. Żona była zmęczona i drażliwa. Nikt z nas nie spał w nocy. Pewnego razu, kiedy mały nie chciał spać, zamiast budzić żonę wziąłem go na kolana. Uspokoił się. Tak mądrze na mnie patrzył tymi swoimi niebieskimi oczami. – Uśmiechnął się z czułością do swoich wspomnień. – I tak już było co noc. Po nocach pisałem doktorat z dzieckiem na kolanach, a żona spała. Do dziś mam wrażenie, że łączy mnie z synem szczególna więź. Jest pani zdolna, proszę tego nie zmarnować. Dziecko to nie koniec świata. Skończyła już pani badania?

– Prawie.

– To proszę się nie martwić. Kiedy pani praca będzie gotowa, ustalimy odpowiedni termin.

Podniósł się, zapiął teczkę i ruszył do drzwi. Poszłam za nim.

– Proszę się spiąć i szybko napisać część teoretyczną. Może mi pani wysłać na mejla. Kiedy pani rodzi?

– Pod koniec maja.

– To obrona pod koniec czerwca. – Olszewski spojrzął na zegarek.

– No proszę. Spóźniłem się na wykład. Mam nadzieję, że studenci się nie rozeszli. A pani musi dać sobie szansę. – Machnął mi ręką i pobiegł do auli.

Drugie USG. Dwudziesty tydzień. Znowu wstrętny żel na brzuchu. A na monitorze mała nóżka. Podobno.

– Tu są paluszki. Pięć. Duże te stopy, w ogóle duże dziecko – informował lekarz w sposób, w jaki sprawozdawca sportowy relacjonuje ciekawe zawody. – Wszystko świetnie widać, bo to bardzo nowoczesny sprzęt, kolor i 3D.

Dla mnie wyglądało jak malarstwo abstrakcyjne – dużo kolorowych plam.

– Widać, czy to chłopczyk, czy dziewczynka? – zapytałam.

– A chce pani wiedzieć?

Zastanawiałam się przez chwilę.

– Chcę – zdecydowałam.

Przez cały czas myślałam, że nie będę chciała. W jakimś filmie



usłyszałam zdanie, że to jak rozpakowanie prezentu przed Gwiazdką. Spodobało mi się i uczyniłam z tego własny pogląd. Nie należy wyrabiać sobie opinii w kwestiach, o których nie ma się pojęcia. Dziś okazało się, że chcę rozpakować swój prezent.

Dziecko, choć ukryte, nie jest anonimowe. Co więcej, ma osobowość. Byliśmy już razem trochę czasu i zauważyłam, że moje potomstwo ma wyrobione zdanie na wiele spraw. Nie lubiło papryki pod żadną postacią. Za to przepadało za kompotem śliwkowym swojej prababci. Denerwowała je telewizja. Wbrew wszystkim opiniom nie znosiło Mozarta, przekreślając moje plany zrobienia z niego geniusza jeszcze w łonie. Za to lubiło dźwięk gitary. Budziło się o świcie i uprawiało tai chi, a ja jestem przecież sową, więc źle to znosiłam.

Wiedza dotycząca płci mojego dziecko wyjaśniłaby wiele spraw.

– To chłopiec. Widać wyraźnie, o proszę tu spojrzeć. – Pokazał mi jasną szarą plamę i ciemniejszą szarą plamę. – Zadowolona?

– Tak, dziękuję.

– Czy z płci jest pani zadowolona?

– Teraz to chyba nie można już wymienić? Czułam, że to będzie chłopiec.

– Dokucza i kopie?

– Nawet nie bardzo. Kiedy jestem w domu, to rodzice zawsze za mną chodzą i chcą dotknąć brzucha, żeby poczuć, jak się rusza. A on wtedy głównie śpi. – Uświadomiłam sobie, że powinnam raczej mówić o mężu bądź ojcu dziecka. Chyba tego nie zauważył.

Jednak zauważył. Między skierowaniami na badania znalazłam ulotkę poradni dla samotnych matek.

Wróciłam z wykładu, który odbywał się o nieludzko późnej porze. Na szczęście zyczliwi ludzie obudzili mnie po wykładzie, żebym mogła się wpisać na listę. Wyjęłam z plecaka telefon i zobaczyłam, że mam nową wiadomość głosową.

– Kochanie, dzień dobry! Tu mówi babcia. – Byłam bardzo zdziwiona, bo rzadko do mnie dzwoniła. A jeszcze rzadziej nagrywała się na pocztę głosową. – Zadzwoń do mnie, jak będziesz mogła. Tylko po siódmej, bo teraz będę szła na mszę. Pomodlę się za ciebie. I za dziecko też. To zadzwoń, proszę. No to do widzenia!!! Koniec. Chyba

się nagrało?

Ciekawe, czego babcia ode mnie chce? Po awanturze o randkę w ciemno babcia była śmiertelnie urażona. Chyba przez tydzień nie odzywała się do taty. Trochę było mi jej żal, ale tata miał rację. Kto przy zdrowych zmysłach zechce kobietę z brzuchem albo z dzieckiem? Czy ja mam jeszcze jakieś szanse na ułożenie sobie normalnego życia? Takie pytania nękały mnie każdego dnia. Rafał odebrał mi normalność. Zaakceptowałam ciążę, kochałam swoje dziecko, co nie znaczy, że pogodziłam się ze zrujnowanymi planami na przyszłość.

Wystukałam numer babci. Odebrała natychmiast, widocznie czuwała na posterunku.

– Już myślałam, że nie zadzwonisz – przywitała mnie z nutą wyrzutu w głosie. Spojrzałam na zegarek, było kwadrans po ósmej. Babcia szybko traci nadzieję.

– Coś się stało? – zapytałam.

– A czemu miałyby się coś stać? – zdziwiła się. – Tylko że do matki to co dzień dzwonicz, a do mnie nie – oznajmiła z pretensją. – A mogłabyś, bo ja się też martwię. – Zrobiła teatralną pauzę, dając mi czas na przemyślenie swojej postawy. – Wiesz, tak sobie pomyślałam – zaczęła po chwili już innym tonem – czy ty zamierzasz chodzić do szkoły rodzenia?

Do szkoły rodzenia? Nie myślałam o tym. Nie byłam przygotowana na ciążę i wiele związanych z nią kwestii. Przyjmowałam to, co przynosiły kolejne dni, i nie robiłam planów dalszych niż do przyszłego wtorku.

– Porodu nie da się wykuć na pamięć – zażartowałam.

– Jesteś w błędzie, moja droga. Czytałam na ten temat. W książce o ciąży, którą sobie kupiłam, jest napisane, że to bardzo dobrze przygotowuje kobietę na to, co ją czeka. Nie bez znaczenia jest modlitwa do świętej Małgorzaty.

Babcia kupiła książkę o ciąży.

– Jeśli nie chcesz chodzić ze względu na brak ojca dziecka, to się nie martw – kontynuowała. – Czytałam, że na zajęcia powinno się chodzić z osobą, której ufasz i którą chcesz mieć podczas porodu. Krótko mówiąc, mogę przyjeżdżać do ciebie ten raz czy dwa

w tygodniu. Co ty na to? – W jej głosie było tyle entuzjazmu, jakbym już się zgodziła.

Mój mózg powoli rozwiązywał tę słowną układankę. Babcia chce ze mną chodzić do szkoły rodzenia, bo chce być przy porodzie?!

– Babciu, nie wiem, jak ci to powiedzieć...

– Wiesz, to może być moja ostatnia szansa. Nie wiadomo, kiedy zdecydujesz się na drugie dziecko. A ja już niedługo pożyję, czuję to.

– Wolę o tym nie myśleć. – Zdałam sobie sprawę, jak dwuznacznie to zabrzmiało. – O porodzie wolę jeszcze nie myśleć – sprostowałam. – Wolę to zrobić sama.

– To błąd, moje dziecko. Będziesz nieprzytomna z bólu i ogłupiała. Ktoś musi walczyć o twoje prawa. To się teraz nazywa rodzić jak człowiek, czy jakoś tak.

Tak. Do obrony moich praw babcia nadawała się najlepiej. Wyobraziłam sobie, jak okłada lekarza parasolką. Albo jeszcze lepiej różańcem i wyzywa od agnostyków (była przekonana, że to męski odpowiednik prostytutki). Miałam szansę uczestniczyć w najzabawniejszym porodzie na świecie. Obiecałam, że przemyślę tę propozycję.

– Zwodzisz mnie. W sprawie wnuka Antoniego też tak mówiłaś – powiedziała z wyrzutem. – Antoni się martwi, bo Rafał nijak nie może sobie znaleźć dziewczyny.

Na dźwięk tego imienia zareagowałam nerwowo i wcale nie było mi żal tego niezguły. Musi być z nim bardzo źle, skoro jest tak zdeterminowany i pozwala, żeby dziadek go umawiał na randki.

– I przemyślałam. – Co za szczęście, że dowiedziałam się, jak ma na imię. To by dopiero było. Za każdym razem, kiedy miałabym się do niego zwrócić, myślałabym o kimś innym. Zacisnęłam zęby, żeby się nie rozplakać. – Tym wnukiem nie jestem zainteresowana. W sprawie szkoły rodzenia dam ci znać, dobrze?

– Byle szybko. Bo ja już się wstępnie umówiłam z Antonim, że będziemy razem jeździć. On do córki, ja do ciebie.

O to chodziło! Biedna babcia. Ależ ja powoli myślę. Jej chodziło o to, żeby pobyć sam na sam ze swoją sympatią, a nie ma okazji.

– Przecież wiesz, że możesz mnie odwiedzać, kiedy tylko

zechcesz. To nawet dobrze, że jeździłabyś z panem Antonim. We dwójkę zawsze raźniej. – Babcia i jej jesienna miłość przestała mi się wydawać śmieszna, była urocza.

– Mogę? – szczerze się ucieszyła. – To wpadniemy do ciebie w środę.

Super. To jest właśnie takie towarzystwo, jakiego mi trzeba.

Już miałam się rozłączyć, gdy usłyszałam jeszcze głos babci.

– Tylko nie mów matce. Wiesz, o Antonim. I o tej szkole, bo gotowa mnie wygryźć. Wiesz, jaka ona jest.

– Jasne. – Nie wydawało mi się, żeby mama była typem, który jest w stanie wygryźć kogokolwiek, a już na pewno swoją matkę. Ale nie chciałam o tym rozmawiać. Pewnie babcia wie o swojej córce równie mało jak moja mama o mnie.

Zresztą może to niegłupi pomysł taka szkoła rodzenia? Tak to zawsze fajnie wygląda w amerykańskich filmach. Cała moja dotychczasowa wiedza o ciąży opierała się w zasadzie na dwóch filmach – *Junior* i *I kto to mówi*. Zapytam swojego lekarza. Pomyślałam, że to jedyna osoba, którą chciałabym widzieć przy porodzie. Jedyna, do której mam zaufanie.

– Rozmawiałem z Kingą – poinformował mnie Piotrek. – Zdaje się, że to zerwanie z Tomkiem to poważna sprawa.

Przyszedł po mnie po zajęciach. Zabrał na obiad do wegetariańskiej restauracji, szanując moje ciążowe fanaberie. Przejrzał moje wyniki i z miną człowieka, który wie, co mówi, oświadczył, że mam wysoki cukier i muszę ograniczyć słodczy. Potem poszliśmy na spacer do parku. Podobno potrzebowałam dużo świeżego powietrza.

– Nie rozmawiam na ten temat. Sam kazałeś mi się nie wtrącać.

– Nie masz z tym nic wspólnego? – zapytał.

– Jasne, namówiłam Kingę, żeby zerwała z Tomkiem. – Udałam bardzo urażoną. – Za kogo ty mnie masz?

– Z tego, co mówiła, wywnioskowałam...

– Owszem, rozmawiałyśmy. Powiedziała jej, że moim zdaniem, z naciskiem na „moim”, obydwójce chcą od życia czegoś innego. To tyle.

– I nie wspominałaś o mnie? – Wyrażnie mnie podejrzewał. Słusznie.

– Wiesz, nudny jesteś. Kochasz ją czy nie?

– Kocham. – Szkarłat wykwitł mu na policzkach i rozlał się na uszy i szyję.

– Więc wykorzystaj szansę, którą dostałeś od losu – powiedziałam to z taką pasją, że mogłabym zagrzewać do walki naszą reprezentację piłkarską. Kilka osób odwróciło się zaciekawionych.

– To nie takie proste.

Chciałam jeszcze coś dodać, gdy moją uwagę przykuła nadchodząca z przeciwka kobieta z wózkiem. Jeszcze kilka miesięcy temu zupełnie ich nie zauważałam. To zabawne, bo pamiętam, że latem widywałam na ulicach tylko przystojnych facetów i lepiej ode mnie ubrane dziewczyny. Matki z wózkami tłumnie wyległy na ulice dopiero, kiedy dowiedziałam się o ciąży. Najgorsze, że zawartość wózków była dokładnie zabezpieczona nie tylko przed zimnem, ale również przed wścibskimi spojrzeniami pewnej ciężarnej, która była bardzo ciekawa, jak takie dziecko wygląda. Co robi? Książki od Piotrka przyniosły więcej pytań niż odpowiedzi.

Kobieta, sprawnie manewrując trójkołowcem, wyminęła nas i poszła dalej. Westchnęłam i wróciłam myślami do swojego towarzysza. Dureń z tego Piotrka. „To nie takie proste”. Jasne. Poderwanie dziewczyny to rzeczywiście wielka sztuka. Fakt, urodę ma specyficzną, jednak do paskudy mu daleko, jest miły, inteligentny i zabawny, a to u faceta liczy się bardziej niż uroda. Co ważne, ma dobry zawód, jest szansa, że będzie nieźle zarabiał. Nie jest w ciąży, nic go nie ogranicza. A mimo to marudzi.

– Nie wydaje ci się, że choć raz w życiu powinieneś coś zrobić, zamiast filozofować?

Nadeszła środa. Oczywiście zdążyłam już zapomnieć, że umówiłam się z babcią. Siedziałam w fotelu, piłam herbatę i bezmyślnie przeglądałam notatki z wykładu.

Kiedy na dole usłyszałam śmichy-chichy, pomyślałam, że pan Włodek, albo Władek, ma gości. Rzadko się to zdarzało. Najczęściej wpadał sąsiad z naprzeciwka, razem grali w karty lub szachy. Nawet gdy hałasy przeniosły się na schody, ciągle jeszcze nie czułam zagrożenia.

Babcia wpadła na poddasze, nie pukając. Odstawiona, jakby szła

do opery. Za nią, sapiąc niczym lokomotywa, wspinał się łysy staruszek, a pochód zamykał właściciel domu.

Matka mojej matki najpierw mnie wyściskała, a potem rzuciła w objęcia łysego, który okazał się być panem Antonim. „No nareszcie macie okazję się poznać”, powiedziała zadowolona. Mało brakowało, a mój gospodarz też by mnie wyściskał.

Potem obejrzelik lokum. Babunia rozplęwała się w zachwytach, dziękując wylewnie obu panom za pomoc mi w tej trudnej sytuacji. A panowie zapewniali, że dla pani Halinki wszystko.

Na koniec zeszliśmy do gospodarza na herbatę. Byłam lekko skołowana, ale seniorom to nie przeszkadzało. Świetnie się bawili.

Podczas pożegnania babcia szepnęła, że ten wnuk Antoniego całkiem do dziadka podobny. To znaczy co? Łysy, gruby i pomarszczony jak bibuła?

Telefon zadzwieczał, informując mnie, że dostałam SMS. Bardzo mnie zaskoczył, bo przysłała go Kinga. Myślałam, że wykreśliła mnie ze spisu osób, które lubi. Tymczasem ona wyraziła nadzieję, że się na nią nie gniewam. Chciała też, żebyśmy się spotkały. Ucieszyło mnie to szalenie, więc od razu odpisałam, że się zgadzam. Umówiliśmy się na Rynku. Wsiadłam z tramwaju na Świdnickiej i szłam, wyrzucając sobie, że nie zaproponowałam innego miejsca na spotkanie, bo na spacer zbyt zimno, zapachy z restauracji drażnią moje wrażliwe powonienie, w kawiarniach zaś nie mogę się powstrzymać przed słodyczami. Kinga już czekała. Zdecydowałyśmy się na herbaciarnię. Nie było tłoczno, zajęliśmy stolik w zacisznym rogu sali. Kinga zamówiła dużą kawę, widocznie ograniczanie kofeiny to przeszłość. Ja długo gapiłam się w kartę. Czulałam się dyskryminowana przez branżę gastronomiczną. Piętnaście rodzajów kawy. Herbaty różne, ale tylko jedna zielona. A gdzie napar z rumianku, koperku czy mięty? Że o szklance mleka nie wspomnę. Wybór padł na earl greya z miodem i cytryną.

– Nie chciałam na ciebie naskoczyć. Byłam roztrzęsiona i nie powinnam była do nikogo dzwonić. – W głosie Kingi słyszałam smutek. Przyjrzałam się uważnie swojej przyjaciółce. Wyglądała, jakby ktoś podciął jej skrzydła.

– Nie gniewam się. Nic się nie stało.

Spojrzała mi w oczy.

– Stało.

Zacząłam ją zapewniać, że to nic, że naprawdę nie mam żalu, kiedy, jak zwykle za późno, dotarło do mnie, że nie chodziło o to, co mi powiedziała. Ona miała na myśli swoje życie. Zamilkłam, a Kinga nawet tego nie zauważyła, tylko wpatrywała się w swoją filiżankę. To była kawa z ekspresu, nie powróży sobie z fusów.

– W lipcu mieliśmy się pobrać. Wybraliśmy już nawet wzór obrączek.

Zrozumiałam, że źle zrobiłam. Nie powinnam się była wtrącać. Nawet jeśli nie był to idealny związek, tylko Kinga i Tomek mieli prawo o nim decydować. A jeśli to była prawdziwa miłość i nigdy już takiej nie zaznają? Dlaczego psuję ludziom życie? Najpierw sobie, Ani i Rafałowi, teraz im. Szczerze musiałam przyznać, że to nie żadne fatum, tylko moja głupota. Dlaczego tak jest? Dlaczego są na świecie mądre kobiety, obdarzone niesamowitą intuicją, do których inni przychodzą po radę, i dlaczego jestem ja? Zawsze źle oceniam ludzi i sytuacje. Z zadziwiającą zdolnością pieprzę wszystko, do czego się wezmę.

– Och, tak mi przykro. – Co więcej mogłam powiedzieć? Zacząłam bawić się łyżeczką, żeby ukryć zmieszanie.

– Mnie też. Tak bardzo go kochałam – wyznała.

No ładnie. Troje nieszczęśliwych ludzi. Ze mną czworo.

– Może jest jeszcze szansa, żebyście byli razem? – wymamrotałam.

– Nie, to nie ma sensu. – Popatrzyła mi w oczy, więc spuściłam wzrok, bałam się tego, co mogę usłyszeć. – Bardzo kochałam Tomka, ale niewystarczająco, by zgodzić się na jego wizję przyszłości.

Oszukiwałam się, mówiąc, że chcemy tego samego. Miałaś rację, mówiąc, że każde z nas ciągnie w inną stronę. Po rozmowie z tobą w pełni do mnie dotarło, że to się może źle skończyć. A ja nie chcę być nieszczęśliwa jak jakaś Emma Bovary. Usiłowałam mu wytłumaczyć, że potrzebuję przestrzeni, że jesteśmy młodzi i mamy czas. Nawet nie próbował zrozumieć. Teraz mi go brakuje. Tęsknię. – Napiała się kawy. – Jakoś tak pusto bez niego. Zresztą sama wiesz, jak to jest.

Wiem. Bardzo tęskniłam za Rafałem. Brakowało mi jego towarzystwa. Czasem w myślach mówiłam do niego, opowiadałam mu

o dziecku. Nagle do mnie dotarło, że Kinga ma na myśli Roberta, mojego byłego chłopaka.

– Z drugiej strony będę mogła się skupić na pracy. Żadnych facetów przez najbliższe pięć lat. – Zaśmiała się odrobinę gorzko.

Czyli marne widoki dla Piotrka. Chyba że zrobi coś spektakularnego, żeby podbić serce Kingi.

– Nie wszystko układa się tak, jak byśmy chcieli – powiedziałam filozoficznie, bardziej do siebie niż do niej. Dopiłam swoją herbatę. Dziecku wyraźnie nie smakowała, bo zaczęło się niespokojnie wiercić. Nagle przyszło mi do głowy, żeby powiedzieć Kingie o ciąży. To był właściwy moment – ona myśli, że ma źle, a ja jej udowodnię, że może być gorzej, i zostanę królową tego popołudnia. – Chciałabym ci coś wyznać, tylko niech to zostanie między nami, dobrze? – poprosiłam drżącym, niepewnym głosem.

Skinęła głową i popatrzyła na mnie przenikliwie. Cóż, teraz przynajmniej mam pewność, że po udanym seksie nie wypapla wszystkiego Tomkowi, który poleci z jęzorem do Anki.

– Jestem w ciąży – wyznałam.

Kinga popatrzyła na mnie tak, jakbym opowiedziała jej najzabawniejszy dowcip na świecie. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiała, że nie żartuję.

– Z kim?

Jasne, to wszyscy chcą wiedzieć. A gdzie: „Och, jak się cieszę” albo „Tak mi przykro”, czy chociażby „A to prawda, że poranne nudności są takie dokuczliwe?”.

– To był jeden raz. Dla mnie pechowy. – Prawie nie rozminęłam się z prawdą, wyrabiam się.

– Nie znasz go? – Była bardzo zdziwiona. – Gdzie go poznałaś?

– W klubie.

– Powinnaś chodzić do tego klubu. Może jeszcze tam bywa.

Oto rada na wagę złota: znajdź ojca swojego dziecka, spójrz mu w oczy, powiedz o ciąży i wszystkie problemy rozwiązane. Czy nikt nie pomyśli, że to może być dopiero początek kłopotów? Załóżmy, że taki bardzo przypadkowy ojciec się dowie i nawet uzna dziecko. Niby na początku wszystko będzie dobrze, a potem nagle gość postanowi zrobić



na złość matce. Będzie wykorzystywał swoje prawa, by zabierać dziecko na święta. Wyobraziłam sobie mojego synka, jak siedzi przy wigilijnym stole z Rafałem i Anką. Koszmar. Z trudem powstrzymałam łzy.

– Uznałam, że nie będę wprowadzać do swojego życia przypadkowego człowieka.

– Ale dziecko musi mieć ojca.

– No to już ma. Są kobiety, które korzystają z banku nasienia. – Prawdę mówiąc, nie wiedziałam nawet, czy coś takiego istnieje naprawdę, czy tylko w amerykańskich filmach, ale może ona też nie wiedziała. I co oni wszyscy z tym ojcem? Myślą, że sama sobie nie poradzę?

– Chyba był fajny, skoro się z nim przespałaś.

„Fajność” – oto kryterium, według jakiego dobieram facetów do łóżka.

– Nie pamiętam dokładnie.

Nieprawda. Pamiętam. Wszystko i bardzo dokładnie. Jego uśmiech, dotyk, zapach. Wszystko, cholera, wszystko!

– Może powinnaś...

Nie pozwoliłam jej skończyć. Miałam już trochę dość ingerowania w moje życie osobiste. Powiedziałam jej o ciąży, bo chcę być w porządku i nie zamierzam ukrywać przed przyjaciółką prawdy o sobie. Ale to nie znaczy, że oczekuję superrad i pomocy. Zaraz zaproponuje mi wspólne poszukiwania ojca dziecka. Będzie chodzić po knajpach z moim zdjęciem i pytać wszystkich facetów: „Znasz tę dziewczynę? Być może to ty zapłodniłeś ją pół roku temu”.

– Wiesz co? Cholernie łatwo komuś doradzać, jak się zupełnie nie wie, co ta osoba czuje. Mam wystarczająco dużo problemów ze sobą, nie potrzebuję, żeby obcy facet jeszcze bardziej namieszał w moim i tak już skomplikowanym życiu! – Zrobiło mi się głupio za ten niekontrolowany wybuch. Opuściłam głowę i bałam się ją podnieść; może ludzie patrzą teraz na mnie.

– Masz rację. Przepraszam. Nie powinnam się wtrącać – powiedziała Kinga ugodowo.

– Ja też przepraszam.

– A ty za co?

W zasadzie za to samo.

Późnym wieczorem zadzwonił do mnie Piotrek. Od dłuższego czasu leżałam w łóżku, próbując zasnąć. To było okropne. O ile w ciągu dnia zasypiałam w każdych warunkach i w każdej pozycji, o tyle wieczorem przewracałam się z boku na bok, próbując choć się zdrzemnąć. Kiedy już prawie mi się to udało, dziecko zaczynało się ruszać, podskakiwać i kopać.

– Przepraszam, że tak późno. Nie obudziłem cię? – zapytał tym swoim łagodnym, aksamitnym tenorem.

– Nie.

– Musiałem zadzwonić. Wiesz, stała się najbardziej niezwykła rzecz w moim życiu. – W jego głosie słychać było podekscytowanie. – Nigdy nie zgadniesz.

– To mnie nie męcz i powiedz od razu.

– Zgaduj. Do trzech razy sztuka.

To jedna z rzeczy, które mnie bardzo irytują. Ktoś chce się z tobą podzielić jakąś nowiną i aż go całego skręca, bo nie może wytrzymać, a jednak przeciąga ten moment w nieskończoność.

– No nie wiem. Złapałeś złotą rybkę i wygrałeś w totka? – powiedziałam na odczepnego. Przecież on nawet nie chce, żebym zgadła.

– Prawie. Umówiłem się z Kingą.

– Na randkę się z nią umówiłeś? – zaciekałam się.

– Chyba nie, tak po przyjacielsku, pogadać. Wiesz, dla mnie to i tak wiele znaczy.

Ciekawe, czy w ten sposób Kinga chce mi dać jakiś znak.

– No to super. Tylko nie zapomnij się odzywać – zażartowałam.

– Głupia jesteś. Nie wiesz, że kobiety lubią, kiedy się ich słucha?

– Specjalista się znalazł. Pamiętaj, że mimo wszystko bardzo cię lubię i będę trzymała kciuki. Kiedy ten wielki dzień?

– Pojutrze.

– Zadzwonisz i opowiesz mi wszystko?

– Wszystkiego nie, troszkę. – I się rozłączył.

No tak, po takiej dawce emocji na pewno nie zasnę. Wstałam i wyciągnęłam z szafki paczkę herbatników. Ukryłam je tam przed samą

sobą. To wcale nie jest łatwe nie jeść dużo. Miałam z tym problemy, nawet kiedy nie byłam w ciąży. Teraz odczuwałam permanentny głód. Czasem udawało mi się nad nim panować nawet przez godzinę. W końcu nie wytrzymałam i jadłam. Przez chwilę czułam się syta i szczęśliwa, a potem zaczynał się festiwal dolegliwości gastryczno-jelitowych, ze zgagą na czele. Tęskniłam za czasami, kiedy mnie po prostu mdliło.

Piotrek w końcu umówił się z Kingą. Ciekawe, czy coś z tego będzie. Miałam nadzieję, że on wszystkiego nie popsuje. Może powinnam do niego zadzwonić i przestrzec przed pułapkami pierwszej randki? Pewnie nie chciałby mnie słuchać. Przecież on nawet nie uważa, że to randka. Był bardzo zdenerwowany. Zna Kingę, nie przeżywałby tak zwykłego spotkania. Czy istnieją jakieś sposoby, żeby zwrócić na siebie uwagę osoby, którą się zna trzy lata? Nawet jeśli są, Piotrek na pewno nic o nich nie wie. Mogłabym zadzwonić do Kingi i opisać jej zalety naszego kolegi. Tylko wtedy na sto procent uznałaby, że wtykam nos w nie swoje sprawy.

Przekręciłam się na drugi bok. Musiałam zwalczyć stare przyzwyczajenia, bo wygodne zaśnięcie na jednym boku nie wchodziło w rachubę – zbyt szybko cierpłam. Brzuch i plecy zaś odpadały, bo albo ja przygniatałabym dziecko, albo ono mnie. Zwykle przed snem układałam się przez godzinę, zanim udało mi się wygodnie ułożyć. Mimo to często budziłam się obolała. Ale to nic, mam za sobą dwie trzecie. Teraz powinno pójść jak z płatka.

## Miesiąc VI

Leżałam na fotelu ginekologicznym. Na swoim brzuchu wyraźnie widziałam pępek, pierwszą bliznę w życiu każdego człowieka. Pamiątkę po sznurze, który wiąże dziecko z matką. Ta do niedawna mała dziurka teraz zmieniła się nie do poznania. Mój pępek był wielki i zadziornie sterczał. Wyglądał jak podskórny implant wielkości śliwki.

– Nie będę pani oszukiwał – powiedział lekarz w trakcie badania. – Teraz będzie już tylko gorzej. Nasilą się opuchlizny i ból kręgosłupa. Proszę niczego nie dźwigać, nie wstawać gwałtownie. Absolutnie nie siadać zaraz po przebudzeniu, bo to grozi omdleniem.

Kiedy skończył, powoli zsunęłam się z fotela. Poruszanie się zaczynało być trudne. Wszystkie czynności wykonywałam wolniej. Czułam się jak ślamazara, nie mogłam nic na to poradzić; przyspieszanie kończyło się wielkim zmęczeniem.

Usiadłam przy biurku, patrzyłam, jak lekarz uzupełnia kartę, i słuchałam zaleceń.

– Postaram się o tym wszystkim pamiętać. – Uśmiechnęłam się do niego. Prawdą jednak było, że miałam straszne problemy z koncentracją.

– Chciałam jeszcze zapytać o szkołę rodzenia. – Przypomniało mi się niemal w ostatniej chwili. – Babcia mnie namawia.

– Świetny pomysł. Mam tu jakieś ulotki. – Na jego biurku stały rynienki na dokumenty. Zaczął grzebać w jednej z nich i po chwili podał mi kilka kolorowych ulotek. – Może coś panią zainteresuje.

Przejrzałam je w domu. Niektóre wyglądały jak foldery biur podróży. Ciekawe, czy gdybym wybrała szkołę z zajęciami na basenie, to babcia w dalszym ciągu chciałaby w nich uczestniczyć. Pewnie jest bardzo droga. Wystarczy, że rodzice finansują moje studia i prywatnego lekarza. Może spróbuję do tej przy szkole położnych? Dwa przystanki od placu Grunwaldzkiego. Dodatkowy punkt za lokalizację.

Siedziałam na swoim poddaszu i obserwowałam strumień światła. Wirowały w nim maleńkie drobinki kurzu. Czułam jednocześnie potrzebę, żeby posprzątać, i niechęć do podnoszenia się z kanapy. To nie

było lenistwo. Tak moje ciało okazywało mi wrogość. „Jestem teraz bardzo ważne, mam w środku dziecko – mówiło. – Muszę o sobie dbać i nie pozwolę się nadmiernie wykorzystywać”.

Telefon wyrwał mnie z zamyślenia. Dzwoniła Kinga.

– Byłam na randce z Piotrkim – poinformowała mnie dość obojętnym tonem.

A więc według niej to była randka, a nie przyjacielskie spotkanie.

– I jak? – Zżerała mnie ciekawość.

– Bywało gorzej – powiedziała.

Ach! Biedny Piotrek.

– Zrobiłam to dla ciebie – dodała. – Powiedziałaś, że powinnam.

Mam nadzieję, że jesteś zadowolona.

– Jeśli zrobiłaś to ze względu na mnie, to nie jestem zadowolona, bo kierowały tobą niewłaściwe pobudki. Powinnaś to zrobić albo dla siebie, albo dla niego – wymądrzyłam się.

– Myślałam, że ci zależy, żebym mu dała szansę.

– Twoim zdaniem właśnie to zrobiłaś?

– Chyba nie potrafię być w związku z totalnym nadwrażliwcem.

Jasne, lepiej być w związku z totalnym nosorożcem. Facetem, który uważa, że setka to odpowiednia prędkość do jazdy w terenie zabudowanym i że marzeniem każdej kobiety jest prowadzenie domowego przedszkola. Chyba powinnam jej to powiedzieć. Nie powiedziałam – ona i tak nic nie rozumie.

– Skoro nie jesteś zainteresowana, to dlaczego tak okrutnie z nim postępujesz? – zapytałam. Staralam się, żeby w moim głosie nie było słychać złości.

– Co masz na myśli?

– Spotkałaś się z nim, żeby mi coś udowodnić. Powiedziałam ci o uczuciach Piotrka, więc postanowiłaś z nimi igrać. Skoro cierpisz przez Tomka, to uznałaś, że fajnie będzie, jak ktoś dla odmiany pocierpi przez ciebie?

– To nie tak. – Kindze wyraźnie zrobiło się głupio.

– A jak? – W tym pytaniu była cała złość, która we mnie buzowała.

Wyczuła to.

– Wiesz, to prawda, że kobiety w ciąży same nie wiedzą, czego

chęcią – powiedziała złośliwie.

– Za to wszystkie inne wiedzą to świetnie. Powodzenia! Podobno etatów dla polonistek w tym kraju jest w bród, zwłaszcza w małych prowincjonalnych szkołach. Przecież o tym marzysz. Wróć lepiej do Tomka. – I się rozłączyłam, żeby już nic więcej nie powiedzieć.

Kiedy telefon zadzwonił pięć minut później, pomyślałam, że to Kinga, i nawet nie miałam zamiaru go odbierać. Tym razem był to Piotrek. Identyfikacja numerów to jeden z lepszych wynalazków ludzkości.

Przywitał się smutno.

– Nie wyszło – powiedziałam. To było stwierdzenie, nie pytanie.

– Chyba nic z tego nie będzie. Mówiłem ci. – Brzmiał tak żałośnie. Biedak.

Tak. I prosiłeś, żebym się nie wtrącała, ale ja wiedziałam lepiej. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Powiedziałam, jak mi przykro.

– Trudno. Rzucę się w wir pracy, zdobędę Nobla, a wtedy ona pożałuje. – To miał być żart, ale zabrzmiał bardzo smutno. Nie chciałam go dobijać i mówić, że nie dają Nobla w dziedzinie stomatologii.

– Och, ona jest głupia i zupełnie nie wie, co traci.

– Szkoda, że nawet ty tak nie myślisz.

Nawet się nie pożegnał. Poniekąd miał rację. Uważałam, że jest świetnym kumplem. Trochę zdziwaczałym i przeraźliwie chudym. Zachwalałam go Kindze jak stara przekupka zwiędły koper. Sama bym go nie chciała. Tylko że to nie jest kwestia chęci, lecz miłości. Żadna z nas go nie kochała.

Kilka dni później tradycyjnie spotkałam się z Piotrkim na spacerze. Postanowił, że zrobi ze mnie najlepiej dotlenioną ciężarną. Spotkaliśmy się na Ostrowie Tumskim i wolno szliśmy w stronę Rynku, żeby tam znaleźć przytulną knajpkę, w której moglibyśmy zjeść coś bezmięsnego i pogadać. Jeśli o mnie chodzi, mogliśmy pójść na dworzec i zjeść pitę z falafelem, ale bałam się, że Piotrek mnie opierniczy za niewłaściwe odżywianie i będzie straszył listeriozą albo inną zarazą, która czai się na ciężarne w niedomytych warzywach.

Po drodze mój przyjaciel opowiedział mi, jak jego wymarzona randka stała się totalną katastrofą. Najpierw zabrał Kingę do restauracji,

która okazała się ulubionym miejscem jej i Tomka. Potem zaproponował danie mięsne, nie wiedząc, że Kinga jest wegetarianką (Jak mógł to przegapić? Taki podobno zakochany, a umknęło mu, że Kinga nie włoży do ust niczego, co kiedyś chodziło?). Próbował jej wyjaśnić, że z medycznego punktu widzenia tylko zbilansowana dieta jest prawidłowa, a białko zwierzęce jest jej podstawą. Miał szczęście, że mu oczu za to nie wydlubała widelcem. Na koniec chciał jej kupić kwiaty, ale usłyszał, że ścinanie łądyg jest równie bestialskie jak jedzenie mięsa.

– Teraz ma mnie za gbura bez serca.

– Na pewno tak nie myśli...

– O! Na pewno. Ludzka rzecz osądzać po pozorach. Dobrze to wiesz – odrzekł i lekceważąco machnął ręką. Teraz byliśmy kwita, bo właśnie powiedział jedno z przykrzejszych słów, jakie w życiu usłyszałam. Postanowiłam jednak być ponad to.

– Kinga jest inna – szlachetnie stanęłam w obronie przyjaciółki.

Piotrek patrzył na mnie szczerze ubawiony.

– Kinga jest taka sama. Może nawet gorsza. – Chciałam zaprotestować, lecz nie pozwolił. – Widzisz, Karolina, miłość nie jest ślepa, głucha i głupia. Może na początku idealizowałam Kingę, ale znam ją już dość długo. Widzę jej wady i zalety. Imponuje mi jej determinacja, bawi mnie jej próżność. Wiem, że mógłbym być z nią szczęśliwy.

Zacząłam mówić coś o kolejnej szansie i że nie wszystko stracone. Spojrzał na mnie tak, że zamilkłam w pół słowa. Zastanawiałam się, czy się śmiertelnie obrazić, gdy tymczasem on mnie mocno przytulił.

– Już dobrze. To miłe, że ci na mnie zależy.

Fajny facet. Głupia ta Kinga. I ja też głupia. Zamiast mądrego uczucia do kogoś takiego jak Piotrek wybrałam miłość... No właśnie, jaka ona była? Na pewno nie ślepa, bo Rafał był bardzo przystojny. Ale ponieważ słyszała, co chciała, należało sądzić, że ma coś z uszami. A ja oczekiwałam nie wiadomo czego po takim ułomnym uczuciu.

Jeszcze rok temu spotykałam się z Anką prawie codziennie. Łaziłyśmy po sklepach, klubach, w weekendy jechałyśmy do domu. Teraz było inaczej. Zdawkowa rozmowa przez telefon. Moje rzucone bez przekonania: „Może byśmy się spotkały” i jej: „Wiesz, praca, Rafał”. Jej: „Tęsknię, kiedy się zobaczymy?” i moje: „Studia, praca

magisterska, nie mam czasu”. Ze dwa razy spotkałyśmy się na kawie i nie trwało to dłużej niż pół godziny. „Pogrubia cię ten sweter”, mówiła, a ja tłumaczyłam, że ciepły, a ja marznę, albo że to gwiazdkowy prezent od babci i muszę go nosić, żeby nie sprawić jej przykrości. Ciągłe nie mogłam się zdobyć na szczerość.

Tego ranka stanęłam przed lustrem i zobaczyłam w nim kobietę w ciąży. Nie mam pojęcia, kiedy melon stał się arbuzem. Spodnie, które niedawno wydawały się mongolską jurta, teraz były lekko opięte. Muszę w końcu powiedzieć Ance, bo za dzień czy dwa przestanę wyglądać jak osoba, która być może cierpi na wzdęcia. Będę wyglądała na kogoś, kto na pewno jest w ciąży.

Wzięłam telefon i wybrałam numer Anki. Przez dłuższą chwilę nie odbierała, a ja karmiłam się nadzieją, że nie odbierze w ogóle i będę miała wymówkę – nie powiedziałam jej, bo po prostu nie mogłam się do niej dodzwonić. Uznałam, że czekam jeszcze trzy sygnały i odkładam słuchawkę.

– Halo! – zabrzmiało zamiast trzeciego sygnału.

– Cześć. Myślałam o tobie. Może byśmy się spotkały?

– Super. Świetnie. Gdzie i kiedy? – No dobrze, a gdzie się podziało zwyczajowe: „Nie mam czasu, bo, wiesz, praca...”? Wszystko przeciwko mnie.

Umówiłyśmy się, że wpadnie do mnie. Pożałowałam tego, zanim jeszcze się rozłączyłam. Błędnie założyłam, że takie rzeczy lepiej załatwiać na własnym terenie. Tylko co zrobię, jeśli nagle najdzie mnie ochota, żeby uciec?

Anka zjawiała się godzinę później. Oprowadziłam ją po swoim poddaszu. Była wyraźnie zazdrosna. Nie miałam jej tego za złe. W porównaniu z tą dziuplą, którą wynajmowała, ja miałam penthouse z widokiem na zimowy ogród. Było tu jasno, czysto i pod nogami nie pałętali się żadni współlokatorzy.

Zrobiłam herbaty, bo wyglądała na zmarzniętą. Wszyscy poza mną marzli. Mnie było tak gorąco, że najchętniej chodziłabym w szortach. Mama tłumaczyła mi, że to złudne i powinnam bardzo uważać, żeby się nie przeziębnić. Tak więc chodziłam opatulona, a pot lał mi się strumieniem po plecach.



Ania rozparła się w fotelu, wyciągnęła nogi daleko przed siebie i wodząc wzrokiem po suficie – czarne belki, białe ściany i błękitne niebo w oknach – wyznała:

– Już się za tobą stęskniłam.

– Ja za tobą też. – To była prawda. Tak bym chciała móc jej wszystko powiedzieć. Żeby między nami było tak jak kiedyś. Żadnych tajemnic i niedomówień. Zwykła babska solidarność.

I przez chwilę nawet tak było, bo zaczęłyśmy od obgadania rozpadu ToKi Teamu. Powiedziałam, że żal mi Kingi. Anka zaś żałowała Tomka. Spotkała się z nim kilka dni po zerwaniu i widziała, jak bardzo to przeżywa. Kinga okazała się podła, dla niej kariera liczyła się bardziej niż narzeczony. Wcale jej na Tomku nie zależało. Odparłam, że zależało, ponieważ ja dla odmiany spotkałam się z Kingą, która była smutna i załamana. Anka usiłowała mnie przekonać, że Kinga leciała tylko na kasę Tomka, bo jest interesowna.

– Aż mnie nosiło, żeby się z tobą zobaczyć. Przez telefon nie chciałam ci mówić, a ty ciągle jesteś zajęta – zrobiła mi słuszną wymówkę.

Postawiłam przed nią talerzyk z herbatnikami, których jakimś cudem nie zżarłam. W moim domu żywność szybko znikała.

– Tak, ale skończyłam badania do magisterskiej. – W pierwszej chwili myślałam, że to będzie dobra wymówka, ale grymas zazdrości, który znowu przebiegł przez twarz Anki, sprawił, że pożałowałam swoich słów.

– Żartujesz? Gratuluję! – Moja przyjaciółka postanowiła zdusić w sobie negatywne uczucia i odrobinę się ucieszyć. – Ja też powinnam wziąć się poważnie do pracy. Oczywiście nie na tej durnej ekonomii, bo nic z tego nie będę miała. Teraz wszyscy studiują ekonomię. Fajnej roboty po takich studiach nie znajdę. Od października przenoszę się na rusycystykę. Łatwo mi pójdzie, bo rosyjski jest bardzo podobny do polskiego. Słyszałam, że brakuje tłumaczy, może załapię się do konsulatu – nawijała podekscytowana swoim nowym pomysłem na życie. – Będiesz się bronić w czerwcu?

To zależy od dziecka, pomyślałam. Jeśli przyjdzie na świat w terminie i wszystko będzie dobrze. Nie powiedziałam tego i tak oto

z jednej rozmowy zrobiły się dwie – ta, którą prowadziłam z Anką, i ta, którą prowadziłam w myślach.

– Dasz radę – Anka sama sobie odpowiedziała. Upiła łyk herbaty. – Strasznie przytyłaś, zamierzasz coś z tym zrobić? – To akurat znaczyło, co znaczyło, i było podyktowane złościwością.

– Dużo zakuwam, dużo siedzę, dużo jem – roześmiałam się sztucznie. „Nie jestem gruba, tylko ciężarna”, tak powinny brzmieć moje słowa.

Kiedyś bardzo dużo ze sobą rozmawiałyśmy. Nawijałyśmy i nawijałyśmy. Zdarzały się też chwile milczenia, ale wtedy wystarczało nam, że byłyśmy blisko siebie, każda zajęta własnymi myślami i było nam dobrze. Teraz zapadła cisza i źle się z tym czułyśmy. Każda chciała wypełnić ją słowami, tylko nie mogła ich znaleźć. Żałowałam, że do niej zadzwoniłam.

– A co u ciebie? – zapytałam.

– W porzo.

– Jak w pracy?

– A jak może być?

– No tak.

Milczenie. Jeśli zapytam o Rafała, to się rozkręci. Czy chcę pytać?

– Jak Rafał?

– W porzo.

– Dobrze wam się układa?

– Tak.

– Bo, wiesz, myślę, że nie powinnaś się śpieszyć, tylko tyle.

– Ciągłe masz żal o ten Karpacz, prawda? – Ton tak zimny jak śnieg w styczniu.

– Zależy mi na tobie. Nie chcę, żebyś popełniła błąd. – „Jak na przykład ja”, dodałam w myślach. Dlaczego jej nie powiem? Dlaczego po prostu jej nie powiem? Chciałabym, ale słowa nie przechodziły mi przez zaciśnięte gardło.

– Nie martw się, jestem już duża i wiem, co robię – prychnęła. Podciągnęła nogi. Była czujna, jakby czekała na atak albo się do niego przygotowywała.

– Nie wątpię. – To nie znaczy, że masz kontrolę nad

rzeczywistością. Nie żyjemy w Matriksie, gdzie wystarczą siła woli i telefon, żeby władać czasem i przestrzenią. Szkoda. Rzeczywistość jest taka, że w moim brzuchu mieszka dziecko Rafała. I bez względu na to, jak bardzo nie chcę powiedzieć tego teraz, prawda i tak kiedyś wyjdzie na jaw.

– Trudno być szczerą?

Wie?

– Wiesz?

– Oczywiście. Znam cię od lat. Jesteś zazdrosna, bo tobie też się podobał, a tak się złożyło, że Tomek przedstawił go mnie. Nie możesz tego znieść i dlatego mnie unikasz, a przy okazji spotkań usiłujesz udaremnić ten związek. Szczerze ci powiem, mam to gdzieś. – Zerwała się z fotela. – Ciebie też mam gdzieś. Jak zechcę z nim być, to będę. Udam się, czy tego chcesz, czy nie. Zobaczysz, wyjdę za niego! – Złapała kurtkę i ruszyła do drzwi.

– Ania, to nie tak. Chciałabym, żeby wam się udało, jest tylko jedna przeszkoda... jestem z nim w ciąży.

Trzaśnięcie drzwi zagłuszyło moje słowa.

Bim! Bam! Bom! – to weselne dzwony. Tego raczej nie przewidywałam. Dawałam ich związkowi trzy miesiące. Góra pół roku, bo Anka była zdeterminowana. W tym czasie Rafał miał stwierdzić, że nie są dobrani, i wrócić do mnie, gdybym tego chciała. Ewentualnie zniknąć z jej życia i mojego przy okazji. Tymczasem moja najlepsza przyjaciółka chce wyjść za faceta, który ma dziecko z inną. Konkretnie ze mną.

Co ja najlepszego zrobiłam? Czy tak trudno było powiedzieć: „Hej, jestem w ciąży?”. Przecież lada dzień zadzwoni do niej Kinga z propozycją przyjacielskiej składki na becik. Po czymś takim i po tej dzisiejszej rozmowie czarno widzę naszą przyjaźń. Nagle do mnie dotarło, że nie ma już naszej przyjaźni. Skończyła się tego dnia w bibliotece, kiedy zobaczyłyśmy po raz pierwszy Rafała. Nie byłam szczerą, nie postępowałam uczciwie, nie mówiłam prawdy. Straciłam wszystko, na czym mi zależało – przyjaźń Anki, miłość Rafała.

Rafał, Anka, Anka, Rafał – moje myśli się zapętlały. Nie wynikało z nich nic sensownego, za to coraz bardziej mnie przygnębiały.

Zerwałam się gwałtownie z fotela i chodziłam po pokoju. Muszę się naprawdę skupić, muszę przestać o tym myśleć. Nie mogłam. Z nerwów zrobiłam się głodna, a szafki świeciły pustkami. Zakupy? To nie był głupi pomysł. Może świeże powietrze dobrze mi zrobi? Ubrałam się i wyruszyłam do sklepu na rogu po lody i ogórki konserwowe. I może jeszcze z pół kilo krówek. I troszkę wafelków. Kakaowych i śmietankowych. I jogurt, bo w ciąży należy się zdrowo odżywiać.

Węglowodany nie pomogły. Było mi tak źle, że zadzwoniłam do Piotrka.

Przyjechał dość szybko. Subtelny w każdym calu, nawet nie pytał, co się stało. Usiadł w fotelu, wziął mnie na kolana i pozwolił wypłakiwać się w ramię.

– Zrobię ci herbaty – powiedział, kiedy już trochę się uspokoiłam.  
– Masz melisę? – zapytał, idąc do kuchni.

Chlipnęłam, że nie.

– Następnym razem ci przyniosę. Powinnaś pić coś delikatnie uspokajającego. Za bardzo się denerwujesz całą tą sytuacją. To nie służy ani tobie, ani dziecku.

Postawił przede mną kubek.

– Wiesz, Karolina, przed tobą jeszcze wiele nerwów i zmartwień. Sięgnęłam po napój. Rumianek. Najlepszy przyjaciel ciężarnej.

– Czeka cię baby blues... – wymądrzał się Pan Medycyna.

Prychnięciem dałam mu do zrozumienia, co o tym myślę. – Na dodatek nie jestem w stanie pojąć, dlaczego nie chcesz poprosić ojca dziecka o pomoc.

– Bo on jest teraz z Anką. To moja przyjaciółka...

Przerwał mi.

– I robisz to dla niej, już to słyszałem. Zastanowiłaś się może, czy ona zrobiłaby coś takiego dla ciebie? Jak ją znam, to na pewno nie. – Westchnął. – Jesteś na najlepszej drodze do depresji poporodowej. Wiem, co mówię. Nieplanowana ciąża, stres, nerwy. Musisz uważać, bo to się obróci przeciwko tobie.

Nie okazałam tego, ale byłam na niego bardzo zła. Głównie dlatego, że mógł mieć rację. Najpierw bałam się, że jestem w ciąży. Potem martwiłam się, co będzie, jak powiem rodzicom. Przerazało mnie

moje przyszłe życie. Trzęsłam się ze strachu o dziecko. Zadręczałam się myślami o Rafale i Ance. Myśl o tym, że są razem, po prostu mnie dobijała.

Bałam się też, że kiedyś, za kilka lat, kiedy już przestanie mnie piec w środku za każdym razem, gdy pomyślę o Rafale (tym moim, tym słodkim z Karpacza), spotkam kogoś całkiem fajnego i zechcę z nim być. I wtedy on nie zaakceptuje mojego dziecka. Albo moje dziecko nie zaakceptuje jego. Aż w końcu stanę się tak stara i samotna jak moja babcia i będę musiała wypełnić tę pustkę dewocją.

Piotrek został ze mną do późnej nocy. Jego milczące towarzystwo działało na mnie kojąco.

Następnego dnia wcześniej rano poszłam do laboratorium. Udało mi się powtórzyć kilka doświadczeń, które poprzednio nie wyszły, i tym samym zakończyć badania do pracy magisterskiej. Proszę, ile znaczy właściwa motywacja. Gdybym miała takie podejście od początku, moja praca byłaby gotowa w połowie czwartego roku. Najbliższe dni poświęcę na uporządkowanie notatek i z czystym sumieniem będę mogła pokazać wszystko Olszewskiemu. Ale zrobię to już chyba po sesji. Teraz na pewno nie udałoby mi się go nigdzie znaleźć. Zresztą miałam zamiar wziąć z niego przykład i też nie siedzieć we Wrocławiu. Pojadę do domu. Mam tylko dwa egzaminy, więc przyjazdy mnie nie zmęczą.

Porządnie wyszorowałam szkło i pozbierałam swoje kartki. Spojrzałam na zegarek. Miałam zamiar pójść na zajęcia do szkoły rodzenia. Nie byłam do nich przekonana, więc zadzwoniłam tam, żeby uzyskać więcej informacji. Kobieta, z którą rozmawiałam, wręcz buzowała pozytywną energią. Wyczuła moje wahanie i przekonywała o nowatorskim podejściu, dobroczynnym wpływie i zbawiennych skutkach. W końcu poradziła, żebym przyszła i sama się przekonała. Nie będę musiała płacić, bo pierwsze zajęcia są gratis. Takie argumenty zawsze do mnie trafiają i dlatego częściej się na promocjach, biorę darmowe próbki. Jeśli się waham, czy coś kupić, a sprzedawca informuje mnie, że mam pięć dni na zmianę decyzji, to ma jak w banku, że nie tylko kupię, ale i nie odniosę. Szkoda tylko, że teraz zakupy nie mają tego samego smaku co parę miesięcy temu. Chociaż nie do końca. Niedawno pierwszy raz w życiu kupiłam sobie stanik z miseczkami D.

W ciąży mój biust znacznie się powiększył. Może jest teraz nawet większy niż Anki? Jak tylko zrobi się ciepło, kupię bluzkę z wielkim dekoltem. Wiem, że nikogo nie skuszę, ale moje ego zostanie mile polechtane.

Tymczasem dotarłam do szkoły rodzenia i po długim błędnym dniu zielonymi korytarzami wreszcie znalazłam salę 24A. Przypominała szkolną salę gimnastyczną, ale ze trzy razy mniejszą i bez obręczy do koszykówki. Drabinki sięgały prawie do sufitu. Zauważyłam też wielkie i zielone piłki. Może istnieje przepis nakazujący kolor nadziei we wszystkich miejscach związanych z ciążą?

– W czym mogę pomóc? – Podeszła do mnie młoda dziewczyna.

– Przyszłam na zajęcia... w szkole rodzenia – zająknęłam się. – Bo jestem w ciąży – dodałam sensownie, jakby mogło jej to umknąć.

Uśmiechnęła się przyjaźnie i serdecznie.

– Zapraszam do szatni. – Pokazała mi drzwi na lewo. – Pierwszy raz u nas? – Potwierdziłam. – To zaraz przyniosę formularz. Proszę mi go oddać po zajęciach. Ma pani dres?

Jakżeby inaczej. Osoba, z którą rozmawiałam przez telefon, co najmniej trzy razy wspomniała o wygodnym stroju do ćwiczeń.

W szatni oprócz mnie były jeszcze dwie kobiety. Żadna z nich nie wyglądała na moją rówieśnicę. Dojrzałe, świadome macierzyństwo. Tak to powinno wyglądać. Ich brzuchy pewnie mają ojców na stanowiskach.

Kiedy weszłam, właśnie rozmawiały o zgodzie. Uzyskałam w ten sposób wiele cennych informacji. Najcenniejsza, niestety niemożliwa do realizacji, była taka, żeby nie jeść słodczy. Mogłam nie jeść nic innego, słodczy musiałam.

Zdjęłam kurtkę i wyszarpnęłam z plecaka dres. Różowy! Mama mi go kupiła, żebym miała coś wygodnego do chodzenia po domu. Nie było niebieskich w tym rozmiarze? Wkładałam go po raz pierwszy i kiedy zobaczyłam swoje odbicie w lustrze, przeżyłam małe załamanie nerwowe. Wyglądałam jak świnka, okrągła i wściekle różowa. Jeśli zależało mi na wtopieniu się w tłum, to nie miałam szans.

– Który miesiąc? – zagadnęła mnie jedna z kobiet, przysadzista szatynka o sympatycznej twarzy. Na oko była niewiele młodsza od mojej mamy. Markowe ciuchy podkreślały jej wysoki status społeczny.

– Szósty.

– O, to masz mały brzuszek. Popatrz. – Ustawiała się profilem. Rzeczywiście, miała imponujący brzuch.

– Jesteś pewna, że to jedna sztuka? – zapytała ją za śmiechem drobna brunetka.

– Lekarz mówi, że tak, ale ja mam wątpliwości – roześmiała się szatynka. Spojrzała na zegarek i powiedziała, żebyśmy już wychodziły na zajęcia.

Szłam za nimi. Wydawały się całkiem sympatyczne, jednak ja nie bardzo miałam ochotę na integrację. Bałam się, że zaraz nastąpi seria pytań w stylu: „Jak długo jesteś mężatką? Co robi twój mąż?”. Niepotrzebnie. W sferze ich zainteresowań leżały tylko brzuchy. Wszystko, co znajdowało się poza punktem wyznaczonym przez wystający pępek, niewarte było uwagi.

Przez następne dziesięć minut dołączały do nas inne kobiety. Młodsze i starsze, wszystkie jednakowo brzuchate. Ucieszyłam się, bo nie tylko ja wyglądałam, jakbym miała na twarzy zacieki po samoopalaczu.

W końcu zjawiała się jedna nieciążarna, która okazała się naszą instruktorką. Na pierwszy rzut oka jej wiek oszacowałam na trzydzieści plus. Po dłuższej analizie dodałam dekadę. Miała świetną figurę i melodyjny głos. Mówiła do nas „grubaski”, co mnie bardzo denerwowało, choć nie to było najgorsze. Okazało się, że trzeba ćwiczyć! Ostatnio taki wycisk dostawałam w liceum na wuefie. Myślałam, że zajęcia w szkole rodzenia to siedzenie w kucki na podłodze i rytmiczne oddychanie, a nie machanie nogami, przysiady i podskakiwanie na piłce. Czy ktoś ją poinformował, że na sali są kobiety w ciąży? Ktoś, kto po pierwszych zajęciach przychodzi tu ponownie, musi być chory. Na mnie nie mają co liczyć!

Po godzinie ćwiczeń z utęsknieniem patrzyłam na zegarek. Może powiem, że muszę już iść, bo mam pociąg? Tylko trochę mi głupio. Zapłacę za te ćwiczenia zakwasami w każdym mięśniu swojego ciała.

Po zajęciach przebrałam się szybko i wyszłam tak, żeby nie spotkać dziewczyny od formularza, którego nie wypełniłam. Siadając w tramwaju, ze zdziwieniem zauważyłam, że po raz pierwszy od dawna

nie boli mnie kręgosłup. Następny dzień przyniósł dobre samopoczucie, a ponieważ dni, kiedy w ciąży czułam się dobrze, można było policzyć na palcach, uznałam, że jeszcze się zastanowię nad szkołą rodzenia. Może jednak warto dać im jeszcze jedną szansę?

Do plecaka spakowałam tylko notatki i dwa niezbędne podręczniki. Kusiło mnie, żeby zabrać pranie, ale bałam się, że mama zrobi mi awanturę o dźwiganie ciężarów.

Mój pociąg stał już na peronie i nie wyglądał na pusty. Szłam wzdłuż niego w poszukiwaniu cienia szansy na miejsce siedzące.

– Przepraszam bardzo, czy to miejsce jest wolne? – zapytałam przez okno jakiegoś chłopaka, ale przecząco pokręcił głową. Czeka mnie jazda na korytarzu, a to może nie być przyjemne. Chyba że ktoś się nade mną zlituje i ustąpi mi miejsca. Ale z tym różnie bywa.

– Proszę pani! – Nie zareagowałam od razu, bo dopiero po chwili zorientowałam się, że konduktor woła właśnie mnie.

– Tak? – Nie wiem dlaczego, ale ilekroć zwraca się do mnie ktoś w mundurze, mam wrażenie, że zostanę aresztowana. Nie powinnam była czytać Kafki.

– W pierwszym wagonie jest przedział dla matki z dzieckiem – poinformował.

Co z tego? Nie zostanę matką w ciągu dwóch najbliższych godzin.

– I dla kobiet w ciąży – dodał, widząc, że nie reaguję jak trzeba. Potem pokazał mi ręką, który to pierwszy wagon, tak jakbym nie umiała liczyć.

– Dziękuję – odpowiedziałam ucieszona.

Wdrapałam się do wagonu i zaczęłam przeciskać się przez tłum. W pierwszym przedziale siedziało dwóch konduktorów, a na drzwiach drugiego wisiała wymięta kartka z informacją, że ten oto przedział jest zarezerwowany dla kobiet w ciąży i matek z dziećmi do lat czterech. Super. Nawet nie wiedziałam, że organizują nam takie rzeczy. Czyli ktoś jednak respektuje prawo ciężarnych. Weszłam do puściutkiego przedziału i zajęłam miejsce pod oknem przodem do kierunku jazdy. Potem rozpięłam kurtkę i sweter, eksponując swój wielki brzuch. Nikt mi nie podskoczy. Do samej Jeleniej Góry jechałam w pojedynkę, z dziką przyjemnością obserwując tłum kłębiących się na korytarzu



ludzi. Nie czułabym się lepiej nawet, gdybym jechała salonką.

O ile prawo gwarantowało mi wygodną i niestresującą podróż koleją, o tyle podróże komunikacją miejską przyjemne nie były.

Kiedyś uwielbiałam jeździć tramwajami. Jednak bycie w ciąży zmienia spojrzenie na wiele rzeczy. Nie chodziło o huśtanie czy fizyczny dyskomfort, ale o ograniczoną liczbę miejsc. Jasne, w każdym wagonie jest oznaczone miejsce dla uprzywilejowanych. Tylko że zwykle siedzi na nim albo małolat ze słuchawkami na uszach, albo głuchy staruszek. Małolata można tłuc w ramię w nieskończoność, nie reaguje. Podobnie na krzyk. A jak zamachasz mu ręką przed oczami, to mocniej naciągnie kaptur albo odwróci się do okna. Staruszek natomiast się irytuje, bo, po pierwsze, słabo słyszy, więc nie rozumie, czego od niego chcesz, po drugie, słabo widzi, więc nie zauważa twojego brzucha, i po trzecie, jest staruszką, więc ma prawo siedzieć, i prycha bardzo zdenerwowany. Niektórzy z tych staruszków skończyli nawet pięćdziesiąt lat.

Najgorzej było przez pierwsze trzy miesiące, kiedy bardzo mnie mdliło, a jeszcze nie przypominałam balonu. Na zielony kolor twarzy nikt nie reagował. Opracowałam wtedy supertechnikę socjologiczną – obserwowałam kobiety z dużą liczbą toreb. Kiedy zaczynały je przekładać, to był znak, że zbliża się ich przystanek.

Na początku piątego miesiąca już było widać, ale niestety zimowa odzież dobrze maskuje. Musiałam się rozbierać prawie do naga, żeby ktoś w końcu dostrzegł mój brzuch.

Teraz już miałam z górki. Duży brzuch zawsze kogoś ruszył. Tyle że nie musiałam już tak dużo jeździć. Mimo to co krok trafiałam na asertywnych ludzi, którzy uważali, że to właśnie ja powinnam im ustąpić miejsca. I kiedy na ich: „Pani mi ustąpi” albo „To moje miejsce”, mówiłam grzecznie, że jestem w ciąży, atakowali mnie słowami: „Jaka ta dzisiejsza młodzież bezczelna, ja jestem inwalidą trzeciej grupy!”. Pewien pan pokazał mi nawet legitymację. Na co ja zadarłam sweter i pokazałam mu swoją.

Nie wiem dlaczego, ale człowiek, który siedzi nad otwartą książką, sprawia wrażenie, jakby nic nie robił. Przecież to ciężka praca. Intelktualna. No dobra, może zdarzyło mi się przysnąć raz czy dwa, jednak ogólnie próbowałam się uczyć. Niemniej na mojej mamie i babci

sprawiałałam wrażenie znudzonej i gdy tylko zatapiałam się w lekturze, przychodziły, żeby zabawiać mnie opowieściami, jak to kiedyś trudno było kupić tetrę. Jeśli akurat mama robiła sobie przerwę, gnębiła mnie babcia. Wprowadziła mnie w arkana hagiografii. Okazuje się, że są osobni święci od ciąży, porodu i zakręconej pępowiny. Zważywszy na liczbę modłów, jakie wznosiła moja babcia, dziecko powinno ze mnie bezboleśnie wypłynąć na fali wód płodowych, a jedyna rzecz, jaką ja muszę zrobić, to złapać je w odpowiednim momencie.

– Benzen jest węglowodanem, wróć, węglowodorem aromatycznym o pierścieniu złożonym z sześciu atomów węgla i ilu... atomów wodoru, z podwójnymi wiązaniami pomiędzy... pomiędzy...

Intensywnie próbowałam sobie przypomnieć, pomiędzy którymi atomami węgla są podwójne wiązania, kiedy do mojego pokoju wparowała babcia. Usiadła na krześle obok biurka i przez chwilę nic nie mówiła, tylko patrzyła na mnie badawczo.

– Przemęczona jesteś – stwierdziła. – Zrób sobie przerwę. Chcesz, ziółek ci naparzę?

Dla świętego spokoju zgodziłam się na ziółka, ale ich parzenie trwało zadziwiająco krótko. Babcia postawiła przede mną napar, a sama usiadła na krześle. Jej obecność nie pozwalała mi się skupić.

– Muszę się uczyć – miauknęłam, mając nadzieję, że to uszanuje i sobie pójdzie. Może ktoś inny by posłuchał, ale babcia tylko machnęła ręką.

– Lepiej pomódl się do świętej Katarzyny ze Sieny, a zobaczysz, że wszystko będzie dobrze. Czy ja ci opowiadałam historię o tym, jak tą świętą...?

– Tak, opowiadałaś. – I to nie raz, dodałam w myśli. – Pomodłę się, a ty, babciu, już idź, bo jak nic nie będę umiała, to mi żaden święty nie pomoże.

– I tu się mylisz, drogie dziecko – wyrzuciła mi. – We wstawiennictwie świętych wielka jest moc. A skoro już o świętych mowa... – Zawiesiła głos, licząc na zachętę z mojej strony. Na próżno. Wzrok miałam wbity w podręcznik, bo nagle węglowodany aromatyczne wydały mi się czymś nad wyraz fascynującym. – Porady potrzebuję. – Nie dawała za wygraną. Westchnęłam ciężko, żeby dać jej do

zrozumienia, jak bardzo utrudnia.

– W czym? – zapytałam zrezygnowana i poczułam się tak, jakbym włączyła radio. Babcia zaczęła nadawać. Najpierw o świętych, szczególnie o świętym Antonim Padewskim, cnotliwym młodzieńcu. W pierwszej chwili myślałam, że z tego ma płynąć jakiś przykład dla mnie. Zanim zaszłam w ciążę, babcia niejednokrotnie wyrzucała mi złe prowadzenie. Źle jednak ją oceniłam. Babcia, która od początku ciąży nie powiedziała mi złego słowa, i teraz nie zamierzała robić mi wymówek. Rozwodziła się nad życiem świętego tylko dlatego, że, jak się okazało, był jej ulubieńcem, a przy okazji patronem nie tylko pana kościelnego, ale również moim.

– Módl się do niego, dziecko, bo to opiekun położnic – poleciła. – Tak sobie pomyślałam, Karolciu, że mi już życia dużo nie zostało, ja to czuję. A chciałabym, no wiesz, jakąś pamiątkę po sobie zostawić. Tak mi przyszło do głowy, żeby figurę świętego Antoniego do naszego kościoła ufundować. Nawet już miejsce dla niego upatrzone mam, tylko, no sama nie wiem...

– Moim zdaniem, babciu, to świetny pomysł – postanowiłam kupić sobie trochę spokoju. – Najlepiej idź się pomódl w tej intencji do świętego Judy Tadeusza.

Babcia wstała, spojrzała na mnie, a jej spojrzenie wyrażało szacunek.

– Dziękuję, drogie dziecko! – szepnęła wzruszona.

Święty Juda widocznie nie miał nic do roboty, bo sprawę babci załatwił od ręki. Już wychodziła z kościoła, kiedy zatrzymał ją proboszcz. Pytał, czy nie znalazłaby w sobotę czasu, żeby pomóc w sprzątaniu. Chwilę gawędzili i tak od słowa do słowa zeszło na wystrój wnętrza, więc babcia nieśmiało zagaiła o figurze. Proboszczowi pomysł się spodobał i wyraził zgodę. A ja spędziłam wieczór na wyszukiwaniu w sieci podobizn świętego Antoniego.

Pobyty w domu wcale nie był tak fajny, jak się tego spodziewałam. Mama nie pozwalała mi jeść tego, na co miałam ochotę. Oczywiście dogadzała mi bardzo, ale nawet nie chciała słyszeć, że zamiast zupy zjem tabliczkę czekolady. Ciężarnym nie można odmawiać, mówiłam, a ona na mnie prychała. Powiedziała, że sama też była w ciąży i pamięta,

jak to jest. Była w ciąży ćwierć wieku temu, ja z tamtego okresu nie pamiętam nic, więc ona też pewnie niewiele. Jedyne sprzymierzeńca miałam w babci, która wyznawała zasadę „jeść za dwoje” i przemyślała dla mnie słodycze.

Drugim minusem była telewizja. Wydawała mi się przyjemną rozrywką. Wystarczyły dwa dni, żebym poznała prawdę. Podobno telewizja ma jakąś misję społeczną. Jeśli to prawda, to polega ona na spychaniu ciężarnych w głąb czarnej rozpacz. Wracam do domu i wytęskniona włączam telewizor, którego nie widziałam od dwóch miesięcy, bo na stacji nie mam. Akurat leci serwis informacyjny. I co? Jacyś biedni ludzie chodzą po ulicy i protestują, bo nie mają drogi. Zimno, wiatr, a oni cały dzień tak chodzą. Nikt im nawet szklanki ciepłej herbaty nie poda. Niektórzy przyszli z dziećmi i tym dzieciom marzną nóżki. Czy to naprawdę taki wielki problem wybudować kawałek szosy? Nie wytrzymałam, przełączyłam na inny kanał. Leciał film, nie wiem o czym, w każdym razie mężczyzna na nim głaskał psa. Byli ze sobą zżyci. Pomyślałam, że ten pies na pewno za chwilę zginie, ratując życie temu facetowi. Łzy przesłoniły mi oczy i ledwo widziałam pilota. Na kolejnym kanale nadawali właśnie reklamy. Najpierw pokazali szczęśliwą rodzinę, której wreszcie udało się doprać skarpetki, i to było bardzo kojące, ale pokazywali kota, który wiernie czekał na swoją panią, i to było niezwykle wzruszające, bo przecież taki zwierzak tęskni. Zrobiło mi się go żal i było mi smutno. A na koniec dziecko przyszło podziękować babci za to, że jest i że je kocha i szyje mu zabawkę, choć wzrok już nie ten. Przecież ja też kiedyś będę babcią. Rozpłakałam się. I nikt mi nie wmówi huśtawki nastrojów! Jestem w stanie myśleć logicznie i wiem, że wszystko ze mną w porządku.

Nauka szła mi okropnie. Miałam dużo zapału i energii, ale zapamiętane informacje zapominałam już po półgodzinie. Cudem było, jeśli to, czego się nauczyłam, zostawało w mojej głowie do wieczora. Mama pocieszała mnie słowami: „Jakoś to będzie”. Miałam najgorsze przecucia. Babcia, widząc moje przygnębienie, poszła dać na mszę. Wiem, że to okropne, ale szybko przeliczyłam, ile krówek by za to było.

Pierwszy z zimowych egzaminów miałam w piątek. Postanowiłam pojechać do Wrocławia w czwartek rano i jednak pójść do szkoły

rodzenia. Nie miałam zakwasów, nie bolał mnie kręgosłup i znacznie lepiej się czułam.

Dam im jeszcze jedną szansę, najwyżej zapłacę tylko za te zajęcia. Postanowiłam poinformować babcię o swojej decyzji, ponieważ uznałam za moralnie słuszne wyegzekwowanie od niej pieniędzy na ten cel. I na kilogram krówek przy okazji. Poszłam do niej przed południem. Babcia była w szampańskim humorze. Antoni ustawił już postument pod figurę. Obiecał też, że zamontuje skrzyneczkę na intencje.

Uczciłyśmy to herbatnikami i naparem z kopru włoskiego.

– Jutro idę na zajęcia do szkoły rodzenia – poinformowałam ją.

– To świetnie. Jechać z tobą? – zapytała, tak jak się spodziewałam.

– Na razie nie. Na początek jest tylko gimnastyka dla kobiet.

Zajęcia dla par... to znaczy dla partnerów, będą w przyszłym miesiącu.

Dam ci znać – zapewniłam.

– Matka wie?

– No skąd, mamy umowę.

– Zuch dziewczynka. Jakbyś potrzebowała pieniędzy, to wiesz, gdzie są.

– Nie śmiem – powiedziałam zgodnie z prawdą. Czasem odczuwałam wielką pokusę, żeby chociaż zajrzeć do babcinego Sezamu, ale coś mnie zawsze powstrzymywało. Widocznie jestem uczciwa.

Potem przypomniałam sobie o ściąganiu na egzaminach i seksie przedmażeńskim i postanowiłam więcej nie myśleć o moralności.

– Ależ, dziecko, nie będę biegła przez całe miasto za każdym razem, kiedy potrzebujesz pieniędzy. Weź i już.

Nie dane mi było pogrzebać w babcinym skarbcu, bo kiedy wróciłam do domu, była już mama. Jej też oczywiście powiedziałam, że zapisałam się do szkoły rodzenia, ucieszyła się, ale nie zaproponowała, że będzie tam chodzić ze mną. Szkoda, bo na towarzystwo mamy bym się zgodziła. Może sama jej to zaproponuję, kiedy do tego dojrzeję?

Wieczorem, kiedy rodzice oglądali wiadomości, sięgnęłam po babciny skarb. Aż mnie zatkało z wrażenia. Stara puszka po tureckiej herbacie była dosłownie wypchana banknotami. Musiało tam być kilka tysięcy. Wzięłam trzysta złotych i poczułam się, jakbym okradała własną babcię. Muszę jej o tym jak najszybciej powiedzieć.

Okazja nadarzyła się już o szóstej rano. Mama się przestraszyła, bo dzwonek do drzwi o tej porze nie wróży niczego dobrego.

– Mamo, coś się stało, źle się czujesz? – usłyszałam jej głos z przedpokoju.

– Czy moja wnuczka jeszcze śpi? – zapytała babcia szeptem.

– Teraz w tym domu już nikt nie śpi! – krzyknął tata z sypialni rodziców.

– To dobrze – powiedziała babcia normalnym głosem, wchodząc do mojego pokoju. – Nie zapytałam, o której wyjeżdżasz, więc wpadłam po drodze na mszę – wyjaśniła. Usłyszałam parsknięcie ojca idącego do łazienki. Babcia pogardliwie wydeła usta. – Tyle modlitw na marne, on się nie zmieni, biedne dziecko... – spojrzała na mnie ze współczuciem. – No, ale ja nie o tym... Potrzebuję twojego zdjęcia.

Zwlokłam się z łóżka, wysunęłam szufladę i wyciągnęłam pierwsze z brzegu.

– Proszę. – Podałam je babci.

– Nie masz jakiegoś bez niej? – Na zdjęciu ja i Anka siedziałyśmy na ławce w parku.

– Jasne. – Wyjęłam następne.

– Nie obraż się, dziecko, ale na tym nie wyglądasz najlepiej.

Szczerzysz się.

– To może być?

– Nie, jesteś w czerwonej sukience.

Zawsze się tak ubieram do pracy, pomyślałam zgryźliwie.

Wyciągnęłam następne, ale już z miny babci wyczytałam, że nie ma sensu go proponować.

W końcu się poddałam i wyjęłam wszystkie leżące luzem zdjęcia i dwa albumy.

– Proszę, niech babcia sobie coś wybierze.

Babcia z konsternacją spojrzała na stertę zdjęć, potem na zegarek.

– Sporo tego. – Podała mi jeden album. – Ty przeglądaj ten, szybciej będzie.

Z zamkniętymi oczyma przewracałam strony w albumie.

– Po co babci moje zdjęcie?

– To nie dla mnie, tylko dla ciebie. Znajomy jedzie na pielgrzymkę

do Fatimy. Zgodził się wziąć twoje zdjęcie. A to tak jakbyś sama tam była. O! To jest ładne. – Zamachała mi przed nosem moją podobizną z czasów matury. – No to pomyśl teraz, w jakiej intencji.

Gdyby nie to, że była szósta rano, raczej pomyślałabym, że to głupie, ale byłam skołowana, więc pomyślałam: Rafał. Zaraz też przyszło mi do głowy, że nie ma co prosić Boga o rzeczy niemożliwe.

– Chciałabym mieć normalną rodzinę – powiedziałam. Matka mojej matki popatrzyła na mnie z wyrzutem.

– Ależ, dziecko, ty masz normalną rodzinę!

– Tak, wiem. Nie o to mi chodziło.

– Młoda, wykształcona, a wysławić się nie umie. Co za czasy! Dobrze, że Pan zna nasze myśli. No to ja uciekam, bo jak tu jeszcze trochę posiedzę, to spóźnię się na mszę. To w twojej intencji, sama rozumiesz.

– Czego babcia chciała od ciebie tak rano? – zapytała mama po powrocie z pracy. Siedziałyśmy w kuchni. Przed nami stały dzbanek z herbatą i talerzyk z owsianymi ciasteczkami. Nie były ani słodkie, ani smaczne, za to zdrowe.

– Wysłała moją podobiznę do Fatimy – odpowiedziałam, z trudem żując tekturę. Czy mama nie mogła kupić zwykłych herbatników?

– No tak, zapomniałam, że pan Antoni jedzie na pielgrzymkę.

Mama w milczeniu piła herbatę, wydawało mi się, że rozmyśla o babci i jej słabości do kościelnego. Tymczasem ona myślała o mnie.

– Zastanawiałaś się, co chcesz robić, kiedy urodzi się dziecko?

Nie. Dziecko przekreśliło moje stare plany, nowych nie poczyniłam.

– Może chciałabyś pracować u nas w szkole?

– Nie wiem. Nie zastanawiałam się... – Nie chciałam, ale nie mogłam tego powiedzieć.

– Musicie z czegoś żyć. Masz świadomość, jak będzie ci ciężko? Alimenty bardzo by ci pomogły.

– Nie chcę.

– Nie bądź uparta. Bierzesz wszystko na siebie. Dobrze, że jesteś odpowiedzialna za to, co się stało, ale nie tylko ty powinnaś. Nie byłaś w tym łóżku sama. On też ponosi odpowiedzialność. Jego obowiązkiem

było się zabezpieczyć. – Mama wyczuła, że jej słowa do mnie nie trafiają. Nie zamierzała się poddać. – Miałaś plany, marzenia, a teraz to wszystko przepadło, również z winy tego chłopaka. Ty tracisz wszystko, on nic. Nie pozwól mu się tak łatwo wymigać. – Ta droga też nie była dobra. Mama to zrozumiała. – Nie wiesz, kto jest ojcem?

– Wiem.

– To dlaczego z nim nie porozmawiasz? To też jego dziecko. Ma wobec niego takie same prawa i obowiązki jak ty.

– To moje dziecko.

– Postępujesz nieodpowiedzialnie. Robisz krzywdę dziecku, jego ojcu i sobie.

– Nikomu nie robię krzywdy. Zwłaszcza dziecku. Po co mu ojciec, który ma inną? – Czemu ja to powiedziałam. Natychmiast pożałowałam swoich słów.

– Ten chłopak kogoś ma? Jest żonaty?

– Ma dziewczynę. To poważna sprawa.

– To tym bardziej powinnaś mu powiedzieć. Nie zachowuj się jak dziecko. Nie możesz pozwolić, żeby ktoś podejmował życiowe decyzje nieświadom swoich zobowiązań.

Herbata już wystygła i straciła smak. Ciastko było torturą. Żułam je, żeby dać mamie do zrozumienia, że nic więcej nie powiem.

Zrozumiała przekaz.

– Jesteś tak samo uparta jak twój ojciec – westchnęła.

Rafał. Rafał. Rafał. Kiedy masz dwanaście lat i chodzisz do szkoły, to na końcu zeszytu bazgrolisz w nieskończoność imię ukochanego. Ja powtarzałam je w myślach. Tylko aktualnie to nie był ukochany. Nienawidziłam go. Nienawidziłam tak bardzo, że gdyby stanął przede mną, doszłoby do rękoczynów. Rafał odebrał mi przyszłość, zanim na dobre się zaczęła. W jego spojrzeniu widziałam ciepło, które mnie zwabiło jak płomień świecy ćmę. I tak samo skończyłam, a świeca miała mnie w dupie. Kończę studia bez marzeń o cudownej pracy, bo trzeba będzie wziąć, co dają, by utrzymać dziecko. Chciałam się wyrwać z rodzinnego miasteczka, spod skrzydeł rodziców, chciałam robić karierę. Wszystko mi odebrał! Dzięki, Rafał! Jaka ja byłam bezdennie głupia, kiedy wydawało mi się, że jesteśmy zakochani.



Tego dnia moją radość z zajęć w szkole rodzenia potęgował fakt, że uwolniłam się od mamy. Nic nie mówiła. Jednak to pełne wyrzutu spojrzenie...

Przebrana w różowy dres poszłam na poszukiwanie dziewczyny od zapisów. Siedziała w małym pokoiku obok szatni.

– Wypełniłam formularz, ale zapomniałam go oddać – skłamałam wprawnie.

Wstała zza biurka, podeszła do mnie i wzięła kartkę.

– Proszę jeszcze chwilę poczekać, wpiszę panią na listę. – Otworzyła duży zeszyt i przepisała moje dane z kartki. – Zaraz dam pani program zajęć. – Poszperała w szufladzie.

– Chciałam od razu zapłacić.

– Nie trzeba. Pod koniec kursu policzymy, z ilu zajęć pani korzystała. – Ciekawe, czy mają umowę ze skuteczną firmą windykacyjną, czy po prostu ciężarne nie oszukują. – Proszę, tu jest rozkład zajęć. Nie musi pani przychodzić na te, które pani nie interesują.

Rzuciłam okiem na program. Przez dwa najbliższe miesiące sama gimnastyka. Ćwiczenia mięśni biorących udział przy porodzie. Potem dwa razy zajęcia z pielęgnacji. Ciekawe, czy mają takie fajne lalki. Dwa teoretyczne wykłady, jeden na temat: „Czym jest poród”, drugi „Plusy i minusy porodu w wodzie”. Ten sobie daruję. Trzy razy zajęcia z partnerem. Może poproszę Piotrka? Jeśli nie będzie się wstydził, to może być dla niego ciekawe doświadczenie. Na koniec techniki autorelaksacji z kimś o wyraźnie wschodnim nazwisku. Chyba też nie pójdę.

– Jak samopoczucie? – zapytała mnie szatynka z dużym brzuchem, z którą rozmawiałam w zeszłym tygodniu.

– Całkiem nieźle.

– Wiesz, jak przyszłam tu pierwszy raz, to miałam ochotę uciec. Teraz liczę dni do zajęć.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem.

– Dla mnie najważniejsze jest to, że przez godzinę przebywam w towarzystwie ludzi, którzy wyglądają jak ja, i nikt nie patrzy na mnie ze zdziwieniem – dodała ze śmiechem druga znajoma z zeszłego tygodnia.

Tym razem zajęcia bardzo mi się podobały. Poprzednio robiłyśmy kocie grzbiety i półprzysiady. Tym razem podskakiwałyśmy na piłkach. Pokochałam tę piłkę. Instruktorka powiedziała, że są wykorzystywane w czasie porodu. Super, już się nie mogę doczekać!

Egzaminator patrzył na mnie z serdecznym uśmiechem. W ten sposób patrzy się na nieszkodliwych wariatów. Właśnie przed chwilą zadał mi pierwsze pytanie: jak się nazywam. A ja nie mogłam sobie przypomnieć. Zdarzało mi się ostatnio zapominać o różnych rzeczach, ale coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy. Wiedziałam, że mam jakieś nazwisko, ale w mojej czaszce panowała próżnia absolutna.

– Proszę się uspokoić – powiedział niemal szeptem. – Poproszę może o indeks.

Właśnie, indeks! Tam znajdę odpowiedź. Wyciągnęłam go z torebki, otworzyłam i przeczytałam:

– Jabłońska. Karolina Jabłońska. – Poczułam ulgę. Podałam profesorowi indeks.

– Dobrze, w takim razie przejdźmy do pytań. Czy może mi pani wyjaśnić, na czym polega fenomen aspiryny?

Dziwne pytanie, wcale nie dotyczy tematu. Pewnie mnie sprawdza.

– Dlaczego mnie pan o to pyta?

Popatrzył na mnie zaskoczony.

– Bo to jedno z zagadnień, które omawialiśmy na wykładach.

Teraz wszystko jasne! Coś mi od początku nie pasowało, a przecież profesor Śniadecki jest specjalistą od chemii analitycznej. Nie wiem, dlaczego wkuwałam organiczną. Im bardziej rósł mi brzuch, tym bardziej kurczył się mózg.

Kiedy wyjaśniłam profesorowi swoją pomyłkę, popatrzył na mnie jak na istotę z innej planety. Czekałam na pytanie w stylu: „Czy na Melmac zachodzi fotosynteza?”.

Śniadecki zastanawiał się przez chwilę, co ze mną zrobić. Właściwie powinien mnie odesłać, ale albo mój brzuch poruszył w nim jakąś cząsteczkę człowieczeństwa, albo święta ze Sieny zrobiła, co powinna.

– Dobrze – westchnął w końcu – wpiszę pani trójkę, ponieważ zważywszy na pani stan, wątpię, żeby nasze kolejne spotkanie miało coś

zmienić.

Przynajmniej nie muszę się uczyć do następnego egzaminu.

Sesja skończyła się zadziwiająco szybko. W ogóle czas zaczął szybciej płynąć. Kiedy lekarz poinformował mnie, że urodzę pod koniec maja, wydawało mi się, że to cała wieczność. I nagle był już początek marca. Mój brzuch zrobił się olbrzymi. Przestałam go ukrywać, nawet by się nie dało, chyba że ubrałabym się w czteroosobowy namiot. Stałam się natomiast mistrzynią w unikaniu Anki. Ponieważ wiele energii musiałam włożyć w splawianie jej, kiedy dzwoniła, zaczęłam ignorować jej telefony.

Kupiłam sobie nowe wielkie spodnie ciążowe. W końcu do mnie dotarło, dlaczego są takie drogie. Na jedną parę idzie tyle materiału co na trzy nieciążowe. Posłuchałam rady babci i kupiłam też ładną tunikę z głębokim dekoltem i koronkowy stanik. Sprzedawczyni namawiała mnie na bawełniany z dziwacznymi kłapeczkami, do karmienia, ze względu na jego praktyczność. Nie dałam się przekonać. To ostatnia szansa, żeby włożyć coś, co jest ładne. Potem pomyślałam: urodzenie dziecka nie oznacza śmierci, za kilka lat znów pójdę na normalne ciuchowe zakupy, i pozwoliłam sobie wcisnąć wielgachne bawełniane majty podtrzymujące brzuch. Nie planowałam nawet na nie spojrzeć. W domu, stoczywszy ze sobą walkę, przymierzyłam je. I z trudem powstrzymałam się przed pojechaniem po drugą parę. Tak wygodnych majtek nie miałam na sobie... od jakichś sześciu miesięcy. Czy ktoś w ogóle informuje kobiety ciężarne, że jest dla nich tyle udogodnień? Dlaczego w telewizji bez przerwy reklamuje się proszki do prania? Przecież zamiast tego miły pan mógłby mówić: „Ciśnie cię bielizna i roluje się pod brzuchem? Koniec z tym! Specjalnie dla ciebie mamy superfajne majtusie podtrzymujące, z dodatkiem elastycznych włókien, które mają także fikuśną koroneczkę, żebyś myślała, że to zupełnie normalne majtki”.

Wizyta Piotrka trochę mnie zaskoczyła. Było już dość późno, więc przebrana w piżamę, rozmiar XXXXL, siedziałam pod kołdrą i czytałam książkę. Kryminał. Nie mogłam czytać książek o miłości, bo mnie przygnębiały. Przygnębiały mnie też inne książki. W bardzo wielu różne nieszczęścia spotykały psy, wiewiórki, koty i małe dzieci. W jeszcze

innych nieszczęścia dotykały młode kobiety. W kryminale zaś jedyną nieszczęśliwą osobą był nieboszczyk.

Piotrek kazał mi wracać do łóżka, żebym nie marzła. Protestowałam, ale był stanowczy. Okazało się, że potrzebuję snu, wypoczynku, witamin i spokoju, a powrót do pozycji horyzontalnej załatwi to wszystko.

Położyłam się więc grzecznie. Piotrek okrył mi stopy kocem. Przesadził, bo przez to poczułam się jak ciężko chora. Potem usiadł na drewnianym krześle z IKEA. Głównie służyło mi za garderobę. Teraz na jego oparciu wisiał mój ciężowy stanik. Nie było to coś, co przyprawiłoby mężczyznę o szybsze bicie serca – solidna konstrukcja, żadnej frywolności, a metalu tyle co w czołgu. Pewnie dlatego Piotrek położył go na łóżku, nawet nie patrząc.

– Chciałbym z tobą poważnie porozmawiać – zaczął. Przysunął krzesło do mojego łóżka.

Zamierzałam mu wyjaśnić, że nie da się poważnie rozmawiać z kobietą ubraną w ogromną piżamę w owieczki, ale jego mina uzmysłowiła mi, że nie należy żartować.

– Mam dla ciebie propozycję.... – Milczał przez chwilę. – Powiemy, że to moje dziecko.

– Co?!!! – Zaskoczył mnie totalnie. Małego też, bo gwałtownie wierzgnął.

– Nie proponuję ci małżeństwa – Piotrek trochę się zmieszał – ani pomocy finansowej, chyba że będzie trzeba. Długo nad tym myślałam. – Wziął mnie za rękę i usiłował patrzeć mi w oczy, które ja usiłowałam odwrócić w inną stronę.

– Wiesz, dziecko powinno mieć ojca. To nie jest normalne, że nie będzie znało nawet jego nazwiska.

– To jest normalne – zaproponowałam. – Żyjemy w czasach, kiedy samotne kobiety decydują się na macierzyństwo. Panna z dzieckiem nikogo nie kłuje w oczy.

Teoretycznie nie kłuje, ale w praktyce różnie bywa. W końcu słyszę te szepty, kiedy idę po korytarzach uczelni.

Piotrek westchnął. Jego ręka gładziła moją dłoń. Pomyślałam, że ma wyjątkowo delikatną skórę.

– To nie do końca tak. Ludzie są wścibscy. Dziecko też będzie ciekawe. Pójdzie do przedszkola, wróci i zapyta, gdzie jest jego tatuś. Zastanawiałaś się, co mu odpowiesz?

– Że ojciec go nie chciał – odparłam bezmyślnie.

– Tylko że to nieprawda. To ty nie chcesz Rafała. Masz prawo. Ale nie możesz powiedzieć dziecku, że własny ojciec go nie chce. Pomyśl, jak ono będzie się czuło.

Pomyślałam i z oczu popłynęły mi łzy. To okropne. Najpierw mama, teraz on. Uwzięli się na mnie i muszą utrudniać? I bez tego jest mi ciężko.

Piotrek odsunął krzesło, usiadł na łóżku i mnie objął.

– No już dobrze – uspokajał. – Powiemy, że jest moje. Ty nie chcesz za mnie wyjść, ja nie chcę się z tobą ożenić i to jest w porządku. To tak jakbyśmy byli po rozwodzie. Będę ci pomagał przy dziecku, a kiedy podrośnie, w soboty będę je zabierał do parku albo na lody. Mogę zaoferować twojemu dziecku trochę swojego wolnego czasu. To wszystko.

To wszystko? Nie mogłam się ruszyć z wrażenia. Oto najbardziej szlachetne zachowanie, o jakim w życiu słyszałam. Nagle otworzyły mi się oczy i dostrzegłam wspaniałego, wrażliwego człowieka. Kogoś, kto rozumie znaczenie słów „przyjaźń” i „altruizm”.

Boże! Jaka ja byłam głupia. Traktowałam go jak nieszkodliwego ekscentryka. Trochę jak maskotkę, czasem jak przedmiot kpiny i żartów. Z nudów postanowiłam pomóc mu w zdobyciu dziewczyny, którą kochał. Jeśli w życiu spotkało mnie coś złego, jeśli straciłam jakichś przyjaciół, jeśli ludzie byli dla mnie niemili, to w pełni sobie na to zasłużyłam. Byłam nie tylko głupia, byłam złą, egoistyczną babą, która nie widzi dalej niż czubek własnego nosa. Szczęściara z tej Kingi. Poczułam zazdrość i ogromny żal. Dlaczego Piotrek nie zakochał się we mnie? Dlaczego nie z nim poszłam do łóżka? Teraz trzymałby mnie za rękę i pokazywał jasną przyszłość.

Piotrek nie bał się ponieść konsekwencji cudzej głupoty, nie wstydził się tego dziecka. Ja tak, chociaż było moje. Ciągłe się zastanawiałam, co ludzie powiedzą. Zrobiło mi się bardzo wstyd, bo tego chudego, niepozornego chłopaka stać było na szlachetność, o której bym

nawet nie pomyślała. Nie wiem, czy Piotrek przemyślał wszystkie konsekwencje. Czy zastanowił się, co kiedyś powie swojej żonie i dzieciom? Prawdę czy będzie żył w kłamstwie? Ja kłamię zaledwie od pół roku i już mam tego dość. Tak czy inaczej, choć bardzo kusiło mnie, żeby się zgodzić, powiedziałam to, co powinnam.

– Nie, Piotrek. Jesteś wielki i wspaniały. Jesteś najwspanialszym człowiekiem, jakiego znam. Najszlachetniejszym. Nigdy ci tego nie zapomnę. Ale nie mogę na to pozwolić.

– Dlaczego? Przemyślałem wszystkie za i przeciw i...

– Dlatego – przerwałam mu stanowczo – że to nie jest jakiś cholerny casting na rodzica. To dziecko ma ojca. I nie ty nim jesteś. Wiesz, sytuacja trochę wymknęła mi się spod kontroli, ale to nie znaczy, że muszę ją komplikować jeszcze bardziej. Nauczyłam się, że jedno kłamstwo pociąga za sobą drugie. Taka spirala.

Piotrek poklepał mnie po plecach. Ulżyło mu.

– Co zamierzasz zrobić?

– Jeszcze nie wiem. Mam mętlik w głowie. Mama... Teraz ty...

– Może porozmawiaj z Rafałem?

Chciałam powiedzieć, że zależy mi na Ance. Zamiast tego powiedziałam prawdę:

– Boję się.

Pogodziłam się ze zmianami, jakie w moim życiu zaszły z powodu ciąży. Boję się tych, które wywołałyby zachowania Rafała. Nie znam go. Nie wiem, czy wyparłby się wszystkiego, czy chciałby odebrać dziecko matce, czy może ją poślubił. Jestem skołowana i się boję.

## Miesiąc VII

Lekarz patrzył na mój brzuch z widocznym uznaniem. Wcale mu się nie dziwiłam. Już jakiś czas temu straciłam kontakt wzrokowy ze swoimi stopami.

– Maluszek szybko teraz rośnie – powiedział ni to do mnie, ni do siebie.

– Pewnie tak.

– A jak z aktywnością? Dużo się rusza?

– Dużo, zwłaszcza w nocy. – Mam nadzieję, że nie jest to jakaś zapowiedź na przyszłość.

– Teraz będziemy się widywali co dwa tygodnie, dobrze? Czy ma pani mój numer telefonu?

– Tak, mam. – Wpisałam go sobie jako „AAA Ratunku, rodzeń”.

– Na początku maja zrobimy ostatnie USG, żeby sprawdzić, jak maluch się ułożył.

Nie trzeba było nic sprawdzać, mały leżał w takiej pozycji, z której bez trudu mógł walić mnie w pęcherz. Jakbym za mało chodziła do toalety. Na dobrą sprawę mogłam tam zamieszkać.

– Wie pani, do porodu są jeszcze dwa miesiące, wszystko jest w porządku. Gdyby jednak coś panią zaniepokoiło, proszę dzwonić. I niczym się nie denerwować. – Próbował mnie uspokoić. Oczywiście z odwrotnym skutkiem. Teraz będę się cały czas zastanawiała, czego mi nie powiedział.

Jakbym za mało się martwiła. Praktycznie nie robiłam nic innego. Zastanawiałam się, czy nie przegapię początku porodu. (W książce, którą czytałam, kłamali, że to niemożliwe, ale każdy chyba słyszał historie o dzieciach urodzonych w taksówce). Czy zdążę do szpitala, czy też będę rodzić gdzieś na schodach, z przypadkowo przechodzącym studentem medycyny w roli położnika. Będzie na mnie patrzył z głupią miną i powtarzał: „Tego nie było w podręczniku”. Bałam się także ludzi na rowerach i rolnkach – tracą równowagę, przejeżdżając koło mnie, i runą prosto na mój brzuch, a on wtedy pęknie. Najbardziej się bałam,

że z za rogu wpadnie na mnie jakiś psychopata. Cierpiałam, ponieważ nie mogłam z nikim o tym porozmawiać. Żadna z moich fajnych koleżanek nie była w ciąży, a kobiety w szkole rodzenia mówiły zupełnie innym językiem. Kiedy ich słuchałam i na chwilę zamknęłam oczy, widziałam kolor różowy. Sama słodczy. Ja tak nie potrafiłam.

Najgorzej czułam się w sklepach z ubrankami. Oczywiście wszystko było śliczne i rozczulające. Tylko takie malutkie. Miałam wielki brzuch. Dziecko, które w nim mieszkało, nie mogło być tak małe, żeby zmieściło stópkę w skarpetkę, którą ja wkładałam na kciuk. O wiele fajniej oglądało mi się zabawki. Na przykład zdalnie sterowane samochody. Nigdy takiego nie miałam. Kupię swojemu Jaśkowi. W myślach nazywałam go Jasiem. Żadne inne imię nie pasowało do mojego brzucha. Pewnie jak się urodzi i go zobaczę, to coś wymyślę. Jest tyle ładnych imion. Nie musi mieć imienia po naszym proboszczu. Wszystko przez babcię. Nie dość, że załatwiła mi tę ciążę, to jeszcze podsunęła imię.

\*

– Ależ pani ma cienkie żyły, no zupełnie nie ma się w co wkluć – poinformowała mnie pielęgniarka.

Siedziałam w przychodni w ciasnej kanciapie, zwanej punktem pobrań, i tradycyjnie oddawałam krew do badań. Nie wiem, po co robiono mi je tak często, skoro za każdym razem wykazywały, że wszystko jest w porządku i że jem za dużo słodczy.

– Proszę pokazać drugą rękę, może tam spróbujemy – poleciała.

Posłusznie podwinęłam rękaw.

– No, może być. – Przetarła moją rękę wacikiem i wyciągnęła igłę. Odwróciłam się, żeby nie patrzeć. Poczułam ukłucie. Nagle drzwi się otworzyły, ukazała się w nich wyondulowana głowa i zapytała:

– Krystynko, przyjdiesz na kawkę?

Moja oprawczyni odwróciła się i w tym momencie pojemnik odczepił się od igły.

– O cholera! – zakląła pielęgniarka. – Zaraz, Marysiu, mam pacjentkę.

Marysia zamknęła cicho drzwi. A Krystynka wyciągnęła kolejną



igłę.

– Pani da tę drugą rękę. No i gdzie ja mam się tu wkluć? – zapytała.

Miałam ochotę powiedzieć, że to raczej jej problem, ale z zasady nie pyskuję personelowi medycznemu i policjantom.

– A może na dłoni? Pani pokaże. – Poglaskała mnie po rękę. – O, proszę spojrzeć, jaka tu piękna żyła. Proszę parę razy zacisnąć rękę. O tak. Stąd pobierzemy. – Ucieszyła się, że zaraz będzie mnie miała z głowy, bo kawa stygnie.

Wkłuła się w moją dłoń, pojemnik szybko wypełnił się krwią. Nie tylko pojemnik. Zanim doszłam do drzwi, miałam trzy razy większą rękę.

– Ręka mi puchnie! – pisnęłam przerażona.

– O cholera! Żyła poszła. – Pielęgniarka obejrzała moją dłoń. – To nic. Wsadzi pani do sody albo lodu przyłoży – powiedziała lekceważąco.

– Nic?! Widzi pani moją rękę?! – krzyknęłam.

– Oj, przepraszam – burknęła zirytowana, że robię problem z niczego.

Nie przyjełam przeprosin. Zaczęłam się drzeć, że pozwę ją i szpital. Ze sto razy nazwałam pielęgniarkę morderczynią i uspokoilałam się dopiero, kiedy trzech wezwanych lekarzy, w zorganizowanym naprędce konsylium, zgodnie stwierdziło, że ta sytuacja nie wpłynie na życie i zdrowie dziecka. Opuszczając szpital, cała się trzęsłam z nerwów. A co, jeśli moje dziecko będzie przez to miało jedną rączkę większą? Albo jakieś znamię? Podobno jak kobieta w ciąży przestraszy się ognia, to rodzi się dziecko z czerwonym znamieniem. Nigdy dotąd nie wierzyłam w takie przesady, ale właśnie teraz zaczęłam. Od razu zadzwoniłam do Piotrka.

– Co ci się stało? – spytał, kiedy odebrał.

– Pękła mi żyła. – Ciągłe jeszcze drżącym głosem opowiedziałam mu, co się stało.

– Może lekarz powinien to zobaczyć? – zatroszczył się.

– Lekarz to widział. Nawet trzech – wyjaśniłam. – Powiedzieli, że to nic.

– To pewnie tak jest. Wpadnę zobaczyć. Na razie zrób sobie okład

z sody.

Piotrek wpadł po mnie do szkoły rodzenia. Pomyślałam, że jeżeli inne ciężarne zobaczą mnie w towarzystwie faceta, uznają, że to mój chłopak, ojciec dziecka. A gdy potem przyjdę na zajęcia z babcią, nie będą się dziwić. Mój facet może nie chce uczestniczyć w porodzie. Chociaż jak ich posłuchałam, odniosłam wrażenie, że taki mężczyzna należy do specjalnej kategorii megagruboskórnych palantów. Dziwne, bo gdybym miała wybór, to też nie chciałabym uczestniczyć w porodzie.

– Jesteś strasznie wielka – ucieszył się Piotrek. – Pęczniejsz w oczach. Mogę ci położyć rękę na brzuchu?

– Jasne – zgodziłam się chętnie. Niech inne patrzą, jakiego mam czulego mężczyznę.

Nie widzieliśmy się od czasu, kiedy złożył mi swoją szlachetną propozycję. Prawdę mówiąc, unikałam go przez ostatnie kilka dni. Czekałam, aż między nami opadną emocje. Musiałam też dać sobie czas na zwalczenie chęci, żeby do niego zadzwonić i powiedzieć, że się zgadzam. Kiedy myślałam logicznie, wiedziałam, że to by niczego nie ułatwiło. Tylko rzadko nie władają mną uczucia, a pokusa była wielka.

Piotrek z ociąganiem zabrał rękę.

– Nie kopie. – Był bardzo rozczarowany.

– To nie jest jego główne zajęcie – wyjaśniłam. – Po ćwiczeniach zwykle się wycisza, ale powiem ci, jak zaczniesz się ruszać.

Wyszliśmy na ulicę. Piotrek zaproponował spacer. Jak na początek kwietnia nie było ani ładnie, ani ciepło. Pewnie w maju zaleje nas fala upałów, a potem przyjdzie zimne i deszczowe lato. Zwariowała ta pogoda. Zimy albo nie ma, albo jest syberyjska. Lato zaczyna się i kończy w czerwcu. W sierpniu pada, a w październiku można znowu chodzić w bluzkach z krótkimi rękawami. A najbardziej niesprawiedliwe jest to, że ja również cierpię z powodu globalnego ocieplenia, mimo że nigdy nie używałam dezodorantów w sprayu.

– Spotkałem się parę razy z Kingą – przerwał moje rozważania meteorologiczne.

– To dobrze? – zapytałam.

– Dla niej te spotkania nic nie znaczą. Mam wrażenie, że traktuje mnie trochę jak przerywnik. Źle jej samej, a nie ma nikogo, przed kim

mogłaby się wyzalić. Więc głównie zajmujemy się analizą jej nieudanego związku.

– Przykro mi. Nie powinna cię tak traktować.

– Nie ma sprawy – powiedział, ale głos miał smutny.

– Kiedy mnie naprawdę jest przykro. Jesteś takim superfacetem. –

Wiem, że dopiero niedawno to zauważyłam, ale lepiej późno niż wcale.

– Jeśli Kinga tego nie widzi, to jest głupia i nie zasługuje na ciebie.

Chciałabym, żebyś był szczęśliwy.

Przyciągnął mnie i pocałował w czubek głowy.

– Życie można spędzić na wiele sposobów. Zostanę lekarzem bez granic. Będę robił to, co mnie pasjonuje. Czego można chcieć więcej?

Miłości, pomyślałam.

To smutne. Oni naprawdę do siebie pasowali. Oboje ambitni i pełni pasji. Kinga była wesoła i towarzyska, ale trochę roztrzepana. Mogłaby wiele zyskać, ucząc się od Piotrka spokoju i empatii. I miałyby w nim oparcie, którego potrzebowała. A jemu nie zaszkodziłaby odrobina tej energii, którą Kinga po prostu kipiała. Tymczasem ona skończy w związku z ograniczonym despota, a on... może skończyć jako samotny mężczyzna. Chyba że za kilkanaście lat jakaś przebojowa dziewczyna uzna, że on jest świetną trampoliną do kariery, a potem złamie mu serce. Dlaczego, mimo że szczęście można osiągnąć na wiele prostych sposobów, robimy wszystko, żeby nam się nie udało? Taka na przykład ja. Nękana wyrzutami sumienia z powodu tego, co zrobiłam przyjaciółce, przybita relacjami panującymi obecnie między mną a Rafałem i rozpaczliwie pragnąca, żeby było inaczej. Gdybym umiała, naprawiłabym to.

– Coś się tak zamyśliła? – zapytał Piotrek.

– Nie, nic. – Próbowałam szybko się pozbierać. – To normalne u kobiet w ciąży. O, dziecko się rusza!

Zatrzymaliśmy się i Piotrek położył rękę na moim brzuchu.

Przytrzymał ją przez chwilę.

– Ee... – Machnął ręką z rezygnacją. – To tak. Myślałem, że naprawdę kopie.

– Może włożymy ci je do brzucha, żebyś mógł w pełni odczuć finezję tego kopnięcia? – zaproponowałam. Roześmialiśmy się oboje.

Niespodziewanie dla samej siebie poprosiłam:

– Piotrusiu, przytul mnie. Bardzo, bardzo mocno mnie przytul.

Otworzył ramiona, a ja do niego przylgnęłam tak mocno, jak to było możliwe. Poczulałam spokój i ukojenie. Czas mógł się zatrzymać, bo nie pragnęłam niczego innego, jak tylko stać z głową na ramieniu Piotrka, wdychając zapach jego skóry, włosów i płynu po goleniu.

Piotrek postanowił ruszyć czas.

– Wszystko w porządku? – zapytał, niszcząc moją słodką iluzję, że nie dzieje się to, co się dzieje.

– Tak. To hormony. Wybacz, stary. – Opuszkami palców starłam łzy, które zawisły na moich rzęsach.

– Rozumiem. Gdybyś potrzebowała...

– Nie. – Nie pozwoliłam mu skończyć. Nigdy nie wiadomo, co mu strzeli do głowy. – Już jest dobrze. Odprowadź mnie na przystanek.

Nikt nie mówił, że życie jest łatwe, ale też nie ostrzegł, że chwilami jest takie trudne.

Obudziłam się złana potem. Chwilę trwało, zanim zdałam sobie sprawę, gdzie jestem i że to, co przed chwilą przeżyłam, to był tylko sen. Instynktownie sięgnęłam po telefon.

– Mamo, to ja.

– O Boże! Coś się stało? – Miała zaspany, ale bardzo przestraszony głos.

– Nie. Wszystko w porządku, nie rodzę – uspokajałam. – Przepraszam, że cię obudziłam. I przestraszyłam.

– Nie szkodzi. Na pewno wszystko w porządku? – upewniała się.

– Tak. Tylko miałam straszny sen. Że spadam ze schodów na brzuch...

Słyszałam, jak westchnęła z ulgą. Co też mi strzeliło do głowy, żeby do niej dzwonić? Jeśli ja martwię się tylko o zawartość swojej macicy, ona dodatkowo niepokoi się też o mnie.

– Nie martw się, skarbie. Mnie się ciągle śniło, że zgubiłam dziecko – uspokajała. – Biegałam i szukałam, ale nigdzie go nie było. O ile pamiętam, w rzeczywistości to się nie zdarzyło – zaśmiała się.

– Wiem, że to był tylko sen, ale był taki nieprzyjemny i realny.

– To emocje, kochanie. Wszystko będzie dobrze. Kocham cię. Śpij

dobrze.

– Ja też cię kocham, mamó. Dobranoc.

Odłożyłam telefon. Przez chwilę patrzyłam na ciemny sufit. Dobrze, gdy ma się do kogo zadzwonić. Poczułam się bezpiecznie. Ułożyłam się na prawym boku i szybko zasnęłam. Tym razem śniło mi się dziecko. Było śliczne. Miało jasne loczki i wielkie niebieskie oczy. Ubrane w lnianą koszulkę i słomkowy kapelusz wyglądało jak Janek Wędrowniczek z mojej ukochanej książeczki z dzieciństwa. Roześmiane biegło do mnie przez łąkę. Wyciągnęłam do niego ręce i rozpląnąłam się w nieskończonej słodyczy.

\*

Prawdę powiedziawszy, Kinga była ostatnią osobą, której odwiedzin w laboratorium mogłabym się spodziewać.

Właśnie skończyłam ostatnie doświadczenie i porządkowałam pracownię. Odniosłam już odczynniki i myłam szkło. Stałam nad poobijanym zlewem i bezmyślnie lałam wodę na wielką kolbę. Usłyszałam skrzypnięcie drzwi, ale nawet nie podniosłam głowy, pewna, że to któraś z laborantek.

– Cześć. Wszędzie cię szukam.

Zabrzmiało tak, jakbym się przed nią ukrywała. Mogła przecież zadzwonić i się umówić.

– Cześć – rzuciłam lekko. – Poczekaj na korytarzu, już kończę. Musisz stąd wyjść, bo jesteś bez fartucha.

– Niewiele mam ci do powiedzenia. – Choć głos Kingi był opanowany, wyczułam w nim tłumioną irytację.

– Posłuchaj...

Chciałam jej powiedzieć, że możemy gdzieś wyjść i spokojnie porozmawiać, ale nie pozwoliła.

– To ty posłuchaj! Nie wiem, dlaczego to robisz, myślałam, że jesteś moją przyjaciółką. Widocznie nie. Co tobą kieruje? Zapewne podłość! – Mówiła coraz głośniejszym, coraz energiczniejszym głosem. Przeszła nad sobą panować i emocje ją ponosiły. – Największa podłość, jaką jestem sobie w stanie wyobrazić!

Przerwała na chwilę dla zaczerpnięcia powietrza. Twarz jej

poczerwieniała, a z oczu ciskała błyskawice. Nie rozumiałam nic z tego, co powiedziała, ale bałam się zapytać, o co chodzi.

– Sprawia ci przyjemność niszczenie cudzego szczęścia, czy tak? Miałam chłopaka, który mnie kochał i przy którym czułam się bezpiecznie. Ty wlałaś z buciarami w nasze życie. Intrygowałaś, aż się rozstaliśmy. Potem zaczęłaś te gadki o Piotrku. Tylko po co, skoro wiedziałaś, że nic z tego nie będzie?

Zakręciłam wodę i odstawiłam kolbę. Grałam na czas. Kinga miała prawo być na mnie zła o Tomka, ale wydawało mi się, że już sobie to wyjaśniłyśmy. I dlaczego związek z Piotrkim miałby się nie udać? Młody, zdolny, bez nałogów.

– Miałam nadzieję, że może wam się uda – powiedziałam cicho i najbardziej ugodowo, jak umiałam.

– Uda? Jakim cudem się uda? Myślisz, że mogę być z facetem, któremu niedługo urodzi się dziecko? To chore. Przecież mogłaś powiedzieć.

– Co?

– Że to jego dziecko.

– Czyje? – Naprawdę nic nie rozumiałam.

– Piotrka. To z nim jesteś w ciąży – rzuciła oskarżycielsko.

– Nie. – Ta myśl wydała mi się tak absurdalna, że parsknęłam śmiechem. – To nie jest dziecko Piotrka. Powiedziałam ci...

– I sądzisz, że uwierzę? Powiedz prawdę, czyje ono jest.

Samo jej spojrzenie mogłoby mi wyrwać prawdę z gardła.

Złamałam się.

– Rafała – powiedziałam cicho.

Imię nic jej nie mówiło. Gorączkowo szukała w pamięci.

– Tego kolegi Tomka, który był z nami w Karpaczu?

Skinęłam głową. Wcześniej był tam ze mną. Chciałam Kindze wyjaśnić, opowiedzieć o magicznej chemii i przeprosić, że za pierwszym razem skłamałam. Jednak nie była zainteresowana. Odwróciła się i wyszła, trzaskając drzwiami tak mocno, że zabrzączało szkło na półkach.

Po tej rozmowie najpierw się rozplakałam. Nie lubię, gdy ktoś na mnie krzyczy. Jeszcze mniej lubię, gdy krzyczy na mnie przyjaciółka. To

bardzo przykre. Potem smutek ustąpił miejsca złości. Nie miała prawa tak się zachować. Postanowiłam zemścić się na niej okrutnie i nie odezwać się nigdy więcej.

W końcu się zastanowiłam nad całą tą rozmową. Właściwie to nie była rozmowa. Przecież ja niewiele mówiłam. Dlaczego Kinga tak na mnie naskoczyła? Zadała sobie dużo trudu, żeby mnie znaleźć; Ance się nie udało. Musiała wyjść z pracy, co oznaczało, że emocje, które nią kierowały, były naprawdę silne. Tylko o co jej chodziło? O to, że przeze mnie rozpadł się jej związek z Tomkiem? Nie, ten temat zamknęliśmy jakiś czas temu. O to, że swatałam ją z Piotrkim? Sama powiedziała... Nagle mnie olśniło. Może ja nie myślę logicznie, może czasem nie pamiętam, jak się nazywam, może notorycznie zapominam o odkręceniu zaworu przy destylatorze, co grozi wysadzeniem całego laboratorium, ale nawet w swoim stanie jestem zdolna rozpoznać miłość. Bo dlaczego dziewczynie miałoby przeszkadzać, że jakiś chłopak będzie miał dziecko? Dlatego, że nie z nią je będzie miał. Kinga się zakochała! No może nie od razu zakochała, ale Piotrek nie był jej tak całkiem obojętny, skoro była o niego zazdrosna. Super. Ciekawe, czy Piotrek wie. Muszę mu o tym natychmiast powiedzieć. Miałam tylko nadzieję, że to nie on nagadał jej takich głupot, realizując tym samym swój szlachetny plan pomocy ciężarnej przyjaciółce bez jej wiedzy i zgody.

Zeszłam z chodnika na trawnik, żeby nie zagradzać ludziom przejścia – byłam już rozmiarów sporej barykady. Zgrabnie ominęłam dwie psie kupy i włączając w trzecią (Czemu ludzie nie sprzątają po swoich zwierzakach?!), wyjęłam komórkę.

– Cześć, Piotrek. – Na szczęście odebrał. – Co słyhać? – Zawsze o to pytam, nawet jeśli dzwonię w interesach. A potem się złoścę, jak ludzie zaczynają smęcić na mój koszt.

– W porzo. O co chodzi? – Piotrek szanował moje pieniądze bardziej niż ja.

– Czy powiedziałeś komukolwiek coś, co mogłoby sugerować, że moje dziecko to twoje dziecko?

– Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi, ale chyba nie. – Śmiał się.

– Skup się. Czy rozmawiając z jakimś znajomym lub znajomą, nie powiedziałeś, że jestem w ciąży, a ty masz zamiar mi pomagać lub coś

takiego? – wprawnie prowadziłam przesłuchanie.

– Nie rozmawiałem z nikim o twojej ciąży.

– Nawet z Kingą?

– Nawet z nią – odpowiadał grzecznie, ale był już chyba znużony.

– Posłuchaj, nie bardzo mogę rozmawiać. Czy możesz się wyrażać jaśniej?

– Tak. Więc postaraj się sobie przypomnieć, czy rozmawiając z Kingą...

– Daj spokój, nie jestem chory umysłowo. Nie rozmawiałem z nikim o twojej ciąży. Nie jestem babą i nie plotkuję. – Zirytował się. Ja też. Bo skoro Kinga nie wiedziała od niego, to skąd?

– Czy mówiłeś Kindze... – Piotrek chrząknął z niecierpliwością.

Nic to, ważne, żeby się nie rozłączył – ...że ją kochasz czy coś takiego?

– Nie.

– To zrób to jak najszybciej. Ona cię kocha! – wykrzyknęłam entuzjastycznie.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – westchnął. Nie wiedzieć czemu, nie zaraził się moim entuzjazmem.

– Nic mi nie przyszło. Ja to wiem. Zadzwoń do niej, proszę. Pamiętaj, że jeśli odmówisz kobiecie w ciąży, zalęgną ci się myszy.

Przeszła mu irytacja. Przypomniał sobie, w jakim jestem stanie. Roześmiał się.

– Dobra, ale jeśli nic z tego nie będzie, powiem, że to moje dziecko.

– Jasne. Wpadnij wieczorem, to uzgodnimy szczegóły. Pa!

Teraz mogłam się zgodzić na jego propozycję, ponieważ wiedziałam, że to tylko żart. Jemu i Kindze się uda. Z tej mąki będzie chleb. I to taki z chrupiącą skórką.

Nie mogłam się doczekać wieczoru. To takie romantyczne. Ciekawe, czy do niej zadzwoni, czy będzie wolał powiedzieć jej osobiście. Wyobrażałam sobie sceny jak z najpiękniejszych romansów. Kiedy doszłam do takiej, w której Piotrek na białym koniu galopuje przez zaśnieżony ogród botaniczny, uznałam, że posuwam się za daleko i że należy do niego zadzwonić. Ale miał wyłączony telefon. Stan ten nie uległ zmianie przez następne cztery godziny. Nagrałam się ze



dwadzieścia razy i wysłałam sto SMS-ów. Bez odzewu. Miałam nadzieję, że się nie pomyliłam i że Kinga nie dała mu kosza, a on nie skacze właśnie z dachu kościoła Świętej Elżbiety.

Przed jedenastą zadzwonił telefon. Gdyby nie fakt, że spałam, poczułabym ulgę.

– Coś się stało? – zapytał Piotrek. – Dzwoniłaś do mnie z milion razy.

– Przecież umówiliśmy się, że wpadniesz wieczorem – wyjaśniłam uprzejmie.

– Tak? – równie uprzejmie się zdziwił. – Umknęło mi, przepraszam. Potrzebujesz mnie? Przyjść teraz?

– Nie. Rozmawiałaś z Kingą?

– Rozmawiałem.

Czekałam chwilę na szczegóły, ale się nie doczekałam. Wszystko muszę z niego wyciągać.

– No i co? – Płonęłam z ciekawości.

– Nic.

– Powiedziałaś jej i co ona na to? – Zaczęłam się złościć. Przecież jest lekarzem, nie wie, że ciężarnej nerwy szkodzą?

– Rozmawiałem z Kingą, ale się jej nie oświadczyłem ani nie wyznałem jej miłości. Drań ze mnie, bo nawet nie zapytałem, jak się czuje – roześmiał się swobodnie.

– No wiesz! Daję ci kolejną szansę, a ty ją marnujesz. Nie mogłeś tego zrobić po mojemu? – zapytałam nerwowo.

– Wiesz, gdybym słuchał twoich rad, byłbym w siódmym miesiącu ciąży – kpił ze mnie. – Pozwól, że teraz ja zajmę się moim życiem, moim związkiem, twoim życiem i twoim związkiem. Może uda mi się naprawić to, co ty fenomenalnie zepsułaś.

To się nazywa czarna niewdzięczność. Ja się staram, a on się naśmiewa. Tak bardzo, bardzo chciałam, żeby byli razem. Zaraz! Czy nie powiedział przypadkiem „moim związkiem”?

Nazajutrz zadzwoniłam do niego. Chciałam mu powiedzieć, że nie czuję urazy. Nie odebrał. Spróbowałam jeszcze kilka razy, ale bezskutecznie. Nie odbierał. Tak samo było z Kingą – żadnego odzewu do wieczora. Dlatego następnego dnia obudziłam się z poczuciem

przerazającej pustki. W moim życiu nie było już nikogo. Rok temu miałam najfajniejszą na świecie paczkę przyjaciół. Mogliby o nas film zrobić. Teraz byłam zupełnie sama. Anka, Piotrek, Kinga, Tomek. Chciałam tylko, żeby byli szczęśliwi. Wyszło na odwrót. A na dodatek nikt z nich nawet nie docenił moich dobrych chęci. Przypomniałam sobie, co mówią o dobrych chęciach. To prawda. Właśnie byłam w małym prywatnym piekle.

Okazało się, że niepotrzebnie panikowałam. Piotrek miał spotkanie i wyłączył telefon, a potem po prostu zapomniał go włączyć.

## Miesiąc VIII

Przez środek wielkiego jak piłka plażowa brzucha biegła ciemnobrązowa smuga – *linea nigra*. Nie podobało mi się to. Nie mogłam zdecydować, co bardziej mi się nie podoba – ta linia czy pępek.

Lekarz spokojnie obmacywał mój brzuch. Zadowolenie na jego twarzy mnie uspokajało. Ciągle się bałam, że z dzieckiem może być coś nie tak. W książce, którą czytałam, były opisy powikłań mogących się pojawić w czasie ciąży. Nie najlepsze samopoczucie plus wybujała wyobraźnia sprawiały, że bardzo się niepokoiłam.

– Czy zdecydowała pani, w którym szpitalu chce pani rodzić?

– Prawdę mówiąc, nie zdecydowałam jeszcze, czy w ogóle będę rodzić – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Myślę, że lepiej byłoby się zastanowić. W ostatniej chwili może pani zmienić zdanie.

– Może mi pan coś doradzić?

Już jakiś czas temu mój lekarz powiedział, że nie jest związany z żadnym szpitalem. Poza prywatną praktyką przyjmował w przychodni.

– Proszę przejść się po oddziałach położniczych. Może atmosfera któregoś zrobi na pani dobre wrażenie. Tylko odradzam zwiedzanie wszystkich. Trzy wystarczą.

– Jasne. Może znajdę czas.

Prawdę mówiąc, oczekiwałam czegoś w stylu: „Cały maj i czerwiec będę na panią czekał w szpitalu X, a kiedy pani się zdecyduje rodzić, proszę przyjść, wtedy w miarę bezboleśnie wyjmę z pani dziecko”.

A jednak posłuchałam jego rady i poszłam odwiedzić oddział położniczy. Żeby nic mnie potem nie zaskoczyło. Może nie być czasu na zadawanie pytań.

Kobieta w rejestracji, którą zapytałam o drogę, popatrzyła na mnie zdezorientowana.

– Rodzi pani? – zapytała. – Bo jak tak, to najpierw na izbę przyjęć.

– Nie, nie rodzę, chciałam tylko... – pomyślałam, że „pozwiedzać”

zabrzmiał głupio – odwiedzić koleżankę – skłamałam.

– Odwiedziny są od siedemnastej – wyjaśniła recepcjonistka.

– Aha, dziękuję – powiedziałam i ruszyłam w stronę windy.

Myślałam, że mnie zatrzyma, więc szybko wymyśliłam historyjkę, że chcę tylko zobaczyć dzidziusia przez szybę. Jednak nic takiego się nie stało. Widocznie uznała, że nie ma co sobie robić kłopotu, bo się zdenerwuję i zacznę rodzić.

Zauważyłam, że większość ludzi traktowała mnie jak bombę. Na ulicy omijali mnie dużym łukiem. W rozmowie ustępowali, nawet jeśli nie miałam racji. Przepuszczali w kolejce. Ale nie z szacunku dla mojego odmiennego stanu ani nawet z grzeczności, tylko z obawy, że nagle zzielenię na twarzy i zacznę krzyczeć „rodzę!”, a oni będą musieli się mną zająć.

– O co chodzi? – zapytała pielęgniarka w niebieskim fartuchu.

– Niedługo rodzę – poinformowałam niepotrzebnie, bo przecież było widać. – Myślałam... zastanawiałam się nad tym szpitalem.

Chciałam rzucić okiem na oddział, jeśli można.

Pielęgniarka skinęła głową. Przez zaciśnięte zęby rzuciła „proszę”. Poszłam za nią. Zaprowadziła mnie do pomalowanej na niebiesko sali z wysokimi łózkami. Na jednej ze ścian były drabinki, a w kącie leżała duża zielona piłka i worek sako.

– To jest sala przedporodowa. Na porodową nie może pani wejść, bo jest tam pacjentka. Pokażę pani salę do porodu rodzinnego.

Od poprzedniej różniła się tym, że była mniejsza, stało w niej jedno wysokie łóżko i nie było drabinek.

– Ma pani jeszcze jakieś pytania?

Nie bardzo wiedziałam, o co mogę zapytać.

– Może chce pani zobaczyć jeszcze sale? Mamy sześć-, cztero i dwuosobowe. I oczywiście rooming – dodała z dumą.

Wypowiedziała to jak roaming, więc pomyślałam, że ma to związek z telefonami komórkowymi. Czyli co, kobieta rodzi i rozmawia przez komórkę? To już lekka przesada.

– Coś jeszcze? – ponagliła. – Pacjentki czekają.

Podziękowałam, a pielęgniarka uciekła, zadowolona, że tak szybko się mnie pozbyła.

Prawdę mówiąc, liczyłam na długą przemowę o zaletach szpitala i jego wyższości nad innymi. Jednak kiedy weszłam do drugiego, zrozumiałam, w czym rzecz. Oddział wyglądał identycznie jak w poprzednim szpitalu. Tylko piłka była niebieska. Zrozumiałam, dlaczego mój ginekolog powiedział, że wystarczy obejrzyć trzy. Różniły się jedynie kolorem piłek. I po to ta cała akcja z rodzeniem po ludzku? Żeby dostała piłkę na pociechę, bo i tak skończę na łóżku? Przecież te kolosy nie stoją tam dla ozdoby.

Muszę koniecznie porozmawiać z Piotrkiem. On chyba jest najlepiej zorientowany, jeśli chodzi o opinię na temat oddziałów położniczych. Zanim zdążyłam to zrobić, temat podjęła moja mama. Pomysł rodzenia we Wrocławiu wcale się jej nie podobał. Uważała, że najlepszym rozwiązaniem byłoby, gdybym urodziła w naszym szpitalu, bo znała kilka pielęgniarek i dwóch lekarzy na ginekologii. Jeden z nich był nawet kiedyś jej uczniem. Może nie ma do niej żalu o jakąś pałę? Chyba tak właśnie zrobię. Muszę się tylko dowiedzieć, czy mają piłki, bo samo wsparcie znajomych nie wystarczy. To będzie plan B. Plan A zakładał, że zacznę rodzić nagle i nie będę musiała podejmować decyzji.

Żeby tylko mama przy mnie była.

Lekarz patrzył ze zdziwieniem na mój brzuch. Też na niego spoglądałam. Był płaski! Miałam na sobie biały bawełniany podkoszulek. I nic więcej.

– Wygląda pani zniewalająco. – Zerwał się z biurka i podszedł do mnie.

Staralam się obciągnąć podkoszulek jak najniżej, ale bezskutecznie.

– To niepotrzebne. Tak jest lepiej. – Wyciągnął ręce w jednoznaczny geście. W jego oczach widziałam pożądanie. Nie powiem, żeby mi się to nie podobało. Podeszłam bliżej i pozwoliłam się objąć. Jego ręce wędrowały po moim ciele. Wszystko byłoby super, gdyby tylko nie było tak gorąco. I duszno. Strasznie duszno. W końcu do mnie dotarło, że powinnam zdjąć z głowy koc. Od razu pomogło. Odetchnęłam głęboko. Kurczę, znowu miałam erotyczny sen.

Ostatnio prawie wszystkie były takie. Przewijali się przez nie znani

aktorzy i zupełnie nieznani faceci. Najczęściej główne role męskie grali Richard Gere i Tomek, eks Kingi. Dziwne, bo ani jeden, ani drugi nie wydawał mi się atrakcyjny. Mój lekarz wystąpił po raz pierwszy. Miałam nadzieję, że ostatni, bo głupio mi będzie w czasie kolejnej wizyty. Nigdy nie myślałam, że seksualny głód może stanowić problem. Nigdy nie byłam mniszką, ale moje seksualne apetyty nie wychodziły poza miły i spokojny seks z własnym chłopakiem raz na tydzień. W książce o ciąży pisali, że libido albo rośnie, albo spada. A ponieważ biednemu zawsze wiatr w oczy, moje rozrosło się gigantycznie. Chodziłam lekko rozochociona i byłam gotowa zgwałcić każdego w miarę niebrzydkiego faceta. Tylko mój wielki brzuch utrudniał mi realizację.

Właściwie nadmierny apetyt seksualny nie był wcale największą niedogodnością w ciąży. Nie wiem, dlaczego dotąd byłam przekonana, że to najpiękniejszy czas z życia kobiety. Widocznie dałam się omamić propagandzie. Jak to mówią: „Reklama dźwignią handlu”. Określenie „nudności poranne” to czysty eufemizm. Chciało mi się rzygać przez cały dzień, nawet przez sen czułam mdłości, niemal każdy dzień witałam, klęcząc nad sedesem. Fakt, przeszło mi pod koniec czwartego miesiąca, ale wspomnienia pozostawiły niezatarty ślad w mojej pamięci. Teraz zresztą też nie trzeba było dużo, wystarczył na przykład zapach surowego mięsa, żeby mój żołądek radośnie pozbył się tego, co w nim było. A zgaga? Nigdy w życiu nie myślałam, że to takie okropne. Podobny efekt może dać tylko połknięcie zapalniczki. A krwawiące dziąsła? Gdyby mnie ktoś zapytał, co było największym osiągnięciem nauki, bez zastanowienia odpowiedziałabym, że odkrycie witaminy C i jej zbawienne działanie na skorbut. Chociaż podejrzewam, że nie był tak dokuczliwy jak to, przez co przechodzę ja i moja jama ustna. Jednak najgorsze, absolutnie najgorsze były hemoroidy. Zawsze myślałam, że ta przypadłość dotyka starych, grubych i brzydkich facetów. A okazało się, że może też dotknąć mnie i że muszę iść do apteki i kupić jakiś środek. Zażenowana szepczę: „Coś na hemoroidy proszę”, a ładna, szalenie szczupła farmaceutka mówi: „Mamy hemorol, hemodin i hemorectal”. Mówię, że wszystko jedno, a ona na to: „Woli pani maść czy czopki?”. Ludzie patrzą na mnie z ciekawości. No no, ona ma hemoroidy, a nie

wygląda. Ja się czerwienię, pot płynie mi po plecach, rozsypuję drobne. A potem żałuję, że jednak nie wzięłam czopków.

I żeby mi to wszystko wynagrodzić, natura daje mi tylko wielki, piękny i jędrny biust. Trochę obolały, ale nie szkodzi. I co z tego? Mogłabym go nosić całkiem na wierzchu, facetów i tak to nie rusza. Patrzą na mój brzuch i odwracają wzrok. Ich samczy instynkt mówi: „Ta samica będzie miała wkrótce młode z jakimś innym samcem. Szkoda energii, lepiej udać się tam, gdzie istnieje szansa na przekazanie swoich genów”.

Tak, w moim życiu było kilka fajnych okresów – wakacje po podstawówce, cały rok przed maturą, początek studiów. Cięża zdecydowanie do nich nie należała.

Zgodnie z obietnicą złożoną Piotrkowi przemyślałam, jak rozwiązać problem, który nieoczekiwanie pojawił się w moim życiu. Najprostszy scenariusz zakładał, że biorę telefon, dzwonię do Rafała i informuję go, że musimy się spotkać. Spotykamy się, ja mu mówię, a on w wariancie optymistycznym się cieszy, a w pesymistycznym wszystkiego się wypiera, żąda testów na potwierdzenie ojcostwa i na koniec pozywa mnie za uwiedzenie, gwałt oraz próbę wyłudzenia, bo jest przecież prawnikiem.

Nie chciałam myśleć o Rafale źle. Po prostu nie wiedziałam, co mam myśleć. W Karpaczu wydawał się miły, serdeczny, opiekuńczy i odpowiedzialny. Wydawał się czy był? Powiedziałam, że potrzebuję czasu, bo założyłam, że spławi Ankę, tymczasem on zaczął się z nią umawiać. Głupia byłam. Wydawało mi się, że przyjaźń jest dla mnie ważniejsza. Teraz nie miałam ani przyjaciółki, ani chłopaka, tylko wielki brzuch.

Wracałam z zajęć. Wiosna gościła w kalendarzu już od czterech tygodni, ale jeszcze kilka dni temu nie uważała za słuszne zawracać sobie tym głowę. Dopiero wczoraj wzięła się do roboty. Słońce grzało mocno i dosłownie wszystko w koło eksplodowało zielenią, ptaki darły się jak opętane, a ja postanowiłam wysiąść z tramwaju kilka przystanków wcześniej i pospacerować.

Myślałam o dziecku. Termin jego pojawienia się na świecie nadchodził nieubłaganie. Myślałam też o jego ojcu i kiedy pojawił się

przede mną na ulicy, stwierdziłam, że to moja wyobraźnia. Oboje jednocześnie się zatrzymaliśmy. Staliśmy naprzeciwko siebie. Rozważałam ucieczkę, ale w moim stanie było to trudne i niebezpieczne.

Rafał patrzył na mnie z pewnym zdziwieniem.

– Co za spotkanie!

– Spaceruję.

– Mogę się przyłączyć?

Ocieplana sportowa bluza kupiona na wyprzedaży w dziale męskim skrywała mój stan. Kusiło mnie, żeby ją rozpiąć i wesoło zakrzyknąć: „Kinder niespodzianka!”.

– Śpieszę się do domu, mam dużo pracy, wiesz, studia...

– Tak cię pochłonęły, że nie znalazłaś czasu, żeby do mnie zadzwonić?

– Może.

– Wiesz, dziwnie się zachowujesz. Jest fajnie, a potem spotykamy się na mieście i ty uciekasz. Nie dzwonisz. Nie odbierasz. Nie oddzwoniasz. Jak mam to sobie tłumaczyć?

Zrobiło mi się gorąco i mocniej zacisnęłam poły bluzy. Nie tak to miało wyglądać. Gdzie są te cholerne disnejowskie króliczki i piosenka o miłości?

– To skomplikowane. Przepraszam, muszę iść.

– Masz kogoś? W zasadzie nie mój interes.

A właśnie że twój, pomyślałam. Jakbyś się z nim nie pchał gdzie nie trzeba, to wszystko potoczyłoby się inaczej. Rozżaliłam się.

– Nie ja, tylko ty. Żegnaj! – rzuciłam melodramatycznie.

– Nie ma szans, że porozmawiamy?

– Już porozmawialiśmy.

Odeszłam, a on, jak każdy normalny facet, nawet nie próbował mnie gonić. W domu płakałam prawie do rana, czekając, że zadzwoni, bo tym razem byłam gotowa odebrać. Nie zadzwonił.

Nadszedł w końcu długo oczekiwany dzień, kiedy w szkole rodzenia miały się odbyć zajęcia dla ciężarnej i osoby, która będzie asystować przy porodzie. Babcia już od tygodnia była w pełnej gotowości. Kupiła sobie dres i zmówiła niezbędne modlitwy. Była bardzo podekscytowana.



Przywiózł ją pan Antoni. Kiedy my miałyśmy ćwiczyć masaż i oddechy, on planował grać w karty z moim gospodarzem.

Dzień był ciepły i ładny. Babcia pytała o moje studia i samopoczucie. Zaczęłam jej opowiadać o dziecku i złapałam się na tym, że sprawia mi to przyjemność. Szkoda, że na co dzień nie mam nikogo, z kim mogłabym się podzielić opowieścią o reakcji na słodycze, nerwach i kopniakach malucha.

Kiedy dotarłyśmy do szkoły rodzenia, ja poszłam do szatni się przebrać, bo mimo ładnej pogody nie chciałam pokazywać się na ulicy w kreacji Różowa Świnka. Babcia dziarsko pomaszerowała na salę.

Dziewczyny z grupy przywitały mnie serdecznie. Z entuzjazmem przyjęły wiadomość, że przyszłam z babcią. Uznały to za słodkie. I szczerze żałowały, że same na to nie wpadły. Po co ciągnąć na siłę chłopów, którzy wcale nie chcą uczestniczyć w porodzie, natomiast ci, co chcą, mdleją w najważniejszym momencie. Śmiałyśmy się i żartowałyśmy, a wspólne poglądy zbliżyły nas do siebie.

Wchodząc na salę, usłyszałam głos babci. Właśnie wypytywała małego karakana, co mu się urodzi. Bo nam oczywiście syn. I niech się nie martwi, że dziewczynka, co prawda nie jest już młody, ale może jeszcze spróbować. Niech się w tej intencji pomodli do świętego Józefa. Karakan okazał się mężem tej miłej szatynki, którą poznałam na pierwszych zajęciach.

Na szczęście przyszła instruktorka. Ucieszyła się z obecności babci. Przywitała serdecznie „miłą panią”, na co babcia zareagowała wesołym: „Jaka tam pani, mówcie mi Halina”. Uradowana instruktorka powiedziała, że jej zdaniem kobiety zbyt często lekkomyślnie decydują się na obecność ojców dzieci przy porodzie. A przecież chodzi o to, żeby taka osoba dawała wsparcie ciężarnej, która jest najważniejsza. U ludów pierwotnych to kobiety asystują przy porodach. Zwłaszcza kobiety tak mądre i doświadczone jak babki. Zresztą to dlatego my zostałyśmy obdarzone przez naturę przywilejem rodzenia dzieci, bo jesteśmy lepiej do tego przystosowane pod wszystkimi względami. Ta feministyczna gadka chyba nie bardzo podobała się tatusiom, za to moja babcia była zachwycona.

Instruktorka skończyła pogawędkę i mogliśmy przejść do części

praktycznej. Najpierw był masaż relaksujący, przydatny w pierwszej fazie porodu. Myślałam, że babcia wymasuje mi dziurę w plecach, tak energicznie wzięła się do roboty. Potem ćwiczyliśmy rozluźnienie. Nie bardzo mi szło, bo babcia cały czas szeptała mi do ucha, żebym się wreszcie rozluźniła, bo tej grubej obok lepiej to wychodzi.

Na koniec ćwiczyliśmy oddychanie. Oddech jest bardzo ważną częścią porodu. Podobno. Instruktorka mierzyła nam czas między skurczami, a my robiłyśmy uuuu, wdech i znowu uuuu. Przerwa na parcie i jeszcze raz.

– Przyj! – krzyknęła babcia, a kilku ojców popatrzyło na nią ze zdziwieniem. – Nie rozglądaj się, tylko przyj!

Udawałam, że prę.

– Teraz oddychaj! I znowu przyj! I jeszcze raz!

Sapnęłam głośno.

– Udało się! Pierwsi! – Wyrzuciła ramiona w górę w geście triumfu. Byłam czerwona, ale nie z wysiłku. Nie wiedziałam, gdzie oczy podziąć.

Kiedy wychodziliśmy z sali, karakan poinformował mnie, że babcia jest cool. A instruktorka uznała ją za najmiłą osobę, jaką spotkała na zajęciach. Babcia zapewniła wszystkich, że będzie się za nich modlić.

Mam dziwne wrażenie, że starym ludziom wolno więcej.

Kobiety stanowią połowę populacji. Jakkolwiek by patrzeć, jest nas około trzech miliardów i teoretycznie każda z nas będzie, była albo jest w ciąży. Dlaczego więc wszyscy nas olewają, a już konkretnie farmaceutyczne najbardziej? Zdaję sobie sprawę, że siadanie w tramwaju przed kichającym facetem nie jest zbyt odpowiedzialne. Ale przecież to mogła być alergia. Nie jestem nietolerancyjna, ludzie mają prawo się przeziębic. Zwłaszcza że właśnie dołączyłam do grona przeziębionych i mam szczerą nadzieję, że kichającego pana nie spotkała żadna z rzeczy, których mu niedawno życzyłam. Teraz moja złość skoncentrowała się na producentach leków, bo dowiedziałam się, że jeśli jestem osobą rozsądną i odpowiedzialną, to nie zażyję żadnego z niosących ulgę leków przeciwgrypowych. I co ja mam teraz zrobić? A jeśli temperatura będzie rosła? Przy czterdziestu dwóch stopniach ścina się biało! Boję się

o siebie. Nie mówiąc o dziecku. Boję się panicznie. Czy ktoś rozumie ten strach?

Kiedy uspokoiliam się na tyle, że ręce trzęsły mi się tylko trochę, postanowiłam zmierzyć temperaturę. Okazało się jednak, że paskowy termometr przykładany do czoła nie jest miarodajny. Przy gorączce wskaźnik powinien być czerwony, przy braku – zielony, mój był z całą pewnością fioletowy. Zwlokłam się więc po schodach do gospodarza. Zapukałam do drzwi, które oddzielały jego supersalony od mojego skromnego poddasza.

– Rodzisz! – krzyknął. To, co zobaczyłam w jego oczach, to była panika.

– Nie. Nie rodzę – powiedziałam bardzo spokojnie dużymi literami, żeby zrozumiał.

– Nie wyglądasz za dobrze – stwierdził.

– Chyba się przeziębiłam. Przyszłam pożyczyc termometr.

– Wejdz. – Ruchem ręki zaprosił mnie do środka. – Zaraz poszukam.

Stałam na środku pokoju. Rzadko tu przychodziłam, choć byłam bardzo mile widziana. Pan Włodek, a może Władek, polubił moje towarzystwo. Samotność mu dokuczała, a nie miał pomysłu, jak sobie z nią poradzić.

– Siadaj. – Gospodarz wskazał mi fotel. Sprzątnął ze stołu brudne naczynia i stos koszul. – Właśnie zabierałem się za prasowanie.

Przez chwilę słyszałam hałasy w kuchni. I kilka niecenzuralnych słów, kiedy coś spadło z głośnym brzękiem.

– No jest nareszcie. Proszę.

Strzepnęłam termometr i włożyłam go pod pachę.

– Chcesz jakieś lekarstwo? – zapytał.

Pewnie, że bym chciała. Aspiryna i po sprawie, tylko przypadkiem jestem w ciąży.

– Praktycznie niczego nie mogę wziąć – wyjaśniłam.

– To w takim razie zrobię ci herbaty z miodem i cytryną. – Poszedł do kuchni. – Jak trzeba będzie, to zawiozę cię do lekarza, nie martw się. Tymczasem może jakieś domowe sposoby. Co powiesz na żydowską penicylinę?

– Co takiego? – Zdziwiło mnie to określenie.

– To. – Postawił przede mną talerz parującego rosołu. – Moja żona tak mówiła. I jak tam z temperaturą?

– Trzydzieści siedem i pół.

– Stan podgorączkowy. Jeszcze nie panikujemy. Jemy rosół. –  
Sobie też przyniósł dużą porcję.

– Boję się, że temperatura będzie rosła – pożałowałam się.  
Machnął ręką.

– Nie pozwolimy jej. Dolać? – Pokręciłam głową. – No to śmigaj na górę. Połóż się i dobrze okryj. A ja zorganizuję jakiś miód i cytryny.

Nie mogłam zasnąć. W końcu wyjęłam telefon i zadzwoniłam do swojego lekarza.

– Rodzi pani? – Czy to jakaś zmowa?

– Przeziębilałam się.

– O, to fatalnie. Przez tę pogodę. Osobiście nie lubię...

Cóż za niepoważny człowiek! On chce rozmawiać o pogodzie, kiedy ja chcę, żeby razem ze mną panikował? Przerwałam mu.

– Bardzo się boję o dziecko.

– Ono się nie zarazi – uspokoił.

– Wiem. Czy to może mu zaszkodzić?

– Jeśli w dalszym ciągu nie pozwoli się pani rozśmieszyć, to raczej tak. Może być skazane na smętną matkę. Tak poważnie, ciąża trwa dziewięć miesięcy. To dość długo i wielu kobietom zdarza się w tym czasie mieć infekcje. Małemu nic nie będzie.

– Na pewno?

– Proszę położyć się do łóżka, dużo pić, zjeść jakiegoś cytrusa i się nie martwić. To moja dobra rada.

– Dziękuję. – Roześmiałam się.

– O! Już słyszę, że pani lepiej.

Wcale nie było mi lepiej. Postanowiłam zasięgnąć porady z innego źródła. Nie dzwoniłam do Piotrka ostatnio, licząc, że w wolnym ode mnie czasie układa sobie życie. Jednak strach o dziecko był silniejszy.

„Zaraz będę”, powiedział, kiedy poinformowałam go, co się stało. I rzeczywiście przyjechał szybko. Zmierzył mi temperaturę. Przygotował herbatę lipową i karmił miodem. Ze sto razy przekonywał, że dziecku

nic nie będzie.

Z pewną ulgą zasnęłam. Sen podziałał jak najlepsze lekarstwo, bo po przebudzeniu czułam się prawie dobrze. Na nocnym stoliku znalazłam słoik syropu z cebuli. W dzieciństwie go nie cierpiałam, ale teraz wypięłam, wdzięczna za bezinteresowną pomoc.

– Możemy spotkać się jutro w barze na Rynku? – głos Piotrka brzmiał dziwnie. Próbowałam zgadnąć, co w nim słychać. Ekscytację? Smutek?

– Po co czekać do jutra, spotkajmy się dziś.

– Nie – padło po chwili wahania. – Jutro, okej?

Zgodziłam się. Już wiedziałam, że coś się za tym kryje. Przyjęłam wersję optymistyczną – to musi mieć związek z jego studiami i chce się ze mną podzielić dobrą nowiną. Nie powiedział przez telefon, bo wieści tak przekazywane nie mają odpowiedniej siły rażenia. Oczywiście złośliwy chochlik przysiadł mi na ramieniu i cały czas szeptał, że sprawa dotyczy Kingi, która okrutnie odebrała Piotrkowi wszelkie nadzieje. Ani przez moment nie pomyślałam, że to nie o mojego przyjaciela chodzi.

Zacząłam się szykować dwie godziny przed spotkaniem. Niby o wiele za wcześnie, ale kiedy robi się wszystko dwa razy wolniej... Włożyłam legginsy w kwiaty i turkusową tunikę i wyglądałam prawie normalnie. Prawie. Szkoda, że nie mogłam zdjąć brzucha i zostawić go w szafie. Zrobiłam makijaż, ukrywając przebarwienia pod warstwą matującego podkładu. Pociągnęłam rzęsy tuszem i zamrugałam zalotnie. Nieźle. Przeciągnęłam włosy szczotką, nic więcej nie musiałam z nimi robić. Zawsze były ładne, a teraz mogły bez stylizacji grać w reklamie szamponu – masa jedwabistych brązowych loków.

Wsunęłam stopy w balerinki. Kupiłam je, kiedy okazało się, że potrzebuję nie tylko ciężowych ubrań, ale również butów z odpowiednią ilością miejsca na opuchliznę. Stopy i krzyż miały w ciąży najgorzej i, zanedbywane, bolały.

Wyszłam z domu idealnie, ale tramwaj utknął w korku. Spóźniłam się kwadrans. Wchodząc do knajpy, rozglądałam się za Piotrkim. Tłok był okropny, przy każdym stoliku siedziało po kilka osób. Gwar wypełniał salę. Wypatrzyłam przyjaciela, siedział przy oknie. Ruszyłam w jego kierunku z uśmiechem. Kiedy podeszłam, zorientowałam się, że

nie jest sam. Ktoś z nim siedział. Mężczyzna, widziałam plecy i tył głowy. Zawahałam się. Wtedy Piotr mnie zauważył. Wstał. Precisnęłam się między stolikami. Piotrek powiedział „cześć” i właściciel pleców się odwrócił. Uśmiechnął się do mnie, a potem ten uśmiech umarł. Zabił go mój brzuch. Witaj w Krainie Nieplanowanej Cięży, słodki, my tu się nie uśmiechamy.

– Siadaj – powiedział Piotrek. Zdziwiło mnie, jak idiotycznie może brzmieć to słowo.

– Nie, dzięki. Muszę spadać. – Odwróciłam się. Złapał mnie za rękę. Zatrzymał.

– Powinniście porozmawiać.

Zabawne, do rozmowy trzeba dwojga. Tymczasem ja nie miałam ochoty, a sądząc z miny Rafała, nie wykrztusi z siebie słowa przez najbliższe trzy doby.

– To nie ma sensu. Spadam stąd. – Wyrwałam się i rzuciłam w stronę wyjścia. Gwar przycichł, ludzie obserwowali nas z zaciekawieniem. Preciskałam się między stolikami, Piotrek szedł za mną, nieskładnie próbując mi wytłumaczyć, że powinnam zostać. Zamilkł, kiedy na całą knajpę krzyknęłam, żeby się odpierdolił.

Wybiegłam na ulicę. Nie patrzyłam, w którą stronę idę. Niósł mnie gniew. Nagle poczułam okropny ból w pachwinie. Zatrzymałam się. Instynktownie złapałam się za brzuch i rozejrzałam za miejscem, gdzie mogłabym usiąść. Żadnej ławki. Przysiadłam na parapecie wielkiego okna wystawowego. Chwilę później ze środka wyszła zatroskana dziewczyna.

– Rodzi pani? – zapytała. Sprawiała wrażenie przestraszonej. Nic dziwnego – była w moim wieku.

– Nie. Wszystko w porządku – uspokoiłam ją, ale nie wyglądała na przekonaną. – To chwilowe. Muszę odpocząć.

– Wejdzie pani do środka? Może wody?

Pomyślałam, jaki kłopot jej sprawiłam. Bez słowa podniosłam się i powoli ruszyłam przed siebie. Nie tylko jej – sobie, rodzicom, Rafałowi. Przeciągnęłam ręką po policzku. Na palcach zostały czarne smugi.

Przestałam odbierać telefony od Piotrka. Rafał nie zadzwonił.

Powoli szykowałam się do wyjazdu, zwanego powrotem do domu. Choć „powoli” nie jest tu odpowiednim słowem. Spakowałam wszystkie niepotrzebne już rzeczy do wielkiego kartonowego pudła. Ojciec miał po nie przyjechać nazajutrz. Uporządkowałam notatki w wielkim skoroszycie. Zrobiłam listę artykułów do pracy magisterskiej, żeby jeszcze przed wyjazdem poszukać ich w bibliotece. Zadzwoiłam do promotora i umówiłam się z nim na spotkanie. Nie był tym zachwycony, więc powiedziałam coś o ostatniej okazji, by ujrzeć mnie w jednym kawałku. W każdej chwili mogę zacząć rodzić. Zgodził się i byłam pewna, że ogarnął go paniczny strach na myśl o rodzeniu w jego gabinecie. Na koniec zaznaczyłam w książce o ciąży listę rzeczy niezbędnych do porodu. Chciałam to wszystko kupić sama, ale mogłam nie zdążyć, niech mama wie, czego szukać. Byłam lekko wyczerpana. Jednocześnie miałam ogromną satysfakcję. Czulałam się tak, jakbym wiele zrobiła, chociaż właściwie nie zrobiłam nic.

Ten, kto zaprojektował szafki katalogowe, nigdy nie był w ciąży. Nie dość, że stały blisko siebie i nie mogłam się między nie wcisnąć, to jeszcze interesujące mnie szuflady były albo za nisko i nie byłam w stanie się schylić, albo za wysoko i nie dosięgałam. Jak już udało mi się wysunąć szufladę, to żeby wypełnić rewers, musiałam iść do stolika i usiąść na chybotliwym krześle.

– Przepraszam. – Dziewczyna w okularach zwróciła się do mnie. Zastanawiałam się, czy chce przejść, na co nie było szans, bo utknęłam, czy ma pretensje, bo uderzyłam ją szufladą? Nie udało mi się jeszcze żadnej wyjąć, nie zawadzając o kogoś. Był to nie lada wyczyn, ponieważ o tej porze w bibliotece przebywało bardzo mało osób.

– Zaraz się przesunę, przepraszam – bąknęłam.

– Nie, nie o to chodzi. Tam są komputery z dostępem do katalogu.

– Wskazała ręką na małą salkę na górze. – Może byłoby ci łatwiej?

– Dzięki. – Ucieszyłam się. Kurczę, dlaczego nikt nie umieścił na drzwiach informacji: „Ciężarne mogą korzystać z komputerów”?

Windy. Gdyby ich nie było, należałoby je wymyślić. Bardzo praktyczne urządzenia. Jak pomyślę, ile razy wchodziłam po schodach, bo nie chciało mi się czekać, aż przyjedzie. Teraz wolałam poczekać niż wnosić po schodach wór skórnny wypełniony dzieckiem. Ciekawe, czy

brzuch to najlepsze rozwiązanie. Co by było, gdybyśmy nosiły ciężę na plecach? Na pewno trudniej byłoby kłaść tam ręce, ale może kręgosłup znosiłby to lepiej. Mój bolał.

– Imponujące. – Tak Olszewski skomentował górę kartek, którymi zaścieliłam jego biurko. – Właściwie mamy już gotową pracę magisterską. Musi pani to tylko uporządkować. Myślę, że mogę ją zaakceptować. Jest szansa na obronę na początku czerwca.

– Raczej nie.

– Dlaczego? – Spojrzał na mnie niedowierzająco.

Popatrzyłam wymownie na swój brzuch.

– Aha. To zaiste może być przeszkoda. Początek lipca, co pani na to?

Na początku lipca będzie już po wszystkim. Chyba nikt nie każe mi chodzić w ciąży dodatkowy miesiąc? Dziewięć to i tak za długo.

– Mogłoby być, ale nie wiem, czy zdołam przywieźć panu pracę do sprawdzenia.

– Nie ma potrzeby przywozić, proszę mi wysłać mejlem. Możemy się też porozumiewać przez komunikator internetowy. To bardzo wygodne. Proszę sobie zanotować mój numer.

Możemy się też porozumiewać telefonicznie. To równie wygodne, pomyślałam. I co to właściwie jest komunikator internetowy? Nie cierpię, jak dorośli udają, że znają się na komputerach, ale za nic nie użyją takich słów jak „fejs” czy „skype”.



## Miesiąc IX

– Czy już wybrała pani szpital? – Lekarz zdjął okulary i pieczołowicie wycierał szkła irchową szmatką.

– Myślę, że pojadę do rodzinnego miasta i tam urodzę.

– Czyli nie we Wrocławiu? – Wydawał się rozczarowany. Okulary wróciły na nos.

– Po urodzeniu dziecka i tak będę musiała jechać do domu, to dwie godziny samochodem.

– No tak, jasne. – Pokiwał głową. – Proszę mi podać namiary tego szpitala.

Uśmiechnęłam się.

– Tam jest tylko jeden, na dodatek na ulicy Szpitalnej. – Na kartce, którą mi podał, zapisałam adres. Przypiął go zszywką do mojej karty.

– Pamięta pani, że w przyszłym tygodniu jesteśmy umówieni na USG? – Kiwnęłam głową. Irytujące były pytania, czy pamiętam. Wszystko pamiętałam, tylko czasami krótko. Czasami długo, choć wtedy myliły mi się dni i godziny. Ratował mnie terminarz w telefonie. – Świetnie. Chciałbym panią potem zobaczyć jeszcze przynajmniej raz z wynikami. Da się to zrobić?

– Myślę, że tak.

– No to teraz obejrzyjmy brzusek.

Powędrowałam na fotel. Lekarz obmacał moją wielką krągłość, a potem posłuchaliśmy bicia serca.

– W zasadzie po terminie powinna się pani zgłaszać do mnie co drugi dzień, ale rozumiem, że to niemożliwe – powiedział, kiedy skończył badanie. – Zrobimy tak: dam pani kopie karty i innych dokumentów. Pokaże je pani tamtejszemu lekarzowi. Cokolwiek by pani mówiono, po terminie proszę robić KTG. A jak już się zacznie, proszę zadzwonić. Muszę przy tym być.

Trudno mi było uwierzyć, że zechce mu się jechać taki kawał, może nawet w nocy.

– To dwie godziny jazdy samochodem.

– Więc proszę to wziąć pod uwagę i poinformować mnie odpowiednio wcześniej.

– Jest mi bardzo miło, ale czy będzie się panu chciało jechać?

– To narodziny pierwszego dziecka, jakim się zajmowałem. Uważa pani, że mógłbym przegapić taką okazję?

– No nie – odpowiedziałam.

Muszę sobie gdzieś zapisać, żeby w przyszłości przy wyborze położnika kierować się jego doświadczeniem, najlepiej sześćdziesięcioletnim. Nigdy, przenigdy nie będę się sugerowała wyglądem zewnętrznym. Będę pytać o referencje. Nawet dentystę zapytam, czy już kiedyś borował. Pierwsza ciąża, jaką prowadził! Przecież to tak jakbym wsiadła do samolotu z pilotem, który do tej pory latał na symulatorze. Poczułam się jak świnka doświadczalna. Co, jeśli popełnił błąd? Teraz naprawdę się boję.

Z przyjemnością posprzątałam swoje poddasze. Wcale nie było to łatwe. Nie mogłam się schylać, nie mogłam się wspinać, brzuch wchodził w pole widzenia. Mimo to byłam zadowolona z efektów pracy – czyściutko.

Kiedy skończyłam, zesłałam na dół. Mój gospodarz oglądał program informacyjny. Nie robił praktycznie nic innego. Jeśli akurat nie było wiadomości w telewizji, słuchał ich w radiu. Trudno się dziwić, że nie ma znajomych.

– Przyniosłam panu klucze.

Popatrzył na mnie zdezorientowany.

– Dlaczego?

– Jutro wracam do domu. Wyprowadzam się.

– Ejże! A obrona, egzaminy?

– Będę przyjeżdżać.

– Nie powiem, żebym się cieszył, że wyjeżdżasz. Chociaż cały czas się zastanawiałem, co bym zrobił, gdybyś nagle zaczęła rodzić. – Nie on jeden, mnie to też spędzało sen z powiek. Ciąża nie była niczym przyjemnym i właściwie powinnam z utęsknieniem czekać na moment, kiedy się skończy. Było jednak odwrotnie. – Przyzwyczaiałem się do ciebie. Byłoby fajnie, gdybyś została. Nawet z dzieckiem.

Ależ miło! Podziękowałam i zgodziłam się zatrzymać klucze do

czasu, kiedy postanowię, co dalej. Wkładając je do torebki, pomyślałam, że to amulet i że ich magiczna moc zatrzyma mnie we Wrocławiu. To było moje miejsce na ziemi.

Rano przyjechał po mnie tata. Razem z gospodarzem znieśli resztę rzeczy do samochodu. Dotarło do mnie, że właśnie skończyłam studia. Nie tak to miało wyglądać. Miała być obrona, superczarna sukienka, kwiaty, szampan, rejs statkiem po Odrze i szaleństwo do białego rana. Obiecałam wszystkim znajomym, że jak skończę studia, zatańczę w fontannie na Rynku. Dwie wielkie łzy spłynęły mi po policzkach.

\*

Tak jak podejrzewałam, w domu strasznie się nudziłam. Wychodziłam na spacer, ale przestałam, ponieważ za każdym razem spotykałam kogoś, kto wyrażał szczere zdziwienie moim stanem. Nie miałam pretensji, sama wciąż nie mogłam uwierzyć, choć minęło już dziewięć miesięcy. Jednak tłumaczenie się z brzucha jak z jakiegoś przestępstwa było dla mnie przykre.

Kiedy już ciekawość, skąd ta ciąża, została zaspokojona, następowały rutynowe pytania, zawsze te same. Czy istnieje jakaś społeczna umowa dotycząca tematów, które można poruszać z ciężarnymi, czy po prostu uważa się je za osoby tak nudne, że nie warto nawet pytać, co ostatnio czytały, jakie mają poglądy polityczne lub komu kibicują w aktualnej edycji talent show? Każda rozmowa miała dokładnie ten sam przebieg. Najpierw pytano, czy wiadomo już, co to będzie. (Za każdym razem miałam ochotę powiedzieć, że dziecko). I czy na pewno chłopiec, bo ułożenie brzucha wskazuje na dziewczynkę. Przecież bardzo zbrzydłam (serdecznie dziękuję), a wiadomo, że córka odbiera urodę. Jedni znajomi byli przekonani, że urodzi się chłopiec, a urodziła się dziewczynka, bo lekarz się pomylił. Nie miałam ochoty mówić, że osobiście widziałam dowód na superkolorowym USG w 3D. Potem padało pytanie, kiedy urodzę, a po mojej odpowiedzi stwierdzano, że co ja tam mogę wiedzieć o terminie. Byli tacy, którzy uważali, że nie urodzę przed lipcem, i tacy, którzy twierdzili, że poród nastąpił w kwietniu. A na koniec: czy zamierzam karmić piersią. Myślałam, że karmienie piersią to sprawa natury, nie wyboru, ale widocznie się

myliłam. Jak zresztą we wszystkim. W końcu zamknęłam się w domu, odcinając się od tych nawiedzonych specjalistów od ciąży.

\*

Nigdy nie powinnam się była na to zgodzić! Nawet nie podejrzewałam, że coś, co się tak miło zapowiada, może okazać się horrorem. Ten straszny film miał tytuł „Mama, babcia i ja załatwiamy sprawunki”. Założenie było takie – połazimy po sklepach i ja (podkreślam JA) pooglądam wózki, łóżeczka i może coś wybiorę.

W naiwności swojej sądziłam, że będzie to przyjemne łażenie po sklepach, miłe gawędzenie i może ewentualnie kupienie jednej czy dwóch rzeczy.

Rzeczywistość wyglądała tak, że babcia wytaszczyła ze sklepu dwie wielkie torby. W jednej znajdowała się karuzela do łóżeczka z jakimiś dziwnymi misiami o mordkach idiotów, a w drugiej becik. Ani ja, ani mama go nie chciałyśmy, zgodnie twierdząc, że jest za gorąco. Sprytna sprzedawczyni wyczuła, że babcia jest konserwatystką. Wspomniała coś o majowych przymrozkach, chłodnych czerwcach i tak długo zachwalała wysoką jakość bawełny, że babcia się złamała. „Jeszcze mi podziękujesz”, powtarzała co chwila, wymachując torbą.

Mama natomiast kupiła masę batystowych kaftaników, bo teraz trudno je dostać, więc od razu lepiej wziąć więcej, tuzin pieluch tetrowych, bo nie ufa tym nowoczesnym wynalazkom, może dziecko będzie miało alergię, tyle się teraz o tym słyszy. Na to babcia ją ofuknęła i zakupiła megapaczkę jednorazowych pieluch, patrząc na córkę z wyższością. Mama kupiła jeszcze gumowe kaczuszki, butelki, smoczki i nożyczki. Kiedy tłumaczyłam jej, dlaczego nie potrzebujemy uroczej różowej szczoteczki do włosów, rzuciła przez moje ramię znaczące spojrzenie babci, a ta pobiegła ze szczotką do kasy, dorzucając gryzaczek i grzechotkę.

Siłą powstrzymałam je od kupienia podgrzewacza do butelek.

Chwilę spokoju miałam, gdy się kłóciły o marynarski komplecik. Myślałam, że oczy sobie wydrapią. W końcu doszły do porozumienia. Uznały, że zapłaci za niego babcia, a mama dokupi buciki i czapeczkę. Jak mi w to wystroją Jaśka, jego kumple zaplują się ze śmiechu.

Okrutnie zmęczona, poprosiłam, żebyśmy wracały już do domu.

– Ależ, kochanie, nie obejrzałyśmy jeszcze wózków – zaczęła babcia. – Zrobmy to, skoro już tu jesteśmy.

Jeśli uda nam się tam dojść. Wózki stały na drugim końcu sklepu. Jakies dziesięć metrów od nas. A nam przejście czterech zajęło dwie godziny.

Dwie grzechotki i trzy pary skarpetek później w końcu dotarliśmy do wózków.

– Ten jest ładny. – Pokazałam na zgrabny, niebieski wózek. Był ze spacerówką i miał trzycyfrową cenę.

– Za tani – stwierdziła babcia, a mama energicznie jej przytaknęła.

– To chyba nie ma znaczenia? – odparłam.

– Ma – zaproponowała twardo babcia. – Myślisz, że powiozę mojego prawnuka – z naciskiem na słowo „prawnuka” – do kościoła w czymś takim? Co, nie stać mnie? – Prychnęła jak rozzłoszczony kot.

– Ten jest ładny. – Pokazałam na popielaty trójkołowiec z wielką torbą i głęboką gondolą.

– Kochanie – mama przybrała ton, jakim mówi się do nieszkodliwych wariatów – to nie jest ładny kolor.

– Ale praktyczny, nie będzie widać brudu – odparłam.

Mama z wrażenia nie wiedziała, co powiedzieć, ale wyręczyła ją babcia.

– Jak się zabrudzi, to kupimy nowy.

Tym razem zatkało mnie. Czy ktoś w nocy podmienił te dwie rozsądne kobiety, czy tylko usunął im mózgi?

– W czymś pomóc? – zapytała uprzejmie ekspedientka.

– Szukamy dobrego wózka z gondolą i spacerówką – wyjaśniła mama.

– I parasoleczką – dodała babcia.

– Lekkiego i praktycznego – dorzuciłam.

– Może ten? – Wskazała na niebieski, który zaproponowałam na początku.

– Nie! – zgodnie wykrzyknęły mama i babcia.

– To może ten? – Pokazała błękitny wózek z granatowymi lamówkami. – Klientki chwalą. Dobrze się prowadzi i jest bardzo

stabilny.

Babcia spojrziała z uznaniem na cenę.

– Ten jest lepszy.

– I kolor ma ładny. Taki chłopięcy – zachwyciła się mama.

– To naprawdę dobry wózek – powiedziała sprzedawczyni, rzucając mi współczujące spojrzenie, bo mama i babcia właśnie ekscytowały się koroneczką przy budce. – Będzie pani zadowolona.

Miałam już wszystko, co potrzebne dla dziecka. Nawet o wiele więcej. Trudno mi było uwierzyć, że tak małej człowiek musi mieć tyle rzeczy. Śpioszki, kaftaniki, wózek, pieluszki, mydełko, oliwki, smoczki, kocyki i grzechotki. Niektóre przedmioty widziałam pierwszy raz w życiu i musiałam czytać instrukcje obsługi, żeby się dowiedzieć, do czego służą.

Trudno mi było znieść ból kręgosłupa, obrzęki kostek i wielki brzuch, który musiałam zabierać ze sobą wszędzie, gdzie szłam. Męczyło mnie bezsensowne miotanie się po mieszkaniu i wrażenie, że powinnam się miotać, za każdym razem, gdy usiadłam.

Wykańczało mnie obserwowanie, nasłuchiwanie, a przede wszystkim czekanie. I ciągle przepakowywanie torby, którą miałam zabrać do szpitala.

A moje dziecko nie wykazywało żadnego zrozumienia i ani mu się śniło przychodzić na świat.

## Rozwiązanie

Było już pięć dni po terminie. Babcia codziennie wyrażała niepokój, że jednak nie urodzę w maju, niby czerwiec też dobry, ale wolałaby maj. Doradzała bieganie po schodach i modlitwę do świętej Doroty, żeby rozwiązanie nastąpiło wcześniej.

Razem z mamą gapily się na mnie w napięciu, jakby poród dało się przegapić. Aby choć na chwilę od nich uciec, chodziłam na badania, zgodnie z zaleceniami lekarza.

Wspinałam się ulicą Szpitalną. Pomyśleć, że kiedyś nawet nie odczuwałam, że idzie się do szpitala pod górkę. Trochę się zasapałam. Wejście do budynku było niedaleko. Należało przejść sto metrów ulicą wzdłuż muru, za którym znajdował się przyszpitalny park. Pot spływał mi po plecach, więc postanowiłam gdzieś przysiąść i odpocząć. Mój wybór padł na wiatę przystanku autobusowego. Ciężko opadłam na ławeczkę i czekałam, aż moje serce się uspokoi.

Na ulicy było prawie pusto. Jakaś emerytka wracała z zakupów, ciągnąc za sobą torbę na kółkach. Młoda matka tłumaczyła dziecku, dlaczego niebo jest niebieskie. W oddali zamajaczyła postać młodego mężczyzny, maszerował energicznie. W krzakach wróble kłóciły się o coś zażarcie, gwizdnął kos. Wokół roznosił się zapach kwiatów. Wonie ostatnich kiści bzów mieszały się z zapachem konwalii i róż. Jeszcze kwitły kasztany. Było bardzo przyjemnie. Przymknęłam na chwilę oczy. Pod powiekami pojawiły się ciepłe, słoneczne kolory. Rozluźniłam się.

– Jak na ciężarną masz niezłą kondycję. Myślałam, że cię nie dogonię.

Moje serce najpierw się zatrzymało, a potem mało nie dostałam palpacji. Otworzyłam oczy, bo myślałam, że mam omamy słuchowe. Nie! Obok mnie stał Rafał. Oparł się o ściankę wiaty. Splótł ręce na brzuchu i patrzył gdzieś w dal. Miał na sobie obszerną bluzę z kapturem i sprane jeansy. Mimo bzów, ulicy i odległości czułam zapach jego skóry w tym zagłębieniu między szyją i ramieniem.

– Co ty tu robisz? – zapytałam. To było jedyne, co mogłam z siebie

wydusić.

– Szukałem cię – odpowiedział ze śmiechem, chowając do kieszeni komórkę. – Nie było łatwo. W domu cię nie zastałem, więc poszedłem do twojej babci w nadziei, że wie, gdzie cię mogę znaleźć. Bez GPS-u bym przepadł.

– Skąd znasz moją babcię?

– To znajoma mojego dziadka.

– A twój dziadek to kto?

– Nie pamiętasz? Przecież ci mówiłem – Antoni Bełza.

Byłam pewna, że niczego takiego nie mówił. Zabawne, wcale nie są podobni. Chciałam mu o tym powiedzieć w dowcipny sposób, ale poczułam ostre łupnięcie w kręgosłupie, które rozeszło się na cały brzuch. Skurcze miałam już od jakiegoś czasu, ale ten był wyjątkowo mocny. Syknęłam.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoił się Rafał.

– To tylko skurcz. – Chyba go nie uspokoiliam. – Skurcz be-ha, od jakiegoś trudnego nazwiska, którego nie mogę zapamiętać. Kobieta w szkole rodzenia tłumaczyła, że to tak, jakby macica stroiła instrument przed wielkim koncertem – paplałam ani mądrze, ani zabawnie i chyba nie powinnam była używać słowa „macica”.

– Ty tu jesteś specjalistką.

Jasne, jestem.

– To moje, prawda?

Nie miałam siły wykrztusić słowa. Skinęłam głową.

– Dlaczego nie chciałaś mi powiedzieć? – zapytał po chwili.

– Nie wiem – odrzekłam zgodnie z prawdą.

– Nie sądzisz, że miałem prawo wiedzieć?

Miotaly mną krańcowo sprzeczne uczucia. Z jednej strony miałam ochotę się do niego przytulić, z drugiej skopać mu krocze.

– A ty nie sądzisz, że miałam prawo... – Wybrałam wersję agresywną i zaczęłam ostro. Ale straciłam impet. Bo właściwie do czego miałam prawo? Nagle całe moje postępowanie straciło sens. – ...nie chciać ci mówić? – dokończyłam żałośnie.

– Dlaczego?

No właśnie, dlaczego? Dobre pytanie. Kolejny skurcz. Gdyby



wyjątkowo duży słoń kopnął mnie w plecy, ból byłby porównywalny. Wcześniej tak nie bolało. Podejrzywałam, że to ze zdenerwowania.

– Ze względu na Anię – powiedziałam, kiedy ból minął.

– Co ona, do cholery, ma z tym wspólnego?

– Ania powiedziała mi, że się w tobie zakochała. Chciałam dać jej szansę.

– Aha. – Lekko skinął głową. Potem popatrzył na mnie tak, jakby chciał mi zajrzeć do serca, i zapytał: – Dlaczego?

Poczułam się osaczona. Na takie pytanie istniała tylko jedna odpowiedź. To przecież nie moja wina, że wyszło inaczej. Uznałam rozmowę za skończoną i wstałam. Spokojnie pójde sobie na badania. Rafał już wie, więc sprawa załatwiona.

Myślałam, że coś powie, ale on się tylko na mnie patrzył.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć, Karolina...

Po prostu: kocham cię. Wzruszyłam się, bo na to przez cały czas czekałam.

– ...ale chyba zrobiłaś siku.

Rzeczywiście czułam lekkie ciepło na nogach. Spojrzałam w dół, ale zobaczyłam tylko swój wielki jak mandarynka pępek.

– Wody mi odeszły – zapiszczałam przerażona.

– To coś groźnego? – zapytał Rafał.

Czy to coś groźnego? Idiota! Jesteś idiotą, który przegapił całą moją ciążę! Taki karakan od szatynki od razu by wiedział, że należy reagować. Chciałam to powiedzieć, ale zdecydowałam się na łagodniejszą wersję.

– To znaczy, że niedługo zostaniesz tatą.

Rafał zbladł. Ja też, bo właśnie na moim kręgosłupie usiadł brachiozaur. Aż mi tchu zabrakło.

Rafał drżącą ręką sięgnął do kieszeni i wyjął telefon.

– Jaki jest numer do pogotowia? – zapytał. – Kurczę, pozmieniali te numery, kiedyś było dziewięć, dziewięć, dziewięć, a teraz sto ileś, pamiętasz?

– Po co ci pogotowie?

– No przecież rodzisz! – zapiał, jakby przechodził mutację.

– Wiesz, chyba dam radę przejść sto metrów, ten duży budynek to

szpital.

Rafał chwycił mnie mocno pod ramię. Pisnęłam z bólu, kiedy wykręcał mi rękę. Chyba pomyślał, że to z powodu kolejnego skurczu, bo przycisnął mnie mocniej i przyśpieszył. Jak dotrę do szpitala, to zamiast na porodówkę będę musiała iść na chirurgię, żeby mi połamane nogi i ręce zagipsowali.

– Spokojnie. Nie ma powodu do paniki – uspokoiliam. – Dziecko nie wypadnie ze mnie tak od razu.

Prawdę mówiąc, nie byłam tego pewna. W książce pisali, że po odejściu wód płodowych poród postępuje dość szybko. Czemu byłam tak nierozsądna i nie zrobiłam sobie ściągi? W końcu to najważniejszy egzamin w moim życiu. Niech mi ktoś przeliczy „dość szybko” na minuty!

– Dobrze, że cię znalazłem – mówił Rafał. – Powinienem być pojawić się wcześniej...

Tak sobie myślę, że w ogóle nie powinieneś się być pojawiać. W alternatywnej rzeczywistości ten dzień wygląda inaczej: siedzę na ławce w ogrodzie botanicznym i przygotowuję się do obrony. Na sąsiedniej ławce usiadła matka z dzieckiem. Przyglądam im się ukradkiem. Myślę, że kiedyś też chciałabym mieć dziecko. Kiedy już się obronię i zdam na studia doktoranckie. W tym czasie staż, może dwa. I koniecznie muszę się nauczyć trzeciego języka. Może hiszpańskiego?

– ...ale potrzebowałam czasu, żeby sobie to poukładać. Trudno mi było pogodzić się z myślą o twojej ciąży.

A co by było, gdybyś się nie pogodził? Wyparcie? Zapomnienie? Przez te dziewięć miesięcy albo Rafała idealizowałam, albo demonizowałam. A to jest zwykły człowiek, ze słabościami. W tej chwili wyjątkowo irytujący.

– Piotrek do mnie zadzwonił i zaprosił na piwo. Nie powiem, zaskoczył mnie. Jeszcze bardziej, kiedy zaczął o ciebie wypytywać. Co o tobie myślę i takie tam. Powiedziałem, że w Karpaczu coś między nami iskrzyło, potem dziwnie się zachowywałaś i chyba dam sobie spokój, a on na to: „Przemyśl to jeszcze, powinniście porozmawiać”. Wtedy zjawiasz się ty i po swojemu nic nie mówisz, tylko uciekasz. Kiedy poszłaś, zapytałem Piotrka, kto jest ojcem. Mało w mordę nie

dostałem.

Nic straconego, przemówił przeze mnie ból. Piotrkowi też się należy. Nie można się bez pytania mieszać w życie innych ludzi.

Upokorzenie i zawstydzenie – kiedyś myślałam, że to właśnie odczuwa kobieta, której w miejscu publicznym odchodzą wody płodowe. Bałam się tego. Jak widać, niepotrzebnie. Bo oto szłam powoli uliczką prowadzącą do szpitala, za mną na chodniku zostawał mokry ślad, a ja pałałam chęcią mordy. Wiedziałam jednak, że to uczucie jest skutkiem ubocznym działania adrenaliny i tylko maskuje ten wielki strach. Bałam się jak nigdy w życiu. Bałam się o dziecko.

Na przodzie szedł brzuch, potem ja z odkręconym zaworem, a pochod zamykał Rafał. Był zdenerwowany. Poznałam to po głosie. Niektórych ludzi uspokaja mówienie i on do nich należał.

– Tłumaczyłem sobie, że to jakiś żart. Że to niemożliwe. Widziałem cię na ulicy i nie wyglądałaś... Potem policzyłem i doszedłem do wniosku, że to się mogło stać. Nie wierzyłem. W dalszym ciągu nie wierzę. Widzę cię, widzę brzuch, a myślę, że to nie dzieje się naprawdę. W końcu postanowiłem z tobą porozmawiać. Co wcale nie było łatwe. Nie mogłem cię znaleźć.

Marzenia, w których Rafał na wieść o dziecku dawał mi bukiet czerwonych róż, różniły się od rzeczywistości. Bolały słowa: „potrzebowałem czasu”, „nie wierzyłem”. W głębi serca wiedziałam, że tak się stanie, i dlatego chciałam jak najdłużej żyć marzeniami.

– Nie musisz tu być, jeśli masz wątpliwości.

– Oczywiście, że mam. Gdybym mógł...

Cofnąłbyś czas, ja też.

– ...cofnąłbym czas. Ale to niemożliwe. Jesteś w ciąży i muszę to ogarnąć, zachować się odpowiedzialnie.

Bóg nienawidzi kobiet. Teraz to wiem. Nie dość, że znosimy niedogodności ciąży i ból porodu, to na dodatek musimy znosić facetów.

Rafał chciał jeszcze coś powiedzieć, ale doszliśmy do szpitala. Mało nie straciłam zębów, kiedy próbował jednocześnie podtrzymywać mnie i otwierać drzwi.

Kobieta w rejestracji – wielbicielka lakieru do włosów – była bardzo zajęta uderzaniem palcem w przypadkowe klawisze na

klawiaturze. Uznała chyba, że jeśli nie nawiąże ze mną kontaktu wzrokowego, to się zdematerializuję, a ona nie będzie musiała przerywać.

Wsparłam się o kontuar. Wody płodowe zachlupotały mi w tenisówkach. Chrząknęłam.

– Słucham? – Rejestratorka patrzyła na mnie tak, jakby nie wiedziała, po co tu przyszedłam.

– Chyba... – Skurcz odebrał mi na chwilę mowę.

– ...ona rodzi – wyjaśnił za mnie Rafał.

Powiedział „ona” czy „żona”?

Kobieta westchnęła.

– Dowód, numer ubezpieczenia, termin porodu, ostatnie badania – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Wyszarpnęłam z plecaka teczkę ze wszystkimi dokumentami i po kolei podawałam je lakierowanej.

– Termin minął pięć dni temu – poinformowałam, żeby groza sytuacji w pełni do niej dotarła.

– Co ile ma pani skurcze?

– Cały czas – odpowiedział za mnie Rafał. Rejestratorka się skrzywiła. Mogła mi wybaczyć, że zawracam jej głowę porodem, ale czy koniecznie musiałam zabrać ze sobą faceta? Z nimi zawsze są kłopoty.

– Mniej więcej co trzy minuty – skorygowałam.

– Proszę usiąść i poczekać, zaraz ktoś do pani przyjdzie – powiedziała beznamiętnie i wróciła do bawienia się klawiaturą.

Dowlokłam się do rzędu krzeseł i ciężko opadłam na jedno. Rafał zaczął nerwowo chodzić po poczekalni. Regularnie co trzydzieści sekund pytał, kiedy ktoś przyjdzie. Nie wie, że powinien być siłą spokoju?

W końcu przyszła pielęgniarka. Drobną, sympatyczną kobiecina. Wyglądała na pięćdziesiąt lat. Farbowane na ciemną wiśnię włosy mocno związała na karku. Miała przyjazne spojrzenie i miły uśmiech.

– Trzecie drzwi na lewo – pokazała. – Pani się przebierze, zaraz przyjdę.

Weszliśmy do małego pomieszczenia. Nie bardzo wiedziałam, dlaczego Rafał idzie za mną. Nie wiedziałam, w jaki sposób go odesłać.

I czy właśnie tego chcę – zostać sama, bez jednej znajomej duszy.

– Dlaczego się nie przebierasz? – zapytał.

– Nie szłam rodzić. Torbę mam w domu. Zaraz zadzwonię do mamy, to mi wszystko przywiezie. Na razie poczekam, aż wróci pielęgniarka i da mi szpitalną koszulę.

– Mam lepszy pomysł – powiedział i zdjął bluzę. Miał pod nią dużą, szarą koszulkę. – Włóż to. Będziesz się czuła lepiej niż w szpitalnym ubraniu.

Zdjęłam tunikę i naciągnęłam jego podkoszulek. Uchwyciłam spojrzenie Rafała. Jak zaklęty wpatrywał się w mój wielki brzuch ze sterczącym brzydko pępkiem. Szybko obciągnęłam koszulkę. Sięgała mi prawie do kolan. Zdjęłam buty i spodnie. Złożyłam wszystko równo i wsadziłam do plecaka. Potem zaczęłam się denerwować, że nikt się nie zjawia.

– Bardzo cię boli? – zapytał pełnym współczucia tonem.

– Spoko, nie jest tak źle – skłamałam. Zrobiło mi się go żal. Stał twarzą w twarz z czymś, czego nie rozumiał, i nie potrafił mi pomóc. Właśnie teraz do mnie dotarło, po co chodziłam do szkoły rodzenia. Może nie bardzo wiedziałam, co się stanie, ale powiedziano mi, czego mogę się spodziewać i jak sobie z tym radzić. Gdyby Rafał był tam ze mną choć raz, mógłby teraz masować mi plecy. A tak stał wystraszony i nie do końca przekonany, czy dziecko w moim brzuchu to jego problem.

Po stu okropnych skurczach w końcu pojawiła się pielęgniarka.

– Dlaczego pani nieprzebrana? – zapytała, a widząc moje pytające spojrzenie, wyjaśniła: – Majtki też zdjąć. Ogolona pani?

Na nogach?

– To zaraz ogolę. Ma pani prawo się nie zgodzić, ale może dojść do zakażenia. No i lekarze potem narzekają. Czyli golimy?

W szkole rodzenia mówili, że golenie to przeżytek, że nikt już tego nie robi. Kłamali czy trafiłam w złe miejsce?

Zanim się zorientowałam, leżałam na kozetce, a pielęgniarka fachowo nakładała pianę. Miałam nadzieję, że Rafał z przyzwoitości się odwrócił. Gdzie tam! Stał za pielęgniarką i z zaciekawieniem patrzył, co robi. W życiu nie byłam tak zawstydzona. Myliłam się. Najgorsze miało

dopiero nadejść.

– Kiedy był stolec? – zapytała pielęgniarka.

Moje policzki zapłonęły żywym ogniem.

– Rano – wyszeptałam.

– To musimy dać czopka. – Podeszła do szafki, pogrzebała i podała mi kawał wazeliny. – Pani się nie krępuje, tylko wkłada – przynagliła. A widząc spojrzenie, które rzuciłam w kierunku Rafała, zachichotała. – Pan już widział te miejsca, co nie?

Pan miał minę jak piętnastolatek, który ogląda pornosa.

Pielęgniarka w końcu uznała, że należy zakończyć moje tortury.

– Teraz zawiozę panią na oddział – oświadczyła.

– Mogę pójść.

– Pewna jesteś? – zapytał Rafał.

– Tak – rzekłam stanowczo. Jeśli nie będzie mi pomagał, to nawet jest szansa, że dotrę w jednym kawałku.

Poszliśmy do windy. Kolejny skurcz. I strach. W szkole rodzenia mówili, że to jak droga na szczyt. Było raczej jak staczanie się w dół, po kamieniach, coraz szybciej i bardziej boleśnie. Co tam, jeszcze trochę i będę to miała za sobą, pocieszałam się.

Na oddziale trafiłam do sali przedporodowej. Położna szybko mnie zbadała.

– Rozwarcie na trzy palce – stwierdziła.

Wyjęłam z plecaka telefon, żeby zadzwonić do swojego lekarza.

– Już – rzuciłam do aparatu i się rozłączyłam. Po chwili telefon zabrzączał.

– Co już? – zapytał lekarz.

– Już rodzę – wyjaśniłam. – Przepraszam, że dopiero do pana dzwonię. Pewnie pan nie zdąży.

– Co się dzieje?

– Cały czas mam skurcze, wody mi odeszły pół godziny temu – raportowałam.

– Rozwarcie?

– Na trzy palce – rzuciłam tonem osoby, która wie, co mówi.

– Dobrze. Mam jeszcze dwie pacjentki i potem do pani jadę. Proszę się nie martwić, zdążę na pewno.

Akurat! Za trzy godziny dziecko już tu będzie.

Ledwo się rozłączyłam, kiedy znów zadzwonił telefon. Dzwoniła mama, która nie mogła znaleźć mojej torby. Później zadzwoniła babcia, która powiedziała, że już pędzi do szpitala, tylko po drodze wstąpi do kościoła i da na mszę, ale nie wie, czy jest jeszcze sens dawać w intencji łatwego porodu, czy już może dziękczynną za narodziny. W końcu zadzwonił tata z pytaniem, czy może przyjść, bo jak mama rodziła, to nie mógł, takie były przepisy. Potem przyszła położna i zabrała mi telefon. Powiedziała, że niepotrzebnie denerwuję siebie i dziecko. Trzeba było jednak wybrać szpital z roamingiem.

Czopek zadziałał i musiałam szybko iść do łazienki. Teraz bolały mnie nie tylko plecy i brzuch, ale też pupa. Wytoczyłam się na korytarz, gdzie czekał Rafał. Musiałam użyć argumentu siły, żeby go powstrzymać przed wchodzeniem za mną do toalety.

– Nie musisz tu ze mną być – powiedziałam. W ten sposób dawałam mu do zrozumienia, żeby sobie poszedł. Nie mogłam znieść jego spojrzenia, które pytało: Czy na pewno jesteś tą śliczną dziewczyną, którą bzyknałem w Karpaczu? Jeśli tak, to jakim cudem zamieniłaś się w Jabbę?

– Chyba chcę z wami być. To znaczy z tobą i dzieckiem. To będzie... to znaczy, czy to...

– Chłopiec.

– Będę miał syna – powiedział do siebie głębokim, poważnym i jednocześnie wzruszonym głosem.

Ogarnęło mnie dziwne uczucie. Déjř vu. Już to słyszałam. Znam tę scenę. Śniła mi się. Tylko we śnie tak bardzo nie bolało.

Przyszła położna i oplątała mnie masą pasków. Zapytana przez Rafała, wyjaśniła, że będzie monitorować tętno płodu.

– Niech się pani położy. Będzie lepiej.

Naiwnie jej posłuchałam i omal się nie udusiłam, przygnieciona własnym wielkim brzuchem. Przy pomocy Rafała spełzłam z łóżka. Wtedy przybiegła położna.

– Nie słyszę tętna! – krzyknęła. Popatrzyła na mnie z wyrzutem. – No co też pani wyrabia? Czujnik musi być na brzuchu. – Poprawiła mi kable. – Niech się pani położy, będzie lepiej.

– Jak się kładę, jest gorzej. Wolę chodzić. – Mój spacer ograniczał się do kroku w prawo i kroku w lewo, bo na tyle pozwalało mi okablowanie.

– No to proszę chodzić – mruknęła i wyszła. Była niesympatyczna, a mama mówiła, że to jakaś jej znajoma. Nie powinna dać mi czegoś przeciwbólowego, potrzymać za rękę czy coś?

Kolejny skurcz łupnął mnie w kręgosłup. Znowu przybiegła położna.

– Mówiłam, ma być na brzuchu. – Poprawiła aparaturę. – Chce pani chodzić, proszę bardzo, ale kable nie mogą się przesuwają.

Bałam się każdego kolejnego skurczu. Przerwy między nimi były takie krótkie. Rafał wyjął z kieszeni chusteczki higieniczne i wytarł mi czoło.

– Może poczekaś na zewnątrz? – zaproponowałam po raz kolejny.

– Nie zostawię cię samej – zaproponował bohatersko.

– Dam sobie radę. Zaraz przyjedzie moja mama.

– To wtedy sobie pójdę – obiecał. – Mogę coś dla ciebie zrobić? – zapytał troskliwie. Jego pytanie w połączeniu z falą bólu, która spłynęła mi po plecach, wyzwoliło we mnie agresję.

– Co miałeś dla mnie zrobić, już zrobiłeś. Teraz się Anią zaopiekuj – prychnęłam.

– Co ty z tą Anią?

– Nie sądzisz, że twoja dziewczyna powinna wiedzieć, co się dzieje?

Rafał spokojnie odpowiedział, że jedyna dziewczyna, jaka go interesuje, jest tu i wie, co się dzieje. Nie musi mi serwować takich sentymentalnych kawałków, drań.

– Mówisz mi takie rzeczy, a przecież się spotykacie – oznajmiłam z triumfem. Myślał, że nie wiem?

Popatrzył na mnie z mieszaniną zdziwienia i irytacji, jakby nie zrozumiał tego, co powiedziałam.

– To ma coś do rzeczy?

– A nie ma, skoro z nią chodzisz?

– Nie chodzę z nią.

– Powiedziałeś, że się spotykacie – rzuciłam z wielką pretensją, bo



znowu miałam skurcz.

– Bo to prawda. Tylko między „spotykać się, bo jesteśmy znajomymi”, a „spotykać się, bo się kochamy” jest spora różnica.

– Kwiaty jej kupiłeś. Widziałam! – nie dawałam za wygraną.

– Tak – przyznał, a ja sapnęłam z satysfakcją. – Umówiła mnie ze znajomym, który miał samochód na sprzedaż. Chciałem jej podziękować. Uwierz, nic między nami nie było.

Czy kłamczucha to tylko moje drugie imię?

– Chyba się na mnie obraziła, bo odrzuciłem zaproszenie na sylwestra. Chciałem pobyć z dziadkiem, wydaje się samotny. Od stycznia jej nie widziałem. Chociaż... jeszcze w lutym byliśmy na piwie. To tyle na ten temat.

Słowo „luty” zapaliło się w mojej głowie wielkimi czerwonymi literami, uświadamiając, że Anka mnie okłamała. Chciałam to powiedzieć, ale Rafał mi nie pozwolił. „Rodzisz moje dziecko, więc może skoncentrujmy się na tym”, upomniął. Zabrzmiało całkiem rozsądnie. Zwłaszcza że ból stawał się nie do wytrzymania.

Przyszła położna i znowu mnie zbadała.

– Dość szybko idzie. Na pewno chce pani stać? Proszę oszczędzać siły, będą pani potrzebne.

Na leżąco zupełnie nie radziłam sobie ze skurczami. Na stojąco było o wiele łatwiej. Dlaczego nie mam piłki? Chcę moją piłkę!

Poczułam, jak Rafał przytula się do moich pleców.

– Nie płacz, malutka, wszystko będzie dobrze, damy radę. – Pogładził mnie po głowie. Nawet nie wiedziałam, że płaczę.

– Gdybyś mi od razu powiedziała, wszystko potoczyłoby się inaczej.

– Nie wiedziałam. A potem było już za późno.

– Nigdy nie jest za późno na szczerść.

Tak, ale dla mnie zawsze jest na nią za wcześnie.

W końcu zjawiała się moja mama. Miała ze sobą torbę, ale nie mogłam się przebrać. Przecież nie rozbiore się przy mamie i Rafale jednocześnie.

Zapytałam, gdzie jest babcia. Mama wyjaśniła, że modli się w szpitalnej kaplicy, ponieważ uznała, że tak najlepiej pomoże. Jak to?

Przecież przeszła kurs w szkole rodzenia. Jest jedyną osobą, która wie, co robić, bo ja nie pamiętam.

– Dobrze, że chociaż ty jesteś – powiedziałam. A potem sobie przypomniałam o Rafale. – Mamo to jest... – No właśnie, kto? Ojciec dziecka to chyba najlepsze określenie.

– Może ja wytłumaczę. – Rafał wykorzystał moje wahanie. – Wyjdziemy na chwilę?

Nie było ich dłużej niż chwilę. Już zaczynałam się bać, że nie wrócą.

– Kochanie – powiedziała mama po powrocie, klepiąc mnie po ręce – pójde porozmawiać z lekarzem. Rafał się tobą zajmie.

Chciałam zaprotestować, ale już jej nie było.

– Co jej powiedziałaś? – zapytałam, kiedy wyszła.

– To, co powinien powiedzieć mężczyzna kobiecie, która ma prawo chcieć go zabić.

Błąd, mój drogi. Osobą, która ma prawo chcieć cię zabić, jestem ja.

– To znaczy? – dopytywałam, bo jego enigmatyczna odpowiedź mnie nie usatysfakcjonowała.

– Prawdę. Nic nie wiedziałem, bo mi nie powiedziałaś. Chcę być przy narodzinach swojego syna, nie myślałem jeszcze, co będzie dalej. Niczego się nie wypieram i pomogę ci w wychowaniu.

Już mi, cholera, pomogłeś! Nie uznałeś za stosowne trzymać penisa w ryzach. Czy to musi tak boleć?!

– Nie pozwolę, żebyś był przy porodzie. Jak się zaczniesz, to wyjdiesz! – ryknęłam.

Przestraszył się.

– Co tylko zechcesz – szepnął.

Chwilę potem pojawił się facet, który twierdził, że jest położnikiem w tym szpitalu. Zapytał, jak się czuję. Bardzo zabawne. „A jak pan myśli?” – spytałam. Tyranozaury urządziły sobie na mnie potańcówkę. Wszystko mnie bolało. Lekarz powiedział, że wszystko jest okej, i wyszedł. Po nim przyszła położna z informacją: „Mamy już za sobą połowę”; jeśli chcę, mogę się przenieść do sali porodu rodzinnego. Ryknęłam na nią, że jedyną rzeczą, jakiej chcę, jest znieczulenie, a ona znowu, że mamy już za sobą połowę i teraz pójdzie jak z płatka. Pewnie

nigdy nie rodziła. To nie było łatwe, miłe i przyjemne. Powoli, jak gigantyczny żółw, ruszyłam do sali porodu rodzinnego. Rafał mnie podtrzymywał. Za mną położna pchała stolik z aparatem. W sali do porodu była piłka. Nie miałam siły się z tego cieszyć.

– Poradzisz sobie sama przez chwilę? – zapytał troskliwie ojciec mojego dziecka. – Muszę zadzwonić do mamy.

– Przecież dopiero co z nią rozmawiałeś – zauważyłam trzeźwo.

– Do swojej mamy – wyjaśnił i wyszedł na korytarz.

No proszę! Była na świecie kobieta, z którą bym się w tej chwili nie zamieniła. Mam nadzieję, że mój syn nie zadzwoni, żeby mi powiedzieć: „Nie wrócę na noc, mamo, bo laska, z którą się przespałem dziewięć miesięcy temu, właśnie rodzi”. Przez chwilę było mi jej żal. Potem nadszedł skurcz i nie byłam zdolna do empatycznych uniesień.

W końcu pojawił się mój ginekolog. Dla odmiany mnie nie badał, tylko miło sobie pogawędził. Powiedział, że pójdzie się przebrać i na jakąś kawkę, bo całkiem nieźle idzie i do rana będzie po wszystkim. Jakie, do cholery, „do rana”? Zostanę tu jeszcze najwyżej godzinę. Jeśli do tego czasu dziecko się nie urodzi, to idę do domu obejrzeć wiadomości.

– Kim był ten facet? – zapytał Rafał po jego wyjściu.

– To mój lekarz – odpowiedziałam.

Naburmuszył się. Wyglądał jak chmura gradowa.

– Taki pierwszego kontaktu czy coś? – spytał niby obojętnie.

– Nie, ginekolog. Prowadził ciążę...

Rafał się zatrząsał. Zapytał, czy on mnie badał. Wyjaśniłam, że i owszem, co miesiąc, a nawet częściej.

– Nie mogłaś chodzić do innego?

A ty nie mogłaś nałożyć prezerwatywy dziewięć miesięcy temu? Gdybyś to zrobił, dziś nie musielibyśmy prowadzić tej durnej rozmowy.

– A co ci się w nim nie podoba? To bardzo dobry specjalista.

– Jest strasznie młody. I taki jakiś... Nie mogłaś chodzić do kobiety?

Powiedziałam, że nie, bo kobiety nie są tak delikatne. Ten zaś ma aksamitny – au! – dotyk.

– Super! – zirytował się Rafał. – Fajnie wiedzieć, że wkładał ci

paluchy....

Wtedy mu wygarnęłam, że jeśli on wkładałby mi tylko paluchy, tobym nie musiała przez to przechodzić. Chyba rozum postradałam, że w ogóle pozwoliłam mu się dotknąć, ale to był ostatni raz, bo już nigdy, przenigdy nie dopuszczę żadnego faceta do swoich majtek.

– Tak cię boli? – zlitował się Rafał.

Ja nie chciałam litości. Chciałam zemsty!

– Spróbuj wsadzić sobie cytrynę w tę dziurkę, którą siusiasz, a zobaczysz, jak boli!

Położna, która właśnie weszła, żeby mnie zbadać, zachichotała i zaproponowała, że może przynieść jedną ze stołówek. Myślałam, że jest po mojej stronie, ale kiedy wychodziła, powiedziała Rafałowi, żeby się nie przejmował, to normalne. Rodzące zawsze się drą (użyła słowa „drą”!) i wściekają na chłopów. A na koniec dodała, że ja i tak jestem łagodna, bo mało przeklinam.

Stałam oparta o wielkie łóżko i gryzłam palce. Jeszcze niedawno między skurczami następowały chwile przerwy, podczas których mogłam funkcjonować i prowadzić przyjacielskie pogawędki z ciągle obecnym przy mnie ojcem dziecka, ba! Półtoraminutowe przerwy wykorzystywałam na drzemki. Teraz ból był nieustanny. Instruktorka w szkole rodzenia powiedziała, że poród jest jak rozładowanie wagonu węgla. Bzdura! Jeśli używać kolejowej analogii, jest jak wagon węgla, którym ktoś w ciebie rzucił. W moim przypadku ten ktoś to typ, który stoi obok i głupio się szczerzy. Zdecydowanie jestem za kastracją.

W ogóle ta cała szkoła rodzenia jest do dupy. Wcale mnie nie przygotowano do porodu. Nawet nie wiem, która teraz jest faza, a przez to nie mam pojęcia, jak oddychać. Może lepiej nie oddychać, żeby nie wpaść w hiperwentylację? Szkoda babcinych pieniędzy. Z opieką nad dzieckiem pewnie będzie podobnie. Przypomniałam sobie, jak na zajęciach z pielęgnacji najpierw postawiłam bobasa na głowie, bo mu śpioszki nie chciały wejść, a potem go utopiłam w pustej wanience.

– Moje biedne dziecko, moje biedne maleństwo – biadoliłam. – Porzucone przez ojca, z taką koszmarną matką...

– Nie zaczynaj – upomniał mnie Rafał łagodnie.

– Ja nie zaczynam, ja kończę!

Była już noc, kiedy położna przyszła i powiedziała, że to już. Kazała wejść na łóżko i się położyć. Bardzo zabawne kazać kobiecie z brzuchem wielkości małego fiata wejść na piętrowe łóżko bez drabinki. Rafał ofiarnie pomagał, gdy się gramoliłam. Paski mi się poplątały. Z oczu lały się łzy.

Położna opłotła mnie jak trzeba, ułożyła mi nogi i wystawiła moje krocze na widok publiczny. Lekarze stali nad nim i spokojnie rozmawiali o konferencji w Jeleniej Górze na temat leków homeopatycznych. Położna kazała przeć. Nie mogłam przeć, bo wszystko mnie bolało, skurcz trwał, brakowało mi oddechu, a jedyne, co pamiętałam ze szkoły rodzenia, to żeby mocno zamknąć oczy, inaczej pękają naczynia krwionośne i wygląda się jak albinotyczny królik.

– Super! – To mój lekarz. – Świetnie sobie pani radzi. Jeszcze ze dwa, trzy razy...

Jakie dwa, trzy? Jeśli go natychmiast ze mnie nie wyciągną, to umrę. Co za idiotka tak się drze?

– A teraz z całych sił i...

Nagle cisza. Chyba już po wszystkim. Nawet nie było tak źle.

– Chce pan przeciąć pępowinę? – Usłyszałam głos położnej.

– Gdzie jest Jaś? – przestraszyłam się. Czy nie powinien krzyczeć? Coś jest nie tak! – Gdzie jest moje dziecko?!

– Wszystko w porządku – powiedziała położna.

W sali rozległ się potężny ryk. Mój syn zaprotestował przeciwko tak brutalnemu traktowaniu. Zdecydowanie chciał wrócić do środka, gdzie było ciepło i cicho. Lekarz położył mi dziecko na brzuchu.

– Cześć, maleńki. – Popatrzyłam w wielkie niebieskie oczy i odpłynęłam w niezmierny ocean miłości.

– Zabiorę go teraz do mierzenia i ważenia – wyjaśniła położna.

– Śliczne dziecko. I tak sprawnie to wszystko poszło. Jak się pani czuje? – zapytał mój lekarz.

– Super. Chyba mogę już iść do domu.

– O! Żartuje pani – zaśmiali się wszyscy.

Wcale nie żartowałam. Chciałam jak najprędzej stąd uciec i nigdy nie wracać.

– Zaraz panią ładnie zszyjemy. Boli?

Nic mnie nie bolało. Czy kiedykolwiek bolało? Próbowałam sobie przypomnieć to kopanie w kręgosłup, które czułam jeszcze niedawno. Na próżno. To wydarzyło się w odległych czasach, dawno temu, zanim się zakochałam. Jakby mi ktoś powiedział, że dla Jasia muszę codziennie przez coś takiego przechodzić, zgodziłabym się bez zastanowienia.

– Proszę spróbować odpocząć. – Położna przetarła mi czoło wilgotnym ręcznikiem.

– Nie jestem zmęczona.

– Wiem. Zaraz zawieziemy panią na salę poporodową.

Gdy przełożyli mnie z łóżka porodowego na szpitalne, poczułam się bardzo zmęczona. Powieki mi ciążyły, nie pamiętam, kiedy zasnęłam.

Otworzyłam oczy i pierwszą osobą, jaką zobaczyłam, był Rafał. Siedział w nogach łóżka z jakimś zawiniątkiem na kolanach. Chwilę trwało, zanim przypomniałam sobie, dlaczego tu jest.

– Hej, wiesz, kto się obudził? Mama. To dobrze, bo już jesteśmy bardzo głodni – zaświergotał do zawiniątka i przesunął je bardzo ostrożnie w moją stronę. – Musisz uważać i cały czas podtrzymywać główkę – poinstruował.

Z mnóstwa pieluszek wystawała mała pomarszczona twarzyczka. Pierwszy raz widziałam noworodka. Był śliczny. Taki malutki i słodki. Fioletowy i pomarszczony. Najpiękniejszy na świecie.

– Nakarmisz go? – ponaglił mnie Rafał.

Teraz dopiero zdałam sobie sprawę, że powinnam wyjąć pierś i włożyć w te małe usteczka. Właściwie powinnam była zrobić to natychmiast po porodzie. Zapomniałam! Co ze mnie za matka. Przecież wszędzie piszą, że to najważniejsze karmienie w życiu dziecka. Przeze mnie nie zostanie geniuszem.

– Zawołać położną? Mówiła, żeby zawołać, jak będzie trzeba pomóc.

– Dam radę.

Świetnie wiedziałam, jak to się robi. Teoretycznie. Połaskotać brodawką w policzek. Dziecko szeroko otworzy buzię i wtedy włożyć mu sutek z całą otoczką. Czy trzy milimetry to jest szeroko? Po kilku próbach poddałam się i Rafał przyprowadził położną. Połaskotała

dziecko w policzek, a kiedy mały otworzył usta, wcisnęła mu brodawkę z całą otoczką. Mały ssał łapczywie. Najedzony natychmiast zasnął.

– Śliczny ten nasz Jaś – powiedział Rafał, patrząc na niego z czułością.

– Jak powiedziałaś?

– Jaś. Tak ma na imię.

Jest z nami zaledwie kilka godzin, a już chce decydować o imieniu dla mojego dziecka.

– Nie, on nie ma jeszcze imienia – wyjaśniłam. Patrzyłam na swoje śliczne dziecko. Rafał też na nie patrzył.

– Wydawało mi się, że tak do niego mówiłaś.

– Nazywałam go tak, kiedy był w brzuchu. Pomyślałam, że wybiorę mu imię, jak się urodzi, bo wtedy będę wiedziała, co do niego pasuje.

– Proszę, niech zostanie Jan. Tak miał na imię mój ojciec...

Łzy napłynęły mu do oczu.

Nie rozumiałam, nie pytałam. Milczałam, czekając, co powie.

– Kiedy spałaś, myślałem o tym wszystkim. Zaskoczyłaś mnie tą ciążą. Byłem skołowany. Myślałem: trudno, będę płacił alimenty i tyle. Poród wszystko zmienił. Zrozumiałem, że ty i dziecko potrzebujecie mojej pomocy, i to nie tej materialnej. Widzisz, mój ojciec zmarł kilka lat temu, a mnie ciągle go brakuje. Nie chcę, żeby mój syn wychowywał się bez ojca. – Chlipał, wycierając nos w rękaw. Po chwili zapytał: – Dasz mi szansę?

– Jeśli naprawdę tego chcesz...

– Jak niczego na świecie. Nie tylko ze względu na Jasia. Także ze względu na ciebie.

Chciałam mu powiedzieć, że ja też tego chcę, że właściwie od początku chciałam. Wahałam się, czy to zrobić, gdy drzwi się otworzyły i stanęła w nich piękna ciemnowłosa kobieta. Wyglądała na jakieś czterdzieści lat, ale zapewne miała więcej. Długie do ramion, kręcone włosy, perfekcyjny makijaż i elegancki lniany kostium. Spojrzała na mnie niepewnie, więc pomyślałam, że się pomyliła. W tej chwili Rafał się odwrócił.

– No jesteś nareszcie, mamó. – Przywitał kobietę.

Podeszła do nas. Jej obcasy głucho uderzały w linoleum szpitalnej podłogi.

– Wyjechałam zaraz po twoim telefonie – wyjaśniła. Pocałowała go w policzek. – Możemy porozmawiać?

Wyszli na korytarz. Nie chciałam słuchać, mimo to docierały do mnie strzępy rozmowy. Jej pytanie: „Jesteś pewien? Może trzeba zrobić test?”, odpowiedź Rafała: „Nie trzeba” i kolejne pytania: „Co teraz? Alimenty? Czego ta dziewczyna od ciebie oczekuje?”. Wiedziałam, że tak będzie. Dlatego nie chciałam nic mówić. Teraz zupełnie obca kobieta zastanawia się, jakby miała do tego prawo, co powinien zrobić ojciec dziecka. Ścisnęło mnie w gardle. Nie potrzebuję jej, nikogo nie potrzebuję, bo mam Jasia. Zanim zdążyłam się popłakać, odezwał się Rafał. „Niczego nie oczekuje. Chciała wychowywać dziecko sama, ale ja na to nie pozwolę. Jestem dorosły, a to jest mój syn i zajmę się nim tak, jak należy”. Nie usłyszałam, co powiedziała kobieta. Chwilę później weszli do sali. Rafał bardzo ostrożnie wyjął dziecko z wózecka.

– Mamo, chyba powinienem ci przedstawić. To twój wnuk Jaś.

– Naprawdę, Jaś? – zdziwiła się. Zamrugła szybko. – Wygląda zupełnie tak jak ty, kiedy byłeś malutki.

Doprawdy? A kto pięć minut temu chciał robić testy?

– Przecinałem pępownię – pochwalił się Rafał.

Pogardliwie wydełam wargi. Phi, ja wypchnęłam go na zewnątrz. Matka Rafała jakby słyszała moje myśli.

– Jestem z ciebie dumna, Karolinko – powiedziała. – Przez tyle przeszłaś. Jesteś naprawdę dzielna.

Patrzyła mi w oczy z sympatią, nie wyglądało na to, żeby chciała spalić mnie na stosie. Dopytywała się o poród, dziecko i czy czegoś mi nie potrzeba. Żałowała, że musi wracać do Wrocławia, niestety jutro rano musi być w pracy. Wpadnie w weekend. Na pożegnanie mnie pocałowała.

– Jest miła – powiedziałam do Rafała, kiedy wyszła.

– U nas to rodzinne – odparł i puścił do mnie oko.

– Mam nadzieję, że Jaś odziedziczy to po tobie. – Uśmiechnęłam się do niego najładniej, jak umiałam.

– Jeśli na dodatek odziedziczy urodę po mamie, będzie najmilszym



i najśliczniejszym chłopcem na świecie. Mówię poważnie, jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką widziałem.

Poczułam, że się rumienię. Byłam też trochę na niego zła. To nie powinno tak wyglądać. Najpierw tylko gorzko, a teraz słodko, że aż mdli. Cóż, tak już bywa w bajkach – księżę spotyka piękną dziewczynę i zakochuje się w niej na zabój. Za sprawą złych czarów zapomina o niej, o obietnicach i uczuciach. Dziewczyna musi przywdziać ciężki strój i kamienne buty, co w rzeczywistości oznacza spuchnięte stopy, i zwalczyć wiele przeciwności losu, by zdjąć zaklęcie. Potem już mogą żyć długo i szczęśliwie.

– Mojej mamy nie ma? – zapytałam, żeby zmienić temat.

– Przespałaś odwiedziny. Poszła do domu gotować obiad, a babcia chyba do kościoła.

Zdziwiło mnie, że tak długo spałam, a on był tu cały czas.

Przez dłuższą chwilę milczeliśmy. Czasem tak się zdarza, gdy chce się powiedzieć wiele rzeczy naraz, a brak słów, którymi można by je wyrazić. Pierwszy odezwał się Rafał.

– Gdybym wiedział wcześniej, byłoby ci łatwiej.

– Myślałam, żeby ci powiedzieć. – Chciałam znowu wplątać w to Ankę, ale nagle do mnie dotarło, że ona nie ma z tym nic wspólnego. To, co się stało, dotyczyło mnie. – Ale ciągle miałam wrażenie, że jestem czemuś winna i powinnam ponieść karę.

– Jeśli ty byłaś winna, to ja też. Teraz już wszystko będzie dobrze.  
– Ścisnął moją rękę.

Myślałam, że padną jakieś wielkie słowa. Nie padły, bo mama i babcia postanowiły zepsuć chwilę. Przyniosły pożywną zupę i stwierdziły kategorycznie, że Rafał musi odpocząć. I nie ma mowy, żeby z nimi nie poszedł, bo przecież od dawna nic nie jadł. Rafał w końcu skapitulował.

– Pójdę już. Przyjdę jutro rano. Cały czas będę miał włączonego telefon. Dzwoni, kiedy chcesz.

– Daj spokój, nie będę cię budzić w nocy.

– Możesz, wiszę ci chodzenie do całodobowego po lody – rzucił lekko z tym swoim łobuzerskim uśmiechem.

Jakie lody? Kto by chciał lody, skoro było tyle smaczniejszych

rzeczy.

– Ogórki konserwowe i krówki – sprostowałam.

Roześmiał się.

– Podobno moja mama też w ciąży jadła krówki.

Kiedy wszyscy poszli i zostałam sama z człowiekiem, który miał zaledwie kilka godzin, poczułam się opuszczona i bezradna. Łzy napłynęły mi do oczu. Chciałam je powstrzymać, nie byłam w stanie.

– Jak chcesz, to idź się umyć, a ja przypilnuję dziecka. –

Usłyszałam nad sobą czyjś przyjazny głos. To była dziewczyna z łóżka pod drzwiami.

We Wrocławiu oglądałam śliczne dwuosobowe sale z pościelą w misie. Nawet jeśli tutaj takie były, nie miałam szczęścia na nie trafić. Leżałam w zwyczajnym szpitalnym pokoju z zieloną lamperią, w którym stało sześć łóżek. Tylko niżowi demograficznemu zawdzięczałam, że trzy z nich były puste. Pozostałe zajmowała ja, kobieta wyglądająca jak foka, z krótkimi włosami i całkiem czerwonymi oczami, i ta miła dziewczyna, która zaoferowała mi pomoc. Myślałam, że jeszcze nie urodziła, bo miała spory brzuch, ale kiedy poszłam do łazienki, okazało się, że mój jest równie imponujący.

Mój wygląd mnie załamał. Włosy były tłuste i posklejane. Twarz ziemista i wymięta, jakbym miała milion lat. Z obolałych piersi mleko sączyło się prosto na ciągle wielki brzuch. Całe ciało bolało straszliwie. To okropne, że Rafał widział mnie w tym stanie. Usiadłam na zamkniętej klapie sedesu i znowu zaczęłam płakać.

Kiedy wróciłam na salę, do wspomnianych mankamentów urody należało dodać opuchnięte oczy.

– Też tak miałam przy pierwszym dziecku – poinformowała mnie foka. – Nic, tylko płakałam.

Nie odpowiedziałam. Podeszłam do szpitalnego wózekka – jedynej rzeczy, która wyglądała jak na filmach. Taka przezroczyista plastikowa kuweta na kółkach. Ciekawe, czy dzieciom było w nich wygodnie. Jasiek nie mógł mi odpowiedzieć, bo spał. Dotknęłam ręką materacyka w różowe misie, nie był szczególnie miękki. Nie podobało mi się również to, jak mój syn został zawinięty – omotany flanelą i obwiązany tasiemkami wyglądał jak szynka. Tyle czasu był

skrępowany w brzuchu, a teraz nie mógł się wyprostować i pomachać kończynami. I jeszcze szpitalna czapeczka zsunęła mu się na oczy. Kiedy ją poprawiałam, wysunął się loczek mięciutkich włosów i połaskotał moją dłoń. Fajne te włoski. Wszystko fajne – tłuste policzki, niemal zakrywające szparki oczu, stożkowata główka, z delikatnym ciemniakiem, malutkie paluszki i paznokietki. Patrzyłam na człowieka, który przez ostatnie dziewięć miesięcy był częścią mnie, a teraz stał się osobnym bytem. Krew z mojej krwi, kość z mojej kości. Taki malutki, taki bezbronny. Poczulałam ciężar odpowiedzialności i ogromną chęć, żeby odwrócić czas i włożyć dziecko z powrotem do brzucha, gdzie było bezpieczne. Jak zdołam ochronić je przed całym złem tego świata? Przecież nadejdzie dzień, kiedy nie będę już miała wpływu na decyzje syna, a on właśnie wtedy postanowi zrobić coś głupiego.

– Wykorzystaj to, że śpi, i odpocznij – poradziła dziewczyna spod drzwi.

Nie chciałam zasnąć, ale oczy same mi się zamknęły. Byłam zmęczona.

Późnym wieczorem zadzwoniłam do Rafała. Ot tak, żeby go usłyszeć i powiedzieć mu, jak bardzo jestem wdzięczna, że przeszedł ze mną przez to wszystko.

– Coś się stało? – zapytał zaniepokojony.

– Nie. – Nagle nie umiałam znaleźć właściwych słów. – Chciałam ci powiedzieć, że tęsknimy. Jaś już śpi. Jest taki śliczny.

– Też za wami tęsknię. Wiesz, wszędzie czuję jego zapach. Skręcamy z twoim tatą łóżeczko.

– Jesteś u moich rodziców? – zdziwiłam się. Nie bardzo wiedziałam, gdzie powinien się podziać, ale chyba nie w moim domu.

– Obaj tu jesteśmy. Dziadek i ja. Wiesz, że mój dziadek i twoja babcia...

– Wiem. – Zaśmiałam się. – Przyjdiesz jutro?

– Z samego rana – zapewnił.

Zasnęłam spokojna.

\*

Obudziłam się niedługo potem. Była noc i jakieś dziecko płakało

wniebogłosy. Nie jakieś. Moje. Krzywda mu się dzieje! Muszę coś zrobić! Gwałtownie usiadłam na łóżku. Jasiek leżał w wóze. Był cały czerwony i krzychał ze wszystkich sił.

Ostrożnie wzięłam syna na ręce i zaczęłam kołysać. Przestał płakać. Myślałam, że już się uspokoił, ale gdzież tam, to był tylko antrakt. Jasiek zdecydował, że postawi na nogi cały szpital. Próbowałam przystawić go do piersi, jednak tylko popatrzył na mnie z wyrzutem i płakał dalej.

– Spróbuj go nakarmić – poradziła życzliwie foka. Miałam nadzieję, że dziewczyny się nie obudzą, co było niemądre, bo Jasiek prawdopodobnie obudził już pół miasta.

– Próbowałam – chlipnęłam. – Nie chce.

Znowu płakałam, bo przecież moje dziecko cierpi, a ja jestem złą matką i nie wiem, jak mu pomóc.

Foka zsunęła się z łóżka i podpełzła do mnie.

– Źle to robisz – powiedziała łagodnie. Pomanewrowała Jaśkiem i moją pierś i po chwili dziecko łapczywie, z wyrazem błogiego zadowolenia na pomarszczonej twarzyczce, piło. – A ty nie płacz – upomniała mnie tonem starszej siostry.

– Nic nie umiem... nie poradzę sobie...

Zupełnie niespodziewanie objęła mnie ramieniem. Była ciepła, miękka i pachniała kwaśnym mlekiem. Zapewniła, że dam radę. Ona przy pierwszym była jeszcze bardziej beznadziejna niż ja. Mówiła, żeby małego częściej przystawiać, bo jak mi się tak mleka nabiera, to zamiast lecieć tryska, mały się krztusi i nie chce jeść. Można samej spróbować trochę wypuścić. Poradziła, żebym zaraz jutro wysłała swego chłopca po kapustę, bo na pewno będę miała zapalenie piersi. Ona już jutro wychodzi, ale da mi swój numer telefonu i mogę zadzwonić, jakby co. I żebym nie przeproszała, że ją obudziłam, bo przez najbliższy rok żadna z nas się porządnie nie wyśpi.

Nagle dziecko dziewczyny spod drzwi zaczęło bardzo głośno płakać. Jak na komendę dwójka pozostałych przyłączyła się do niego.

– Jak płaczą, to wszystkie – zaśmiała się. Popatrzyła na mnie i zapytała zaniepokojona: – Wszystko w porządku?

– Boi się, że będzie złą matką. – Zamiast mnie poinformowała ze

śmiechem foka.

– Przy pierwszym też tak miałam – powiedziała dziewczyna spod drzwi. Sprawnie przystawiła dziecko do piersi, a ono natychmiast zaczęło ssać. – Wszystko robiłam źle. Mały ryczał, a ja razem z nim. – Nagle zachichotała, bo coś jej się przypomniało. – Najlepiej było, jak go zgubiłam. Poszłam do supermarketu po pieluchy. Tam są takie wąskie bramki i wózek nie wchodził. Mały spał, nie chciałam go budzić. Myślę sobie: zostawię go, to przecież góra pięć minut. Złapałam pieluchy, wzięłam jeszcze trochę owoców i włoszczyznę na zupę. Idę do domu i się zastanawiam, czemu mi tak niewygodnie targać te siaty. No bo zawsze je wrzucałam do wózka. Wózek! Dopiero sobie uświadomiłam, że wózek stoi pod sklepem. Mówię wam, co ja wtedy przeżyłam. Pędzę z tymi siatami, pot mi się leje po plecach, jabłka objijają się o nogi. Dziecko już mi na pewno ukradli, myślałam. A jak nie, to ktoś dał znać na policję, opieka społeczna się dowie, pozbawią mnie praw rodzicielskich. Trudno, niech pozbawią, byle mały był cały. Przypędziłam. A on jak spał, tak śpi. – Dziewczyna roześmiała się.

– Wiesz, że wcale jej nie pomogłaś? – zapytała foka z wyrzutem. Pomogła.

\*

Wczesnym rankiem odwiedziła mnie babcia, wracała z kościoła i wpadła po drodze. Gruchała do Jaśka, któremu się to najwyraźniej podobało.

– Bardzo mądre dziecko – zachwycała się. – Jest śliczny. I daliście mu na imię Jan. To dobrze, takie boże imię.

– Tata Rafała też miał na imię Jan – powiedziałam.

– Modliłam się za was.

– Dziękuję, babciu. Powinnam była się zgodzić, kiedy chciałaś nas umówić. – Pogładziłam ją po policzku. Moja kochana babunia.

– Widzisz, to się miało tak pięknie ułożyć. – Babcia mówiła podniosłym głosem. – To taki skomplikowany plan opatrności, a myśmy byli pionkami. Wystawił nas Pan na próbę, żeby sprawdzić, czy Mu ufamy, a my nie zawiedliśmy.

Moja kochana, lekko szurnięta babunia.

– A ty wiesz, jak ja się zdziwiłam? Puka do mnie młody chłopak, mówi, że jest wnukiem mojego Antoniego, to znaczy pana Antoniego, i pyta o ciebie. Zupełnie nic nie rozumiałam. Zaraz zadzwoniłam do Antoniego, ale on też nic nie rozumiał. Młyn pełny.

Jasiek zamknął oczka. Uznałyśmy, że zasnął. Nie ma nic piękniejszego niż widok śpiącego dziecka, więc przez chwilę go podziwiałśmy.

– No popatrz. Patron Antoniego nad wami czuwał. Wiesz, że święty Antoni to od rzeczy zagubionych? No i odnaleźliście się. Mówiłam, żebyś się z nim umówiła, ale nie, ty wolałaś grymasić – szepnęła babcia z wyrzutem. – Przecież co komu pisane, to go nie minie.

Nagle babci przyszło coś do głowy i głęboko się zadumała.

– Mnie pisany Antoni, czuję to. Tylko... Myślisz, że twoja matka wie? Nic jej nie mówiłam. Boję się, że może się nie zgodzić, choć Antoś to porządny chłopiec.

Chciałam powiedzieć, że mama się domyśla. I żeby nie ryzykowała pójścia do łóżka z Antonim, bo może ją wpędzić w kłopoty.

– Pogadam z mamą – obiecałam. – Wszystko będzie dobrze.

Kiedy babcia wyszła, pomyślałam, że może być trochę racji w powiedzeniu, że co komu pisane, to go nie minie.

To były pierwsze z wielu odwiedzin w tym dniu. Dowiedziałam się w końcu, co to jest „rooming”. Nie ma to nic wspólnego z telefonami. Oznacza, że matka z dzieckiem są cały czas razem. Dla większego komfortu obojga. Pewnie by tak było, gdyby istniała możliwość zamknięcia sali od wewnątrz. Tymczasem obok mojego łóżka przemaszerował kolorowy rodzinny korowód. Najgorsze jednak było to, że inne pacjentki też miały gości. I byli to zupełnie obcy ludzie, przy których musiałam obnażać piersi, żeby nakarmić dziecko. Dlaczego w amerykańskich filmach dzieci leżą w łóżeczkach za szybą, przez którą oglądają je uszczęśliwieni dziadkowie, matki zaś w ogóle nie ma, bo pewnie korzysta z dobrodziejstw SPA w innym skrzydle szpitala? U nas matka leży z dzieckiem na sześćosobowej sali i czerwieni się jak burak, bo nieletni brat matki z sąsiedniego łóżka prowadzi wnikliwą obserwację kobiecego biustu?

Siedziałam na łóżku i pochłaniałam zupę. Mama przyniosła mi cały

słoik. Bez niej chyba umarłabym z głodu. Szpitalne porcje były o wiele za małe dla nas dwojga. Pomyśleć, że pierwszego dnia nawet spojrzeć nie chciałam na jedzenie ze stołówki. Laktacja zmienia gusty żywieniowe.

– Jutro nas wypiszą do domu – podzieliłam się z mamą radosną nowiną. W szpitalu czułam się jak więzień. Chciałam czym prędzej zabrać stąd synka.

– No nareszcie. Zadzwoń, to Rafał po ciebie przyjedzie – powiedziała.

Dlaczego on? Zdziwiłam się. Tata powinien po mnie przyjechać.

– Fotelik zamontowaliśmy w samochodzie Rafała – wyjaśniła.

Oburzyłam się. Mama spojrzała na mnie z rozbawieniem.

– Przeszkadza ci to?

Nie, nie przeszkadzało. Może trochę. W zasadzie bardzo. Rafał miał być na końcu łańcucha, a tymczasem moja rodzina otworzyła przed nim drzwi i bez pytania wpuściła go do domu.

– Karolina, przecież jest ojcem dziecka – tłumaczyła mama łagodnie.

– No i co z tego? – naburmuszyłam się.

– A to, że ma do niego większe prawo niż ja i tata razem wzięci. – Poglądziła mnie po głowie. – To dobry chłopak. Zależy mu na dziecku i na tobie. Chce się zaangażować, a my nie mamy prawa mu w tym przeszkadzać. – Zamilkła na chwilę. – Nie wiem, czy wam się ułoży, czy nie. Ale bez względu na to twoje dziecko będzie miało troskliwego, fajnego tatę. To najważniejsze.

Chciałam coś powiedzieć, ale mama mi nie pozwoliła.

– Dobrze dla Jaśka, że będzie znał swojego ojca. Są sytuacje, kiedy lepiej znać odpowiedzi niż zadawać sobie pytania.

Ja na razie miałam same pytania. Przyjechałam z Jaśkiem do domu. W moim pokoju stało łóżeczko. Pod oknem stała złożona polówka. Dla Rafała, gdyby chciał zostać na noc. Chciał. Wstawał w nocy do dziecka. Sprawnie je przewijał. Był z nami tydzień, potem skończył mu się urlop i musiał wracać do pracy. Dzwonił, pytał o dziecko i mówił, że nie może doczekać się weekendu. Wiedziałam, że muszę z nim porozmawiać o przyszłości. Tylko jaka ona ma być? Kiedy chodziłam w ciąży, nieraz

marzyłam o tym, żeby być z Rafałem. Głównie dlatego, że zdawało się to nieosiągalne. Teraz, kiedy miałam go na wyciągnięcie ręki, ogarnęły mnie wątpliwości. Jego obecność w życiu Jaśka była najlepszą rzeczą, jaka może się zdarzyć. Ale jeśli nam się nie uda, to moje dziecko będzie cierpieć. Czy jest sens, żeby przechodziło traumę rozvodu, może niech od początku ma weekendowego tatusia?

Ślicznie było na świecie. Za oknem jeden z tych cudownych czerwcowych dni, ciepłych i słonecznych, zachęcał do spacerów. Nie mogłam dłużej kisić się w murach. Zapakowałam Jaśka, pieluchy i podręczniki do wózka i pojechałam się pouczyć do parku. Za dwa tygodnie miałam obronę. Byłam zmęczona i zestresowana. Z niczym nie nadążałam. Nie ma szans, żebym się obroniła. Chciałam przełożyć termin na wrzesień, ale Olszewski powiedział, że nie ma sensu. Mama zachęcała mnie, żebym spróbowała, a babcia modliła się do Jana Kantego.

Po chodniku wózek jechał gładko, gorzej po alejce w parku. Żwir chrząścił pod kołami. Wózek się bujał, co natychmiast uspiło Jaśka. Dużo spał w dzień. Mógłby w nocy, ale nie szanował zbyt matki, która pragnęła zostać magistrem.

Znalazłam ławkę w cieniu, rozpięłam nad śpiącym Jasiem moskitierę i zatopiłam się w lekturze.

– Co za spotkanie!

Podniosłam głowę. Obok mnie stała Anka. Wieki jej nie widziałam. Schudła i wyglądała jeszcze subtelniej niż zwykle. W porównaniu z moim, wypełnionym mlekiem biustem jej wydawał się teraz znacznie mniejszy.

– Jak się czujesz? – zapytała, ale tak, jakby wcale jej to nie interesowało.

– Dobrze, a ty?

– A jak myślisz? Kinga mi powiedziała. Nie mogła uwierzyć, że o niczym nie wiedziałam. Czuję się jak skończona idiotka. – Jej głos brzmiał nieprzyjemnie, jak zgrzyt metalu po szkłe.

– Przepraszam. Nie wiedziałam, jak ci powiedzieć – tłumaczyłam się nieśmiało.

Anka pochyliła się nad wózkiem. Przez chwilę przyglądała się



dziecku.

– Wykapany ojciec – powiedziała.

Niby tylko słowa, a zapiekły jak policzek.

Milczałam. W napięciu czekałam, kiedy sobie pójdzie. Jednak ona miała inne plany.

– Już w bibliotece powinnaś była mi powiedzieć, żebym sobie odpuściła, bo będą z tego kłopoty. Ale ty wolałaś pogrywać w te swoje gierki – wyrzuciła mi.

– Anka, to nie tak! – Nie chciałam się z nią kłócić, nie chciałam przypominać, że jesteśmy tak samo winne, bo według pierwotnych ustaleń miałyśmy odpuścić, skoro podobał się nam obu. Po prostu zaszło nieporozumienie, a ja dodatkowo byłam pijana, co nie jest dobrą wymówką, ale naprawdę byłam niepoczytalna. Zamiast tego powiedziałam: – Chciałam dać wam szansę.

– I uważasz, że dałaś? – syknęła.

– Tak. Wycofałam się z życia Rafała, żebyś mogła spróbować. Jeśli masz pretensje, że się w tobie nie zakochał, to kieruj je do niego, nie do mnie.

– Nie zakochał się, bo mu zawróciłaś w głowie. Ty zawsze miałaś lepiej. Lepsze stopnie, ładniejszą buzią, fajniejszych facetów.

Jasne. I co z tego? Ładniejszą buzię zawdzięczam genom. Na stopnie ciężko pracowałam. A faceci mnie lubią, bo zamiast smęcić rozmawiam o piłce nożnej i motorach. Nagle dotarło do mnie, że pretensje Anki wynikają z zawiści. Podła jest. Ja z lojalności wobec niej omal nie pozbawiłam mojego dziecka ojca. I naprawdę opatrności zawdzięczam, że to się wszystko tak dobrze ułożyło.

– Nie jesteś prawdziwą przyjaciółką – zarzuciła Anka na pożegnanie i odeszła.

W weekend zadzwoniła Kinga. Pytała, czy czuję się na tyle dobrze, by móc przyjmować gości. Piotrek jej powiedział, że młodej matki nie należy męczyć i niepokoić. Jasne. Kto jak kto, ale dentysta na pewno się zna na macierzyństwie.

– Ciągle mi głupio z powodu tej ostatniej awantury. Przepraszam – powiedziała. – Zrozum, wracam przez Grunwaldzki ze spotkania i widzę was obściskujących się na przystanku. Coś we mnie wstąpiło.

Ja wiem co. To się nazywa zazdrość. Uśmiechnęłam się i wcisnęłam jej Jaśka na kolana. Przez chwilę siedziała sztywno, a potem zaczęła się rozpląwać w czułościach.

– Nie ma o czym mówić – zlekceważyłam całą sprawę. – Powiedz, jak wam się układa.

– Dobrze, tylko nie obiecuj sobie zbyt wiele. Piotrek ma dużo zalet. Zyskuje przy bliższym poznaniu. Nie chcemy się z niczym śpieszyć. Żadnych rozmów o ślubie, absolutnie żadnych zaręczyn.

Uśmiechnęłam się wyrozumiale. Może Kinga nie wiedziała jeszcze, że jest zakochana, ale dowie się tego już niedługo.

– Wiesz, obydwójce mamy swoje plany i ambicje. To nas bardzo zbliżyło. Teraz dopiero zrozumiałam, jak Tomek mnie tłamsił.

– Mało mi oczu nie wydrapałaś, jak ci to powiedziałam.

– Mimo wszystko nie będę ci dziękować. Tomek nie był zły. Tylko miał inny światopogląd. Chciał ze mnie zrobić żonę. – Pochyliła się z czułością nad Jasiem. – Może by mu się nawet udało – zagruchała do małego.

– Słuchaj – nagle przyszło mi coś do głowy – nie sądzisz, że Ania i Tomek pasowałiby do siebie?

– Może.

– A jakby ich tak delikatnie pchnąć ku sobie? Wiesz, mogłabyś zadzwonić do Anki i powiedzieć, że Tomek teraz taki samotny...

Kinga postukała się palcem w czoło.

– Ty to się nigdy nie nauczysz – powiedziała rozbawiona.

Jakąś godzinę później po Kingę przyszedł Piotrek. Był trochę wystraszony. Pewnie myślał, że będę miała pretensje. Powiedziałam mu to, co Kinga mnie – że miał rację, ale nie będę mu dziękować.

Spędziliśmy trochę czasu w przyjacielskiej atmosferze.

Zachwycaliśmy się moim dzieckiem, które było najpiękniejsze na świecie. Zadziwiająco, jak krótkiego czasu potrzebuje taka mała istotka, żeby ukraść człowiekowi serce.

Przy pożegnaniu Kinga mnie wyściskała i powiedziała, że jestem prawdziwą przyjaciółką. A ja siłą wydarłam jej Jaśka, bo inaczej zabrałaby go ze sobą. Kiedy Piotrek i Kinga wychodzili, trzymali się za ręce.

Przez chwilę zastanawiałam się nad naszą rozmową. To jestem tą prawdziwą przyjaciółką czy nie? I właściwie dlaczego Kinga nie chce zadzwonić do Anki? No cóż. W takim razie ja zadzwonię do Tomka, bo do Anki przecież nie mogę, i opowiem mu, jaka z niej fajna dziewczyna, jaka jest teraz nieszczęśliwa. A nuż się dogadają?

Wzięłam telefon i wybrałam numer Tomka. Dzwonię, żeby pochwalić się dzidziusiem. Macierzyństwo jest super. Tacierzyństwo też. Rozumiem, że Tomkowi na tym zależy. Kinga – zupełna beznadzieja. Jak można tak świrować dla pracy? Rodzina jest najważniejsza. A dzieci super. Rafał uważa tak samo. Fajny jest. Nie wiem, czy coś z tego będzie, zobaczymy. Tylko Ani mi szkoda, taka fajna dziewczyna, a taka teraz samotna. Ona też uwielbia dzieci. Mówiła mi kiedyś, że chce mieć minimum tuzin. Ona ma takie tradycyjne poglądy. Dawno z nią nie rozmawiałeś? To zadzwoń koniecznie, przecież ona tak cię wspierała po zerwaniu z Kingą. I zawsze trzymała twoją stronę.

Rozłączyłam się. W sumie sympatyczny ten Tomek. Może Anka da mu szansę? Chyba o to w życiu chodzi – żeby dawać szansę i je wykorzystywać.

Tak właśnie. Muszę dać sobie szansę. I Rafałowi. I naszemu związkowi.

Było gorąco jak w hutniczym piecu. Bardziej upalnego dnia nie mogłam sobie wyobrazić. Wydawało się, że zwiędły nawet liście na drzewach. Nie wiał nawet najłżejszy wiatr, ciężkie i lepkie powietrze wypełniało ulice. Trudno było się poruszać. Nawet woda w Odrze płynęła o wiele wolniej niż zwykle.

Jednak wewnątrz instytutu chemii było chłodne. Stałam na korytarzu i podziwiałam wpis w indeksie. Bardzo dobry. Czytałam raz po raz. W głowie ciągle słyszałam pochwały profesora Olszewskiego. Bardzo dobra praca, ogrom włożonego wysiłku, inteligentne wnioski. Recenzenci mi gratulowali. Przy pierwszym pytaniu nieco się stresowałam. Nie wiedziałam, co mam mówić. Ktoś rzucił pytanie pomocnicze i w głowie mi się rozjaśniło. Potem szło coraz lepiej i egzamin stał się przyjemną, przyjacielską pogawędką. Zaczęliśmy o chemii, skończyliśmy na dzieciach. Od których przecież jestem specjalistką.

Odetchnęłam z ulgą i ruszyłam w stronę wyjścia.

Na murku pod instytutem siedział Rafał. Próbował z mojej twarzy wyczytać, jak mi poszło. Zapewne na mojej twarzy malował się triumf, bo podbiegł do mnie i podniósł do góry. Powinien uważać na swój kręgosłup. Jeszcze nie wróciłam do odpowiedniej wagi. Może nigdy już nie będę szczupłą?

– Zdałaś? – upewnił się. W odpowiedzi pokazałam mu indeks, a on gwizdnął z uznaniem. – Zuch dziewczynka! – Pochwalił mnie i czule pocałował.

Cóż, zdarzało nam się od czasu do czasu całować. Na nic innego mu nie pozwolę. Nigdy w życiu. Piekący szew boleśnie przypomina mi, przez co przeszłam, a mleko wyciekające z piersi – kim naprawdę jestem.

– Gdzie Jasiek? – zapytałam.

– Zaczął marudzić, więc mama poszła z nim pospacerować na Ostrów. Chodź. – Wziął mnie za rękę i poszliśmy.

Mama Rafała siedziała na ławce naprzeciwko seminarium duchownego. Idealne miejsce do karmienia piersią. Ale co tam. Nie jestem w stanie policzyć obcych osób, które ostatnio widziały mój biust. W każdym razie sporo ich było.

Nakarmiłam dziecko. Pierwszy raz jako magister. Potem poszliśmy na Rynek. Uczciliśmy moją obronę lodami. Ja zjadłam sorbet arbuzowy, bo przecież krowie mleko może powodować alergię. Zdjęłam sandały i zamoczyłam stopę w fontannie. Żeby było chociaż trochę tak, jak sobie wymarzyłam. Potem wróciliśmy do domu. To znaczy do domu Rafała.

\*

Była późna noc. Rzeński chłód w końcu zastąpił morderczy upał. Otworzyliśmy wszystkie okna, żeby wpuścić chłód do środka. To był pokój Rafała. Budziłam się w nim od kilku dni i ciągle mnie dziwiło, jak dorosły facet może tak mieszkać. Meblościanka, a na niej komputer, laptop, telewizor i masa prawniczych książek. Szafa pełna garniturów i brudne skarpety pod łóżkiem. Rozkładany fotel z IKEA. Musieliśmy spać razem, gdyż po wstawieniu wózka nie było już na nic miejsca.

Wykapany i syty Jasiek spał głęboko. Ja nie mogłam. Byłam

zmęczona, ale i podekscytowana. Leżałam obok Rafała i patrzyłam w sufit.

– Co zamierzasz? – zapytał Rafał. Myślałam, że śpi.

– Chciałabym zostać jeszcze kilka dni i złożyć podanie na studia doktoranckie.

Przytulił mnie.

– Chodziło mi raczej o to, jakie masz plany dotyczące nas – powiedział. Aksamitny głos nie pozostawiał wątpliwości co do planów Rafała na najbliższą przyszłość. Odsunęłam jego ramię i usiadłam.

– To nie jest najlepszy pomysł – ostudziłam go. Nie byłam gotowa dawać Jaškowi braciszka.

Rafał usiadł obok i objął mnie, tym razem bardziej po przyjacielsku.

– W porządku. Nie będę ukrywał, że mnie kręcisz. – Złapał mnie pod brodę i spojrzał głęboko w oczy. Ścisnęło mnie w gardle. Przecież byłam gruba i śmierdziałam jak mleczarnia. – To jakie masz plany?

Na sto procent nie ulec twojemu urokowi.

– Nie wiem – odpowiedziałam.

Wstał i podszedł do wózka ze śpiącym dzieckiem.

– Pomyślałem, że moglibyśmy zamieszkać razem. Nie chcę się z wami rozstawać. Rozmawiałem z Włodkiem. Moglibyśmy zamieszkać u niego. Jakoś sobie poradzimy. Nieźle zarabiam, wystarczy dla nas trojga. Jeśli nie będziemy szaleć – próbował żartować, ale czułam, że jest spięty.

Podeszłam do niego i się przytuliłam. Czy powinnam dzielić się z nim swoimi wątpliwościami?

– Jesteś dla mnie bardzo ważny, ale to Jasiak jest najważniejszy. Zrobiłam tyle głupich rzeczy i nie chcę znów popełnić błędu. To znaczy nie uważam, że bycie z tobą byłoby błędem – tłumaczyłam się, widząc jego smutne spojrzenie. – Nie mam pewności, czy nam wyjdzie. Nie chcę, żeby mój syn cierpiał.

Rafał delikatnie mnie odsunął.

– A myślisz, że ja tego chcę?

Nie, oczywiście, że nie. Tyle że jeszcze przed chwilą się do mnie dobieirałeś, co w złym świetle stawia twoje poważne podejście,

pomyślałam.

– Nigdy nikogo nie kochałem tak jak jego – mówił spokojnym tonem. – To, że byłem przy narodzinach, wiele dla mnie znaczy. To najwspanialsza rzecz, jaką przeżyłem. Wtedy w Karpaczu spodobałaś mi się. Fajna, ładna i zabawna dziewczyna. Utkwiłaś mi w głowie. Na tyle, że nie zapomniałem o tobie przez te dziewięć miesięcy. Nie będę ci mówił, że się wówczas zakochałem, czy coś. Pewnie jakbyś zadzwoniła i umówiła się ze mną, bylibyśmy parą. A może nie. W każdym razie, jak byłem z tobą, kiedy rodził się Jaś... Poczułem do ciebie coś niezwykłego. Zdałem sobie sprawę, że będziesz już zawsze obecna w moim życiu, bo jesteś matką mojego dziecka. Cokolwiek się między nami wydarzy, będziemy związani, bo mamy Jasia. Więc co nam szkodzi, żebyśmy spróbowali być rodziną?

No właśnie, co nam szkodzi? Stałam przytulona do pleców Rafała i moczyłam mu koszulkę łzami i mlekiem.

– Myślisz, że nam się uda? – zapytałam.

– Zapytaj mnie o to jeszcze raz...

– Myślisz...

– Zapytaj mnie o to jeszcze raz w naszą złotą rocznicę ślubu.

Wtedy ci odpowiem.

Minął dokładnie rok od dnia, w którym poznałam Rafała. Nawet o tym nie pamiętałam. On pamiętał. Przyniósł mi kwiaty. Wydaje się, że wszystko zmierza w dobrym kierunku.

Kiedy idzie się z facetem do łóżka, trzeba być gotowym na samotne macierzyństwo. Ja nie byłam gotowa na wychowywanie dziecka, że o samotności nie wspomnę. Miałam bardzo dużo szczęścia, bo byli obok mnie ludzie, dla których wiele znaczyłam. Kochają mnie i Jasia. A my kochamy ich.

Po burzliwej rodzinnej naradzie zdecydowaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli zamieszkamy u wujka Włodka. Z tą różnicą, że my na dole, a on na górze. Dziecko będzie miało dużo przestrzeni. I jest piękny ogród.

W dni, kiedy idę na uczelnię, przyjeżdża babcia z panem Antonim i zabierają Jaska na spacer. Ślicznie wyglądają, jak tak idą ulicą, prowadząc błękitną spacerówkę. Babcia przestała mówić o śmierci.

Teraz mówi o misji wychowawczej.

Rafał jest dobrym ojcem. Zaangażowanym. Kąpie dziecko, sprawnie je przewija i karmi. Chodzi do pracy w zaślinionych garniturach i udaje, że mu to nie przeszkadza. Kupił Jaśkowi piłkę nożną. Bez przerwy mówi, jak to będzie fajnie, gdy będą razem chodzić na mecze. Nie niszczę jego marzeń i nie mówię mu tego, ale w życiu nie pozwolę swojemu dziecku iść na mecz. Nie chcę, żeby jakiś pseudokibic nabił mu guza.

Ja z niczym się nie wyrabiam i gdyby nie wujek Włodek, nigdy nie udałoby nam się zjeść obiadu. Biedny wujek. Jego spokojne życie to przeszłość. Biega po pieluchy, które zawsze kończą się nagle. Kołysze wózkami, kiedy Jaś nie chce spać, a ja się muszę przygotować do zajęć. W nocy nie śpi, bo mały ma kolkę, a ja płaczę, ponieważ to na pewno moja wina, zjadłam coś, co mu zaszkodziło. Mimo to wujek Włodek jest zadowolony – ma rodzinę. Samotna starość jest przykra.

Rodzice odwiedzają nas w weekendy. Mama mówi, że świetnie sobie radzę. A tata uważa, że Rafał jest w porządku, tylko dlatego, że ma takie same poglądy polityczne jak on.

Mama Rafała mnie lubi. Zaproponowała, żebym mówiła jej po imieniu, ale nie śmiem. Trochę mnie irytuje, bo do wszystkiego się wtrąca. Doceniam pomoc i zaangażowanie, jednak denerwuję się, gdy ciągle napomyka o ślubie. Jest jeszcze na to za wcześnie.

Czasem, kiedy w nocy karmię dziecko, a Rafał śpi, zastanawiam się, czy nam się uda. Czy gdybym mogła cofnąć czas, spędziłabym z nim tamtą noc? A potem patrzę na twarzyczkę synka. Zrobiłabym wszystko, żeby go mieć. Niczego nie żałuję. Przecież dziecko to skarb. A gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje. Nikogo nigdy nie kochałam tak jak Jasia. A Rafał? Jemu dam szansę.

